

MARGIT SANDEMO

MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ

Z norweskiego przełożyła

Iwona Zimnicka

Tajemnica czarnych rycerzy tom 02

Tytuł oryginału: „Dit ingen går”

POL - NORDICA

Otwock

STRESZCZENIE TOMU I „ZNAK”

Kiedyś pewien młody człowiek udał się do krypty, w której spotkał pięciu mężczyzn w czarnych opończach. Widok tajemniczych postaci wzbudził jego wielki szacunek, lecz również wypełnił go strachem. Na ścianie krypty za ich plecami widniał osobliwy znak. Mężczyźni obiecali pomóc młodzieńcowi pod warunkiem, że on pomoże im. Jeden z nich przyłożył mu dłoń do ręki, a wówczas na skórze młodego człowieka ukazało się wypalone piętno. Miało kształt tamtego znaku.

Obecnie

Trójka młodych ludzi, *Morten*, *Unni* i *Antonio*, stwierdza, że wplątała się w pewną przerażającą historię, której korzenie sięgają głęboko w przeszłość. Morten został celowo potrącony przez niezidentyfikowany samochód i odniósł ciężkie obrażenia. Dwudziestoletnia Unni nie potrafi zapomnieć o mężczyźnie, z którym zetknęła się kilka lat wcześniej i z którym miała do czynienia zaledwie przez kwadrans, lecz to wystarczyło, by beznadziejnie się w nim zakochała. Unni przyjaźni się z Mortenem. Chłopak usiłuje dowiedzieć się, co tak naprawdę mu się przytrafia. W rodzinie jego matki wszyscy pierworodni umierają w wieku dwudziestu pięciu lat. Sam Morten ma teraz lat dwadzieścia cztery. Unni zostaje wciągnięta w obłąd koszmarnych snów, ostrzeżeń wypisanych na zwojach pergaminu, czarnych jeźdźców i ziejących nienawiścią mnichów z okresu inkwizycji. Często też pojawia się niezwykle znak.

Mortenowi i Unni pomaga student medycyny, pół - - Hiszpan, dwudziestosiedmioletni Antonio. Jego starszy brat *Jordi* zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat. Antonio i Morten są, jak się okazuje, krewnymi szóstego stopnia, mieli wspólnego przodka, którego również dotknęło przekleństwo. Ponieważ *Jordi* zmarł bezpotomnie, złe dziedzictwo przejdzie na ewentualne dzieci Antonia, młody człowiek postanawia więc nigdy nie mieć potomstwa.

Wszyscy troje, Morten, Unni i Antonio, są narażeni na liczne ataki ze strony jak najbardziej żywych osób.

Historia Antonia jest niezwykle tragiczna. Miał ojczyrna o imieniu Leon, który zamordował jego ojca, gdy ten osiągnął wiek dwudziestu pięciu lat. Leon znęcał się nad *Jordim*, a później odebrał życie matce dwóch małych chłopców. Antonio, jeszcze będąc dzieckiem, poprzysiągł sobie, że kiedyś zabije ojczyrna.

Nikt nie potrafi zrozumieć, dlaczego ktoś nastaje na życie Unni.

Młodzi ludzie wyjeżdżają do Vestlandet, żeby porozmawiać z babcią Mortena. Być może starsza pani wie coś więcej na temat rodowej tajemnicy. Morten na czas wyjazdu potrzebuje pielęgniarki, towarzyszy im więc jeszcze jedna dziewczyna z kręgu przyjaciół. Ma na imię *Vesla* i bardzo pragnie uciec od swej leniwej, egocentrycznej i ogromnie wymagającej matki, która wysysa wszelkie siły ze swojej posłusznej córki.

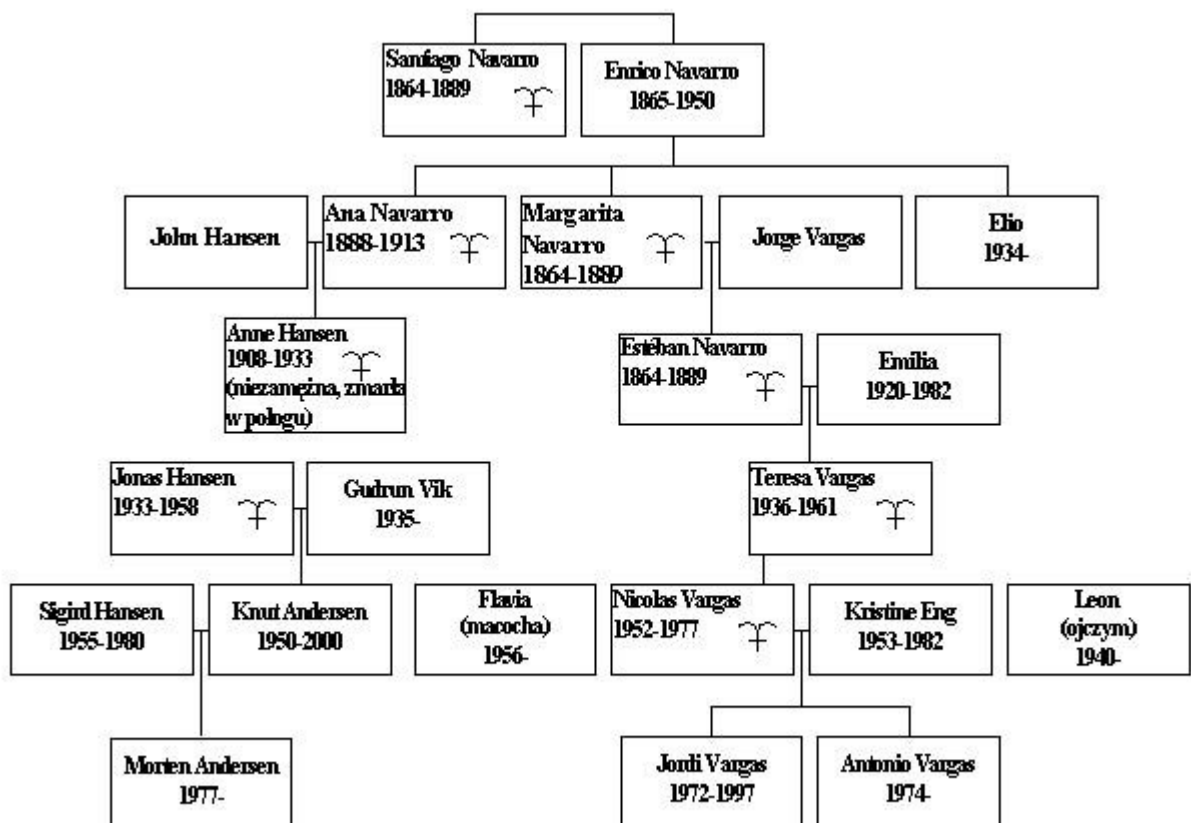
Inna dziewczyna, piękna *Emma*, za wszelką cenę stara się przyłączyć do grupy przyjaciół, ci jednak wyraźnie jej unikają. Morten natomiast nie chce się przyznać przed pozostałymi, że podkochuje się w Emmie.

Nagle pojawia się postać z koszmaru dzieciństwa Antonia, Leon. To on ich prześladuje. Młodzi rozumieją, że za napaściami na nich kryją się właśnie Leon i jego kompani, a Antonio zaczyna się bać własnej nienawiści.

Ostrzegają babcię Mortena przed Leonem i umawiają się z nią na spotkanie w połowie drogi, w pewnym pensjonacie.

Nieoczekiwanie, gdy dojeżdżają do Stryn, Unni i Antonio zauważają pewnego człowieka i oboje go rozpoznają, choć w zupełnie inny sposób. Ten człowiek to Jordi, zmarły brat Antonia, a zarazem mężczyzna, w którym Unni zakochała się, nie wiedząc, kim on tak naprawdę jest.

Jordi ma na rękę wypalony tajemniczy znak.



Dawna zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał ją skryć już przed wieloma stuleciami, trawa i krzewy wcisnęły się do środka, otulając ją zielonym woalem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią. Komu chciałoby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowia?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Cóż z tego jednak, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

CZĘŚĆ I
WIDMOWY DWÓR

1

Światło zmierzchu prędko gasło nad niezwykłym krajobrazem okolic Stryn. Unni szła z powrotem do samochodu wraz z braćmi Vargasami.

- Nie mogę tego pojąć! - powtórzył Antonio, promieniejąc z radości, chociaż z oczu płynęły mu łzy. - Jordi, ty żyjesz!

- No, owszem - odparł jego brat cierpko.

Cierpkość w głosie wydawała się zrozumiała. Unni nie wiedziała, czy powinna nazywać Jordiego żywym, czy też martwym. Mógł być i tym, i tym.

Po minie Vesli poznawała, że jeśli chodzi o gust w kwestii męskiej urody, to one dwie bardzo się od siebie różnią. Świetnie, pomyślała. Wobec tego mogę swobodnie pielęgnować swój podziw dla niego.

Jordi był odrobinę wyższy od Antonia, miał też szersze, bardziej kanciaste barki. Sprawiał wrażenie kompletnie wycieńczonego i zagłodzonego. Miał niezwykle wyrazistą twarz, mocno zarysowane kości policzkowe i silne, białe zęby. Linia szczęki była ostra, prawdopodobnie w wyniku niedożywienia, a spojrzenie ciemnych oczu intensywne, niemal wręcz palące. Niewielu ludzi nazwałoby go pięknym, lecz Unni, która uwielbiała właśnie ten typ męskich twarzy, inaczej nie potrafiła jej określić. Nie mogła się napatrzeć na Jordiego do syta.

Jeśli o jakimś człowieku można powiedzieć, że bije od niego dobroć, to taką osobą był właśnie Jordi. Unni przez całe swoje życie nie zetknęła się z niczym podobnym. Dobroć była z oczu Jordiego, z zasmuconego uśmiechu, z całej jego osoby. Jego aura, charyzma, energia czy jak kto chce to nazwać, była tak silna, że Unni natychmiast zapragnęła znaleźć się w jego ramionach i pozwolić, by od tej pory pokierował jej życiem.

Akurat w tej chwili jednak raczej Jordi potrzebuje opieki, odrobiny jedzenia, ciepła i odpoczynku.

Nic nie poradzę na to, że zapalaliśmy z Antoniem świece przed pustym grobem na cmentarzu. Był to symboliczny gest na cześć Jordiego w dniu jego urodzin, cóż z tego, że tak naprawdę wcale go tam nie było.

No dobrze, ale gdzie wobec tego przebywał?

Na takie pytanie odpowiedzieć mógł jedynie on sam. I, doprawdy, powinien to zrobić jak najszybciej. Unni jednak nie była wcale do końca przekonana, czy chce usłyszeć prawdę.

Szła krokiem tak lekkim, jakby poruszała się na skrzydłach. Nareszcie, nareszcie odnalazła bohatera swych marzeń!

Trzymała się nieco z tyłu za braćmi, pozwalając, by swobodnie ze sobą rozmawiali.

Mogła jednak bez przeszkód napawać się widokiem Jordiego. Nie dbała ani trochę o to, że był ubrany gorzej niż źle, a przede wszystkim za cienko jak na tę porę roku. Stroje nigdy nie miały dla Unni wielkiego znaczenia. Myślała tylko o tym, jak cudownie jest widzieć radość braci z nieoczekiwanego spotkania.

Nic dziwnego, że Antonio wydawał jej się taki podobny do Jordiego. Wszak okazali się rodzonymi braćmi!

Gdy byli małymi chłopcami, cztero - i sześciolatkiem, usiłowali się nawzajem chronić przed brutalnością ojczyma. Jordi, młody chłopak, poświęcił wszystko, by młodszy brat został lekarzem, wiedział bowiem, że sam umrze w wieku dwudziestu pięciu lat, jego życie więc nie miało znaczenia. To Antonio będzie żył dalej.

A teraz Jordi był tutaj! Musiał mieć dwadzieścia dziewięć lat, skoro Antonio miał dwadzieścia siedem. Od czterech lat powinien być martwy. Jak to się wszystko potoczyło? Gdzie on był?

Unni siedziała skulona na tylnym siedzeniu samochodu, ściśnięta między Mortenem a Jordim. Kiedy wyjechali ze Stryn i ruszyli w dalszą podróż, kierując się w stronę jeziora Hornindal, było już dość ciemno, nie na tyle jednak, by nie dawało się rozróżnić szczegółów krajobrazu.

Czy oni zdają sobie sprawę z tego, jak niewiele miejsca jej przypadło? Miała ochotę zawołać: „Mam atak klaustrofobii”, ale jakoś się przed tym powstrzymała. W takich okolicznościach chętnie zniesie ciasnotę.

Wiedzieli już teraz na pewno, że w żaden sposób nie uda im się dotrzeć na miejsce za dnia, lecz Unni w niczym to nie przeszkadzało. Uważała, że w półmroku, jaki panował teraz, atmosfera stawała się bardziej niezwykła, melancholijna. Góry o zmierzchu wydawały się takie ciężkie i ciche, cienie zajmowały coraz większą część drogi...

Bardzo niemilo było to przyznać, lecz miała wrażenie, że od Jordiego bije lodowaty chłód, oddzielający ją od niego niczym ściana. Kiedy ich dłonie przypadkiem się zetknęły, Unni poczuła, że ręka Jordiego jest lodowato zimna i przerażająco chuda. Odruchowo ujęła ją w swoje ręce, żeby choć trochę go rozgrzać, ale ciepło jej dłoni wydawało się rozpaczliwie znikome.

- Twoje palce są jak ścięte mrozem sęki na gałęziach! - rzuciła.

- Ależ, Unni! - zdenerwował się Morten. - Doprawdy, jesteś mistrzynią w prawieniu komplementów!

Unni nagle zawstydzila się swojego wybuchu i chciała puścić rękę Jordiego, on jednak wciąż nie zamierzał jej cofać, jakby dając tym samym znak, że nie wziął sobie słów dziewczyny do serca. Dalej więc trzymała jego rękę w swoich dłoniach, o wiele mniejszych. Uśmiechnął się do niej przelotnie i odpowiedział na pierwsze pytanie Antonia, które brzmiało:

- Dlaczego tak długo się nie ujawniałeś?

- Tak było najlepiej.

- Dlaczego?

- Nikt nie powinien był wiedzieć, że żyję.

- Ale czy nie pojmujesz, jak wielką żalobę nosiłem po tobie?

- Owszem, i bardzo mnie to bolało. Lecz w umowie znalazł się punkt, zakładający, że mam być nie - - człowiekiem.

- W jakiej umowie?

- O tym nie mogę teraz mówić.

Jordi miał taki piękny głos. U niego hiszpański akcent był leciutko zauważalny.

Doprawdy, trudno jednak powiedzieć, by od jego ciała było ciepło. Unni już zmarzła, a ból wywołany chłodem zmrożonych dłoni promieniował aż do barków. Wciąż jednak starała się ogrzać ręce Jordiemu.

Antonio zmienił temat.

- Jak to możliwe, aby twoja urna, Jordi, znalazła się na cmentarzu? - spytał.

- Ktoś w Hiszpanii pomógł mi to załatwić. W urnie jest tylko zwykły popiół z pieca.

- Kto ci pomógł?

- Pewna pani, która miała odpowiednie kontakty w konsulacie i u innych władz.

Słyszac tę odpowiedź, Unni poczuła się nieswojo. Owszem, Jordi miał prawo żyć tak, jak chciał, lecz mimo wszystko zrobiło jej się przykro.

- Co to za pani? - dopytywał się Antonio.

Jordi zwlekał z odpowiedzią. W końcu zerknął w bok na Mortena.

- Flavia Cleve.

Morten natychmiast podniósł głowę.

- Co takiego? Przecież to moja macocha!

Unni odetchnęła z ulgą.

- Rzeczywiście - przyznał Jordi. - Nawiązaliśmy kontakt ze sobą jeszcze tu, w Norwegii, kilka lat temu, kiedy stwierdziliśmy, że ja i ty, Mortenie, jesteśmy spokrewnieni. Teraz współdziałamy.

- A więc to ona podrzuciła prezent w przedpokoju w moje urodziny?

- Tak.

Czy ręka Jordiego zrobiła się teraz odrobinę cieplejsza? Unni tak bardzo pragnęła w to uwierzyć. Chciała też ująć jego drugą dłoń, lecz się nie odważyła.

Antonio miał kolejne pytanie:

- A więc ty przeżyłeś, Jordi? To znaczy, że ta historia o granicy dwudziestego piątego roku życia to jakaś bzdura?

Upłynęła dość długa chwila, nim Jordi w końcu odpowiedział.

- Nie - rzekł cicho.

- No, ale jak... ?

- Obdarzono mnie specjalnymi przywilejami po to, bym mógł pomagać tobie i Mortenowi. I Unni.

- Dlaczego mnie? - zainteresowała się dziewczyna.

- To długa historia.

- Masz na rękę znak czarnych mnichów. Zauważyłam to już wcześniej - powiedziała Unni.

- To nie są mnisi. To rycerze.

- Rycerzy już przecież nie ma - wtrącił Morten.

- Mnichów również już prawie nie - zareplikował Jordi.

Antonio bezustannie zerkał we wsteczne lustro.

- Nie przejmuj się Leonem i jego bandą, braciszku - rzekł Jordi łagodnie. - Oni już nie stanowią żadnego zagrożenia.

- To ty ich zatrzymałeś?

- Nie osobiście. Ale jak ci się wydaje, co przeżywa człowiek, widząc pięciu czarnych jeźdźców na koniach, wyrastających nagle na środku drogi? Co wtedy robi?

- Wjeżdża do rowu - odpowiedzieli wszyscy chórem.

- Samochód bardzo starannie opakował sobą drzewo - uzupełniła Unni.

Powazyli się na dość nerwowy śmiech.

- To znaczy, że masz z nimi kontakt? - spytał Antonio.

- Tak.

- I jest ich rzeczywiście pięciu? - upewniła się Unni.

- Rycerzy? Owszem.

- Ale matka Mortena naprawdę widziała mnichów, z głowami wygolonymi na łyso. I my także, prawie wszyscy, widzieliśmy ich w snach - przypomniała Unni.

- Wcale w to nie wątpię. Mnichów jest więcej, cały tuzin łysej czaszek. Cieszcie się, że przynajmniej na razie zetknęliście się z nimi jedynie w snach. Jeśli spotkacie ich na jawie, strzeżcie się!

- Przecież moja matka ich widziała - przypomniał Morten.

- Owszem, lecz ona już była skazana na śmierć. Ty ich jeszcze nie spotkałeś?

- Jedynie w snach.

- Świetnie. A czy ktoś z was słyszał te ich wabiące głosy?

- Owszem - pokiwała głową Unni. - Ale do mnie powiedzieli zaledwie jedną jedyną rzecz: *Ven a Santiago!* „Przybądź do Santiago!” Tylko co to ma znaczyć? Czy chodzi o tego przodka, Santiago Navarro, czy też o nazwę jakiegoś miejsca?

Przejeżdżali akurat przez jakąś niewielką miejscowość i do wnętrza samochodu wpadło światło ulicznych latarni. Jordi popatrzył na Unni swym niezgłębionym spojrzeniem. Uśmiechał się łagodnie.

- Tu chodzi o Santiago de Compostela, w Galicji, północno - zachodnim zakątku Hiszpanii. To miejsce pielgrzymek, stoi tam katedra, gdzie podobno spoczywają szczątki apostoła Jakuba Starszego.

- Powinam była to zrozumieć, to chyba słynne miasto?

- Bardzo słynne. Pielgrzymowali tam katolicy z całej Europy, wciąż zresztą przyjeżdżają, może nawet z całego świata.

- A co my tam mamy do roboty? Zarówno Morte - nowi, jak i mnie przyśniły się te słowa, *Ven a Santiago*.

- Bez względu na to, dokąd będziecie podróżować, tam się nie wybierajcie! Zwyczajni ludzie oczywiście mogą tam jeździć, ale nie wy. Mnisi mieli tam kiedyś swoją siedzibę, tam trzymali wszystkie swoje najwymyślniejsze narzędzia tortur, zapewne chętnie by was trochę podręczyli. Nigdy tam nie jedźcie!

Przestraszyło to wszystkich tak, że umilkli.

W końcu Morten zadzwonił do babci z wiadomością, że ich grupa powiększyła się o jedną osobę. Babcia odpowiedziała, że to nic nie szkodzi. Zakwaterowała się już u swego przyjaciela. Zapewniła, że jest tam mnóstwo miejsca, a jeśli wjadą samochodem do garażu, wchodzącego w skład posiadłości, nikt nawet się nie zorientuje, że tam są. Razem z

przyjacielem zamontowali już w oknach zaciemnienie, pochodzące jeszcze z czasów wojny, na zewnątrz nie przedrze się więc nawet smużka światła.

- Rozpoznaję twój głos, Jordi - oświadczył nagle Morten. - To ty mnie ostrzegłeś przez telefon!

- To prawda - podchwyciła Unni. - I powiedziałeś kelnerce, że mam natychmiast wracać do domu.

Jordi tylko się śmiał.

- Czy to ty nas ostrzegłeś pod szpitalem? - dopytywał się Antonio. - Wtedy gdy te deski zleciały na dół? A potem wsunąłeś mapę za wycieraczkę samochodu?

- Rzeczywiście, to byłem ja - przyznał Jordi ze spokojem.

Unni bardzo się ożywiła.

- A tam, koło wiaduktu kolejowego? To ty pokonałeś tych nożowników? I tak samo na schodach u Antonia?

Przypomniała sobie teraz ów lodowaty chłód, który poczuła podczas obu tamtych zdarzeń.

Wcześniej o tym nie myślała.

- Owszem - odparł Jordi. - Doszedłem do wniosku, że Antonio da sobie radę sam. Ale i ty doskonale sobie poradziłaś w tamtej bocznej uliczce, Unni. Wyeliminowałaś najgroźniejszego.

- Najgroźniejszego - powtórzył Antonio. - Czy to był Leon?

- Tak.

- To znaczy, że opieprzyłam Leona? - zaćwierkała Unni uradowana.

- Rzeczywiście - potwierdził Jordi.

- Bardzo ci za to dziękuję, Unni - powiedział Antonio, śmiejąc się cicho.

- Niestety, nie zdołałem ocalić Mortena ani Unni przed potrąceniem przez samochód - poskarżył się Jordi. - Ogromnie mi przykro z tego powodu.

- Już i tak wiele dla nas zrobiłeś - stwierdził Mor - ten. - Ostrzegłeś mnie, a ja cię nie usłuchałem. No, ale te zwoje? I listy?

- To bardzo zawikłana historia.

- W jaki sposób mogłeś być dosłownie wszędzie? I to tak, że nikt cię nie zauważył - dopytywał się Antonio wzburzony. - Skąd mogłeś wszystko wiedzieć? Ty nas strzegłeś, prawda?

- O tym porozmawiamy później - odparł Jordi. - Dzisiaj byłem tak zmęczony i śpiący, że przestałem się pilnować. W innym wypadku nigdy byście mnie nie zobaczyli.

- Świetnie, że tak się stało - ucieszył się Morten, a wszyscy pozostali przyznali mu rację.

Jordi zaś najwidoczniej także się z nimi zgadzał.

Unni wciąż nie posiadała się z radości, że ów mężczyzna, którego spotkała na lotnisku, to właśnie Jordi. Wiedziała już teraz na pewno, że bohater jej marzeń jest z całą pewnością dobrym człowiekiem. W dodatku poznanie z nim okazało się o wiele łatwiejsze, niż przypuszczała. Kiedy samochód zatrzymał się na parkingu w Stryn, przeżyła kilka naprawdę pełnych napięcia sekund. Nie miała wtedy pojęcia, jak zdobyć się na odwagę, żeby do niego zagadnąć, ani też co tak naprawdę powinna powiedzieć.

Tymczasem wszystko tak łatwo samo się rozwiązało.

Unni była dość naiwną osobą. Już wkrótce miała doświadczyć, że posiadanie takich przyjaciół jak Jordi nie jest samą tylko przyjemnością.

Nie z uwagi na niego i jego wspaniały charakter, lecz ze względu na wszystko to, co się łączyło z jego osobą.

Ciemność zapadała ponad Hornindalsvatnet, najgłębszym jeziorem w Europie, mierzącym ponad pół kilometra w głąb i o najczystszej w Skandynawii wodzie. Znajdowali się na samym początku dwudziestopięciokilometrowej trasy ciągnącej się wzdłuż jeziora. Świecił księżyc, ponieważ jednak kierowali się na południe od jeziora, nie widzieli księżycowej ścieżki odbijającej się w wodzie. Od czasu do czasu tylko tafla wody migotała i lśniła w ciemności.

Telefon komórkowy Mortena był podłączony do głośników samochodowych. Kiedy zadzwonił, Morten jako właściciel odebrał połączenie.

- Witaj, Mortenie, mówi Emma!

- Cześć - zająknął się zdumiony.

Współtowarzysze podróży skrzywili się, Antonio zatrzymał samochód.

- Gdzie jesteście? - spytała dziewczyna.

Wszyscy jednocześnie wykonali gesty, mające ostrzec Mortena przed mówieniem wprost.

- Tego... tego, doprawdy, nie wiem - odpowiedział Morten zmieszany, ciesząc się, że ciemności kryją rumieniec, który wypełził mu na twarz. To przecież Emma, cudowna Emma!

- Przyjedźcie po mnie! - nakazała dziewczyna. - Czekam w Ålesund.

- Naprawdę jesteś w tych stronach? - wykrzyknął Morten.

- Owszem, przyleciałam samolotem.

- Całkiem niepotrzebnie! - zawołała Unni tak głośno, że Emma nie mogła jej nie usłyszeć.

- Ale czy ty się nie wybierałaś do Førde? - wypytywał Emmę dalej Morten.

- Owszem - zaćwierkała dziewczyna. - Ale równie dobrze mogę wam towarzyszyć przez kilka dni.

Rozmowę przejął Antonio:

- Emmo, właśnie oddaliśmy się od Ålesund. Możemy tam dotrzeć najwcześniej jutro rano - skłamał. - No i poza wszystkim nie mamy czasu na takie wypadki. Niestety, musisz dotrzeć do Førde na własną rękę, tak będzie o wiele szybciej. A tak w ogóle, to co ty robisz w Ålesund? Førde przecież ma własne lotnisko.

- Nie było dogodnych połączeń. Pory lotów mi nie odpowiadały. Ale oczywiście nie muszę was o nic błagać na kolanach. Znajdę inne wyjście.

- W to nie wątpię - odparł Antonio cierpko i wyłączył aparat.

Jordi przez cały ten czas siedział w milczeniu. Dopiero teraz się odezwał:

- Emma? Strzeżcie się jej!

- Phi! Ona tylko lata za chłopakami - prychnął Antonio, na co Mortena aż ścisnęło w brzuchu, jakby właśnie tam umiejscowiło się sumienie.

- Emma jest jak jadowity pająk - oświadczył Jordi. - To kochanka Leona. Jedna z jego bandy.

- Naprawdę? - zdziwił się zachwycony Antonio. - Czyżbym to właśnie ją wtedy uderzył?

- Rzeczywiście tak było, ale to jeszcze nie koniec. Emma jest wnuczką tej Emilii, która zamordowała Estébana, ojca naszej babki, i która skazała swoją nieszczęsną młodą córkę Teresę, czyli naszą babkę ze strony ojca, na poniewierkę.

- Co ty mówisz? Czyżby Emma była naszą krewniaczką?

- W połowie. Emilia wyszła wszak powtórnie za mąż za bogatego mężczyznę i miała z nim dzieci. Emma więc jest przyrodnią kuzynką naszego ojca.

- Bardzo nieprzyjemna sytuacja - mruknął Antonio. - Czy z tego powodu musimy okazywać jej jakieś względy?

- Jeśli chodzi o taką osobę jak Emma? Ależ skąd, wprost przeciwnie! Ja sam również kiedyś z nią walczyłem, lecz ona o tym nie wie. A poza wszystkim te jej blond włosy są fałszywe, ma w sobie więcej hiszpańskiej krwi niż ty i ja.

- Czy ona cię widziała?

- Nie. Zarówno banda Leona, jak i mnisi mnie nie widzą. Rycerze natomiast nazywają mnie najsilniejszym, dlatego - to wyjaśnię wam później. Żywi ludzie nie mogą mnie zobaczyć, podobnie jest z mnichami.

- To brzmi jakoś strasznie - odezwała się Vesla.

Od dawna już pozostawała milcząca. Teraz jej głos zabrzmiał niewyraźnie, jakby przez łyżę. Co też ona musi sobie myśleć? Towarzysze okazywali wyrozumiałość dla jej dystansu do całej sprawy. Vesla miała rację - to, co mówił Jordi, musiało brzmieć strasznie...

- Nie ma się czym przejmować - odpowiedział jej Jordi spokojnym, lekkim tonem. - Lecz jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię, to nie wierzę, że Emma jest w Ålesund. Prawdopodobnie otrzymała polecenie, by zwabić nas w tamte strony. Z całą pewnością gdzieś niedaleko Ålesund albo po drodze w tamte okolice zastawiono na nas pułapkę.

Morten przełknął ślinę. On był już gotów natychmiast rzucać wszystko i ruszać Emmie na pomoc, gdyby Antonio nie włączył się do tej rozmowy.

Ten zaś, wzdychając głęboko, z wyraźnym zniecierpliwieniem, oświadczył:

- Jordi, chyba już najwyższa pora, żebyś opowiedział nam wszystko od samego początku.

Zaprotestowała jednak Unni.

- Wydaje mi się, że akurat w tej chwili twemu bratu nie na długo starczy sił. Czy nikt nie ma dla niego nic, co nadawałoby się do jedzenia? A ty, Antonio, włącz ogrzewanie! Jordi strasznie marznie.

- Możesz wziąć mój wełniany koc - zaproponował Morten. Niezgrabnie podany koc spadł na Unni, całkiem ją przykrywając.

Jordi, rzecz jasna, trochę protestował, ale uwolnił Unni, a ona zaraz pomogła mu się starannie okryć.

Vesla wyjęła mały kartonik z sokiem pomarańczowym i drożdżówkę.

- Dziękuję - powiedział Jordi zwyczajnie, kiedy już zjadł. - To pierwsza rzecz, jaką miałem w ustach od trzech dni.

Oparł głowę o szybę samochodu.

- Nie dano mi pozwolenia na udział w tej wyprawie - rzekł z uśmiechem. - Ale cieszę się, że mogę być razem z wami.

- My też bardzo się z tego cieszymy - zapewnili go jednogłośnie. Domyślali się, że jego życie ostatnio musiało upływać w przerażającej samotności.

Zapadła cisza.

- Zasnął? - spytał po chwili Antonio.

Unni bacznie przyjrzała się Jordiemu.

- Mam nadzieję, że właśnie tak się stało, a nie że zatruł się tą drożdżówką od Vesli.

Siedzieli w milczeniu, pozwalając Jordiemu spać. Unni znów ujęła jego dłoń.

Na pewno czuje, że teraz jest bezpieczny, pomyślała na pocieszenie w przekonaniu, że spełnia dobry uczynek.

Dotarli niemal do krańca jeziora Hornindal, kiedy Morten oznajmił, że znów musi wyjść. Samochód stanął. Vesla powiedziała, że to naprawdę wspaniale, iż Morten odczuwa potrzeby fizjologiczne i że wszyscy powinni się z tego cieszyć razem z nim. Jordi się przebudził, a Unni zaraz mu wytłumaczyła, dlaczego się zatrzymują. On tylko pokiwał głową.

- Wydaje mi się, że wszystkim nam dobrze zrobi rozprostowanie kości - stwierdził Antonio, opuszczając samochód.

Wieczór był zimny i pogodny. Dokładnie widzieli teraz jezioro w blasku księżyca.

Zebrali się z powrotem przy samochodzie, gdy nagle Morten zaczął wołać.

- Co się znowu takiego stało? - burknęła Unni.

Tymczasem Morten, podpierając się kulami, przemieszczał się w ich stronę.

- Spójrzcie tam! - zawołał podniecony, wskazując jedną kulą na brzeg jeziora.

Vesla czym prędzej podtrzymała go, ratując przed upadkiem.

Odwrócili głowy w stronę, którą im wskazał.

- Co tam znowu? - zdziwiła się Vesla. - Ja nic nie widzę.

- Ja też nie - zapewnił Antonio.

- Za to ja widzę - oznajmiła Unni.

- I ja także - powiedział Jordi wolno, bardzo zatroskany.

Stali niczym kamienne posągi, wysokie, czarne, z nagimi, wygolonymi na gładko głowami.

- To mnisi - wyjaśnił Jordi Antoniowi i Vesli. - Są tutaj. To nie wróży niczego dobrego.

Antonio nie krył podniecenia.

- Fakt, że Vesla ich nie widzi, jest najzupełniej zrozumiałe, ale dlaczego widzi ich Unni? Dlaczego nie ja?

- To, że nie możesz ich zobaczyć, oznacza, że jesteś poza zagrożeniem - odparł Jordi. - Oni znaleźli mnie. To ja jestem teraz tą osobą, nad której głową wisi przekleństwo. Mnisi nigdy nie wiedzieli, kim jestem, teraz jednak już wiedzą.

- Ale przecież już dawno skończyłeś dwadzieścia pięć lat!

Mówili bez tchu, jedno przez drugie, przerażeni niezwykłym widokiem.

- Przedłużono mi mój czas do trzydziestego roku życia. Uczynili to rycerze, życząc sobie, bym rozwiązał całą zagadkę i zniweczył przekleństwo, tak by twoje dzieci były od niego wolne. Tak samo jak Morten i jego dzieci.

- Dasz radę to zrobić?

- Staram się usilnie. Niestety, mam opóźnienia, ponieważ jednocześnie muszę was chronić.

Unni, nie odrywając wzroku od budzących grozę sylwetek nad jeziorem, szepnęła:

- Trzydzieści lat. A masz teraz dwadzieścia dziewięć. To ci daje rok, dokładnie tak jak Mortenowi.

- Zgadza się.

- Który z was będzie pierwszy?

Bracia popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

- To powinnaś już wiedzieć, Unni.

Unni zaczęła się intensywnie zastanawiać. Ogromnie się cieszyła, że ci dwaj mężczyźni są jej tak bliscy. Cofnęła się, jakby chcąc się oddalić od groźnej grupy na brzegu.

- Ależ oczywiście, jakaż ja jestem głupia! - przyznała po chwili. - Byliśmy przecież na twoim grobie w twoje urodziny, Jordi, a było to tego dnia, kiedy obchodziliśmy urodziny Mortena. To znaczy, że wasze urodziny wypadają dokładnie tego samego dnia.

- Owszem, przyszedliśmy na świat z różnicą dokładnie pięciu lat - uśmiechnął się Jordi półgębkiem. - Rzeczywiście, urodziliśmy się tego samego dnia i w tym samym miesiącu, tak więc, Mortenie, musimy zrobić wszystko, żeby się nam udało. Żaden z nas nie będzie miał okazji uczyć się na błędach drugiego, nasza godzina wybije w tym samym momencie. Ale ja zamierzam cię uratować, Mortenie, nawet gdyby była to ostatnia rzecz, jaką zrobię. Ja bowiem urodziłem się tuż po północy, więc także i w ten sposób jestem od ciebie starszy.

- Bardzo ci dziękuję - odparł Morten. - Ale dlaczego Unni ich widzi? Wydaje mi się, że oszukuje. Próbuje nas sobą zainteresować z jakiegoś powodu, którego nie jestem w stanie pojąć.

Jordi odwrócił się do Unni.

- Powiedz mi, ilu mnichów widzisz na brzegu?

- Przecież wszyscy wiedzą, że jest ich dwunastu - prychnął Morten.

Unni, stając między braćmi, zaczęła liczyć.

- Mnichów jest jedenastu.

- Masz słuszność - kiwnął głową Jordi.

- No tak, rzeczywiście - szepnął Morten zdumiony.

- Czy nie możemy w końcu wsiąść do samochodu? - poprosiła nerwowo Vesla.

- Dobrze, ty już idź - zgodził się Jordi. - Inni mogą spokojnie tutaj stać. Oni się nie zbliżą, przynajmniej na razie.

- Wydaje mi się, że Unni nie musi się wcale obawiać tego, że zostanie wciągnięta w nasze rodzinne piekło - powiedział Antonio. - Ona po prostu jest w stanie zobaczyć więcej niż inni.

Jordi posłał dziewczynie jakieś dziwne spojrzenie.

Nic nie mówi, ale coś wie. Po prostu nie chce mnie straszyć, pomyślała Unni. A ja przez to jeszcze bardziej się boję. Prawie tak samo, jak boję się tych strasznych mnichów.

- Dlaczego jest ich tylko jedenastu? - spytał Antonio.

- Dlatego, że jednego udało mi się wyeliminować - wyjaśnił Jordi cierpko.

- Gdyby więc udało się nam pozbyć ich kolejno po jednym, niebezpieczeństwo zostałyby zażegnane?

- Aż tak proste to nie jest.

Antonio wyraźnie zaczynał się niecierpliwić. Szepnął podniecony:

- Jordi, ile ty właściwie wiesz?

- Całkiem sporo, lecz nie tak znów strasznie dużo więcej niż wy.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Tego nie wiem. Po części dlatego, że rycerze wydają się jakby związani czymś w rodzaju przysięgi milczenia, po części zaś, ponieważ mnisi, którzy należeli do sądu inkwizycyjnego, obcięli im języki.

- O rany! Czy to znaczy, że ta historia ma jakiś związek z religią?

- Nie, nie przypuszczam, żeby tak było. W każdym razie nie bezpośrednio.

- Ale w jaki sposób się porozumiewacie?

- Za pomocą siły myśli. Rycerze są niezwykle dumnymi ludźmi i nie chcą nawet próbować posługiwać się mową, nie posiadając języków.

- Doskonale to rozumiem - przyznał Antonio.

- Spójrzcie, zniknęli! - zawołała Unni, która przez cały czas trzymała się tak blisko braci, iż niemal deptała Jordiemu po palcach. Właśnie jego bowiem starała się trzymać najbliżej. On przecież był najsilniejszy, tak jak twierdzili rycerze, chociaż sama Unni nie bardzo potrafiła zdefiniować, na czym miałyby polegać jego siła. Owa siła po prostu tkwiła w nim pomimo oczywistego ubóstwa i ciężkich przeżyć, które wycieńczyły jego organizm.

Morten poddał się i wsiadł do samochodu.

- Zniknęli bez śladu, a my nie zrobiliśmy żadnych zdjęć, do diabła! - westchnęła Unni z pewną ulgą, ale i oskarżycielsko.

- No to jedziemy dalej! - postanowił Jordi.

Podróż trwała w kompletnej ciszy wśród blasku księżyca, który zalał teraz piękny krajobraz. Wszyscy siedzieli pogrążeni w myślach. Unni podświadomie przysunęła się bliżej Jordiego. Czuła się samotna i przestraszona spotkaniem z bohaterami tego niezrozumiałego dramatu, w który została wciągnięta.

Jordi nie miał innego wyjścia, jak tylko opiekuńczo objąć ją ramieniem, jeśli w ogóle mieli jakoś się pomieścić. Bijący od niego lodowaty chłód wprost mroził Unni, lecz dziewczynie nie przyszło nawet do głowy, by się od Jordiego odsunąć. Westchnęła tak głęboko, że zabrzmiało to niczym szloch.

„Trzeba położyć kres wszelkiemu cierpieniu!”

W tych słowach krył się klucz do całej zagadki.

Wszyscy nie mogli się już doczekać, kiedy usłyszą historię Jordiego.

Ale Unni zadrżała, przeniknięta zimnem aż do szpiku kości. Co takiego Jordi niedawno powiedział?

„Jeśli kiedyś ujrzycie mnichów, strzeżcie się!”

3

Do Nordfjordeid dotarli późnym wieczorem i jechali dalej, kierując się w stronę pensjonatu. Morten pilotował ich za pomocą telefonu komórkowego. Zawsze, gdy tylko mógł się do czegoś przydać, cieszył się jak dziecko, Antonio więc powstrzymał się od uwagi, że równie dobrze sam mógłby rozmawiać z babcią Mortena przez samochodowe głośniki. Po cóż zresztą miałby to robić? Młody chłopak radził sobie naprawdę dobrze.

Długo jechali coraz węższymi drogami poprzez mocno pofałdowany teren, nie mając tak naprawdę pojęcia, gdzie się znajdują.

W końcu jednak minęli tabliczkę z napisem: „Widmowy Dwór”.

- Bardzo pobudzająca wyobraźnię nazwa. - Unni aż zadrżała. - Kim było owo widmo?

- Nie wiem - odparł Morten. - Nie znam tych okolic.

- Bez względu na to, czego nam teraz potrzeba, to z całą pewnością nie są tym żadne lokalne straszidła. Wystarczą przeciwnicy, żyjący i nieżyjący, którzy nieustannie depczą nam po piętach.

Nagle z gęstego mroku wyłonił się niewidoczny wcześniej okazały budynek.

- Czy tu nikogo nie ma? - spytała zdumiona Vesla.

- Celowo założyli zaciemnienie w całym domu - odparł Morten. - Babcia stara się zachować wszelką ostrożność, gdy chodzi o te mroczne siły, które odbierają życie jej najbliższym.

- Do których zaliczasz się również ty - skomentowała Unni.

- Owszem - przyznał Morten krótko.

Dom górował nad przybyłymi niczym wieża. Unni nie bardzo lubiła styl tej epoki, kiedy to powstawały wielkie, trzeszczące drewniane domiszcza, wysokie i nieprzytulne, w których aż rozlegało się echo. Jeszcze zanim wysiedli z samochodu, domyśliła się, że Widmowy Dwór jest urządony w „starym norweskim stylu”. Ściany z belek pomalowano na wstrętny brunatny kolor albo, co gorsza, są jasnozielone z rdzawoczerwonymi zdobieniami. Istna paskuda!

Morten wydawał polecenia:

- Skręć trochę na prawo, Antonio, to wjedziemy na dziedziniec!

- Dobrze, że nie ma śniegu, w którym zostałyby ślady - zauważyła Vesla, oglądając się w tył. - Nikt nas tutaj nie znajdzie.

- Nikt żywy - dodał Jordi cicho.

- Zamilknijże wreszcie, ty proroku nieszczęścia! - uśmiechnął się dobrodusznie Antonio. - Ale naprawdę uważasz, że ci upiorni mnisi mogą przekazać wiadomość Leonowi i jego bandzie?

- Tego nie wiem - odparł Jordi. - Ponieważ jednak ja mogę się komunikować z rycerzami...

Nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie.

Jakiś starszy mężczyzna otworzył drzwi do garażu i Antonio ostrożnie wprowadził samochód do środka. Drzwi zamknięto i mężczyzna zapalił w końcu latarkę.

- Witajcie! - odezwał się ciepło. - Weźcie swoje bagaże i idźcie tymi schodami!

Wchodzenie po schodach nie było akurat specjalnością Mortena, na szczęście te zaopatrzone były w poręcz, której mógł się przytrzymywać, i przy solidnym wsparciu przyjaciół oraz wtórze licznych postękiwań wdrapał się w końcu na górę.

Gudrun, babcia, powitała go tam uściskami i potokiem łez.

- A oto i twoi przyjaciele - powiedziała, odezwawszy się wreszcie do wnuka. - Ty musisz być Unni! Ale, drogie dziecko, jesteś dosłownie sina z zimna! Ogrzewanie w samochodzie nie działa?

- Hm, zmarzłam z innego powodu - mruknęła Unni, nie patrząc na Jordiego.

- A ty jesteś Antonio, prawda? Lekarz i w ogóle. To niezwykle praktyczne rozwiązanie. Ty natomiast musisz być Vesla, Morten bardzo chwalił twoją opiekę podczas podróży.

A potem babcia Gudrun zamilkła. Kiedy stanęła przed Jordim, na jej twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia. Nic zresztą w tym dziwnego. Doprawdy, trudno było orzec, skąd się on wywodzi, czy przynależy do królestwa życia, czy też śmierci. Łatwo natomiast starsza pani teraz odgadła, dlaczego Unni tak bardzo przemarzła.

Na gości czekał już gorący posiłek, jedzenie smakowało wprost niebiańsko. Unni ukradkiem przyglądała się Jordiemu. Jadł bardzo ostrożnie, jakby nie przywykł do jedzenia, Unni spostrzegła jednak, że bardzo go poruszyła bliskość przyjaciół, smaczna kolacja i ciepło panujące w pokoju. Morten nie przestawał mówić, jakby naprawdę przebudził się do życia.

Unni wyobrażała sobie jego babcię jako niedużą okrągłą staruszkę z siwymi włosami i policzkami rumianymi jak jabłuszka. Nie bardzo odpowiadało to prawdzie.

Gudrun Vik Hansen była ubrana w elegancki sportowy sweter i legginsy. Wyglądała bardzo młodzieńczo, miała makijaż, wyraźny własny styl i była bardzo wesoła. Według słów jej przyjaciela, Bjørna, potrafiła gnać z wózką na zakupy przez centrum handlowe niczym kierowca rajdowy, jeśli tylko miała Wolną drogę, a robiła tak jedynie dlatego, że ją to bawiło.

Umiała rąbać drzewo jak mężczyzna, doskonale grała w brydża, do którego siadywała raz w tygodniu, prowadziła kurs francuskiego i nie bała się niczego na świecie. A wiek? Sześćdziesiąt sześć lat.

Gudrun Hansen ogromnie cieszyło, że Morten nareszcie nawiązał z nią kontakt. Po wypadku bardzo się o niego martwiła. Napisała do niego mnóstwo listów, lecz, jak się sama wyraziła, wnuk nie był wzorowym korespondentem.

Łóżka czekały już na przybyszów gotowe w nagranych pokojach, najpierw jednak postanowili trochę porozmawiać.

Usiedli więc przed kominkiem w jednym z większych pomieszczeń, wszyscy łącznie z babcią Mortena, po to, by wysłuchać historii Jordiego.

Do historii, którą mogła im opowiedzieć Gudrun, postanowiono wrócić następnego dnia.

Unni i Vesla usadowiły się w drewnianych fotelach, których siedzenia i oparcia obite były tradycyjną norweską kraciastą tkaniną. Jordi i Antonio zajęli miejsca po obu stronach kominka, Jordi siedział na ukos od Unni, mogła go więc dobrze widzieć (i chętnie na niego patrzyła). Morten zasiadł razem ze swoją babcią na kanapie, gospodarz natomiast opuścił Widmowy Dwór, musiał bowiem wrócić do domu, do swojej rodziny.

Antonio rozpoczął od nieco pobieżnego naszkicowania wydarzeń, jakie stały się udziałem Mortena, Unni i jego samego. Vesla przecież przyłączyła się do nich znacznie później.

- Ach, tak, a więc i wy, bracia, mieliście swoje trudności - pokiwała głową Gudrun. - Tak, tak, wiedziałam przecież, że istniała jeszcze jedna gałąź rodu, pochodząca od siostry bliźniaczki babki mego męża Jonasa. Sądziłam jednak, że ta gałąź rodu wymarła.

- Niewiele brakuje, aby tak się stało - krótko zauważył Antonio.

- Ty chyba sporo wiesz, babciu - stwierdził Morten.

- Więcej, aniżeli ci się wydaje.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Miałam cię straszyć do obłądu? Nie sądziłam, że wiesz o tej granicy dwudziestego piątego roku życia.

- Sam się o niej dowiedziałem - odparł chłopak.

- A co z tobą, Jordi? - spytała Gudrun. - Ogromnie jesteśmy ciekawi, co się działo z tobą.

Jordi pokiwał głową i w końcu zaczął opowiadać.

- Antonio, ty wiesz, że bardziej niż ciebie interesowały mnie nasze hiszpańskie korzenie, prawda?

- No tak, często przecież jeździłeś do Hiszpanii.

- Nie tak znów często. Mówiąc dokładniej, byłem tam trzy razy. Ja także chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym przekleństwie...

Unni wprost połykała Jordiego oczami. Jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie spotkała człowieka zdolnego oczarować ją bardziej niż on. A teraz, podczas gdy mówił, dzięki czemu miała w pełni usprawiedliwiony powód, by się weń wpatrywać, nawet nie starała się ukryć swego podziwu.

- Moja historia jest zbyt długa, bym mógł ją wam przekazać dziś wieczorem - oświadczył Jordi swoim zmysłowym, głębokim głosem. - Jeśli jednak macie jakieś pytania, na które mógłbym odpowiedzieć, chętnie zrobię to już teraz.

- Mam setki pytań - jako pierwsza odezwała się Unni. - Ale to, które najbardziej mnie nurtuje, jest następujące: Jak to możliwe, że nikt nie mógł cię zobaczyć? Potrafiłeś przecież być wszędzie, nigdzie się nie pokazując. Umiesz stać się niewidzialny?

Było to dość niezwykle pytanie, lecz nikt nie zareagował na nie oburzeniem. Wszyscy czekali na odpowiedź Jordiego.

Ich cierpliwość znów została wystawiona na próbę. Wreszcie padły słowa:

- Nie, nie potrafię stawać się niewidzialny w dosłownym rozumieniu tego słowa, posiadam jednak zdolność zmuszania ludzi, by nie zwracali na mnie uwagi.

- To chyba będziesz musiał wyjaśnić nam dokładniej.

Jordi uśmiechnął się spokojnie.

- Z całą pewnością każde z was od czasu do czasu doświadcza czegoś podobnego. Szukacie jakiejś rzeczy i nagle odkrywacie, że po prostu wcześniej jej nie zauważyliście. Patrzyliście jakby na wskroś przez nią, a ona przez cały czas leżała tuż przed waszym nosem.

Twierdząco pokiwali głowami. Tak, taką sytuację rozpoznawali.

- Właśnie tak jest ze mną. Ludzie po prostu nie zwracają na mnie uwagi, chociaż przez cały czas jestem tuż obok. Wymaga to z mojej strony ogromnej siły skupienia, a dzisiaj byłem po prostu zbyt zmęczony i dlatego właśnie mnie spostrzeżliście.

- To znaczy, że nie zawsze bywasz taki wycieńczony jak dzisiaj? - dopytywała się Unni.

- Oczywiście, że nie, to była wyjątkowa sytuacja. W ostatnim czasie Leon i jego kompani za wszelką cenę starali się was dopaść i teraz znów deptali wam po piętach. To

pochłonęło wszystkie moje siły, ale muszę przyznać, że po takim powitaniu, z jakim się tu spotkałem, już się czuję o wiele lepiej - uśmiechnął się szeroko.

Zrozumienie przyczyn jego niezwyklej umiejętności sprawiło im pewien kłopot, nie chcieli jednak bardziej go naciskać. Zamiast tego Antonio spytał:

- Wiem, że Unni aż się cała gotuje w środku z niecierpliwości. Jordi, wspominałeś, że jej rola w całej tej historii jest dość skomplikowana.

Przez twarz jego brata przemknął cień.

- To prawda. Obawiam się, że ja sam wciągnąłem Unni w nasze rodzinne piekło. Po prostu nawet nie przeczuwałem, że to się tak rozwinie.

- Ty miałbyś ją wciągnąć? Wyjaśnij!

Jordi wahał się.

- To... najchętniej wytłumaczyłbym Unni na osobności.

Dziewczyna poczuła, jak rumieniec wypełza jej na twarz, sięgając aż na skronie. Zapragnęła wypędzić z pokoju resztę towarzystwa, tak by mogła zostać sama z Jordim i usłyszeć, co ma jej do powiedzenia.

Antonio jednak najwyraźniej był innego zdania.

- O, nie, Jordi, wszyscy mamy prawo usłyszeć, dlaczego Unni jest w to wmieszana aż w takim stopniu. W jaki sposób mogłeś ją wciągnąć w nasze sprawy? Jak do tego doszło?

Jordi posłał Unni przepaszające spojrzenie, a ona zrozumiała, że bardzo nie chciał wyjaśniać pewnych kwestii publicznie. Ta świadomość napełniła ją przyjemnym uczuciem. Uznała, że coś ich łączy, że on nie chciał jej zranić, w każdym razie przypuszczała, że tak jest.

- Rycerze mnie o to prosili - wyznał w końcu Jordi z wielką niechęcią.

- O mnie? - wykrzyknęła Unni zdziwiona.

Jordi odwrócił się w jej stronę.

- Nie o ciebie konkretnie. Ciebie wybrałem sam.

- Ale dlaczego? I jak to; „wybrałeś”? Do czego?

Jordi wciąż się wahał, w końcu jednak podjął decyzję.

- No dobrze, niech wam będzie. To się zdarzyło jeszcze przed twoim wypadkiem, Mortenie. Ten wypadek był szokiem dla nas wszystkich. Nie zdążyłem przestrzec cię dostatecznie wyraźnie i nie zdołałem zapobiec nieszczęściu. Wydarzenia potoczyły się tak szybko.

- Jacy wszyscy? - dopytywał się Morten. - Tych pięciu rycerzy i ty?

- Tak. Jeszcze na długo przed owym fatalnym dniem rycerze zaczęli się niecierpliwie. „Ten Morten jest zbyt ospały. Czy on kompletnie nie wie, o co chodzi?“, mówiły ich myśli, kiedy się spotykaliśmy.

Morten wyglądał, jakby chciał zaprotestować przeciwko nazywaniu go ospałym, Jordi więc prędko podjął:

- „Znajdź dla niego dziewczynę - powiedzieli. - Czas płynie, on się musi pospieszyć”.. Wybrałem więc taką, którą, moim zdaniem, powinien się zainteresować. Rycerze udzielili mi rad i pouczeń. Sam widziałem, że Mortenowi podobała się zarówno Hege, jak i Emma, lecz tych panów nie zadowalała żadna z nich. Hege nie poradziłaby sobie z obciążeniami, które przecież musiały nadejść, Emma zaś należała do obozu wroga. Natomiast wobec Vesli Morten ma kompleks niższości, o tym nie da się zapomnieć.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że Vesla przewyższa Mortena wzrostem o głowę, a on nie jest dostatecznie wielkoduszny, by wznieść się ponad takie drobiazgi.

Jordi urwał na chwilę.

- Nigdy nie miałem wątpliwości, że najwłaściwszą w tym względzie osobą będzie Unni. To odważna, bystro myśląca dziewczyna, wrażliwa na doznania paranormalne, a w dodatku najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem.

Wypowiadając te ostatnie słowa, wyraźnie zniżył głos, który zabrzmiał przez to bardzo delikatnie i ciepło.

Zapadła pełna zdumienia cisza. Unni też nie odezwała się ani słowem.

Zastanawiała się, czy on może ot, tak po prostu kłamać? Ale przecież oczy miał takie poważne i zasmucone.

Serce zabiło jej mocno.

On uważa, że jestem ładna. Ja? Jordi uważa, że jestem ładna! No, ale chciał mnie pchnąć w ramiona Mortena. Skoro chciał się mnie pozbyć, to musi oznaczać, że ani trochę mu na mnie nie zależy.

To bardzo boli. Jest tak strasznie trudne do zniesienia, chyba zaraz sobie stąd pójde. Nie wolno mi przecież płakać.

Ciszę przerwał wreszcie Antonio:

- Doprawdy, bystry jesteś, braciszku! Jakbyś czytał w moich myślach.

Babcia Gudrun przytaknęła. W głowie Vesli zapanował chaos, natomiast Morten jak zwykle protestował:

- Unni? Jak mogłeś przypuszczać, że zainteresuje mnie Unni? Owszem, to naprawdę świetna koleżanka, lecz nic poza tym. I przecież ona nie jest naj...

- Niekiedy bywasz nadzwyczaj powierzchowny, Mortenie - przerwał mu Antonio. - Unni ma w sobie niewypowiedziane piękno, które trzeba odkryć samemu. To może potrwać, a ty widać potrzebujesz na to więcej czasu niż inni.

Jordi wrócił do głównego wątku:

- Wkrótce jednak pojąłem, że popełniłem błąd. Morten nigdy nie zainteresowałby się Unni. Ani też ona nim, miała wszak słabość do kogoś innego.

Unni zaskoczona spuściła wzrok. Czyżby on wiedział?

- Ale wtedy już była wciągnięta w tę aferę - powiedział Jordi. - Z początku wywołało to gniew rycerzy, potem jednak stwierdzili, że Unni może się przydać. Mnisi natomiast i ich banda traktują ją jak niebezpiecznego wroga, tak więc...

Wyciągnął swoją lodowato zimną dłoń i nakrył nią rękę dziewczyny.

- Ogromnie mi przykro, że tak się to ułożyło, Unni.

- Mnie właściwie wcale - odparła po namyśle. - Przynajmniej na razie. Ale przecież jeszcze może być gorzej.

- Z tym, niestety, musimy się liczyć.

- No, ale przynajmniej ta zagadka się rozwiązała - lekko powiedziała Unni. - Już wiem, w jaki sposób zostałam wplątana w tę waszą rodzinną historię. Następne pytanie?

Jordi jednak ją uraził. Nie chciał jej. Choć i on, i Antonio nazwali ją piękną, to, że Jordi zamierzał pchnąć ją w objęcia Mortena, sprawiło jej przykrość.

Właśnie Morten zadał kolejne pytanie:

- Jordi, ty widziałeś ten znak, godło, herb czy jak go zwać. Widziałeś ten prawdziwy, pierwszy pergamin, który się dostaje.

- No tak, oczywiście.

- Jest na tym pergaminie coś, czego nie mogę pojąć. Dlaczego umieszczono tam słowo *Sanctus*?

Jordi przez moment patrzył na niego pytająco, ale wreszcie odpowiedział:

- Ach, tak, już rozumiem. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, widziałem cały znak. Nie ma tam wcale żadnego Sanctus. Rzeczywiście, dalszy ciąg jest zatarty, lecz tak naprawdę na pergaminie powinien widnieć napis: *Sanctum Officium*. To instytucja ustanowiona przez papieżstwo do wykrywania i karania ruchów hereetyckich. Dawała prawo w imię świętości więzić, torturować i zabijać w najbardziej bestialski sposób ludzi myślących inaczej.

- To znaczy, że ten znak, ten herb, należy do zlej strony?

- Ależ nie, nie! Bo widzisz, tam było jeszcze jedno słowo, z przodu. W sumie napis głosił: *Venced Sanctum Officium*, czyli „Zwalczaj Święte Officium”.

- Ale to mimo wszystko znaczy, że cała sprawa ma jednak jakiś związek z religią? - spytała zaskoczona Unni.

- Nie, nie przede wszystkim. Ale kościół, sąd inkwizycji i władza królewska były w tym czasie niemal wtopione w siebie nawzajem i bardzo od siebie uzależnione.

- Ale do kogo należy znak? - spytała Unni. - Ten, który widnieje na pergaminach? O, ten!

Pokazała Jordiemu paragon z Euroshopu.

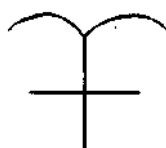


Jordi popatrzył na rysunek zdumiony i wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Doprawdy, strasznie się zmienił od czasu, gdy ujrzałem go po raz pierwszy.

- No a ten, który masz na rękę?

Jordi podciągnął rękaw i pokazał wszystkim znak na skórze.



- To, jak sami na pewno widzicie, bardzo uproszczona wersja. Ta sama, która widnieje na drzewie genealogicznym i która była ryta nad drzwiami i tak dalej.

Pokiwali głowami, wszystko się zgadzało.

- Ale prawdziwy, pierwotny herb był o wiele bardziej skomplikowany od tej szczotki, którą narysowałeś na kwitku, Mortenie. Miałem okazję oglądać go w całości, dwukrotnie.

- Jak wyglądał? - dopytywała się Gudrun.

- Ojej! - uśmiechnął się Jordi. - Chyba spróbuję w nocy go narysować. I rano wam pokażę, jeśli oczywiście mi się uda.

- Czy tej nocy nie powinienes przeznaczyć na sen, młody człowieku? - surowo spytała go Gudrun.

Jordi popatrzył na nią z powagą.

- Mnie nie potrzeba wiele snu.

Nikt tego nie skomentował. Wiedzieli, że Jordi mówi prawdę.

Jordi przeciągnął się tak, że Unni zobaczyła wszystkie jego żebra odznaczające się pod cienką koszulą, niemal wklęsły brzuch i napięte uda. Ciało miał sprężyste, choć wycieńczone. Wytrenowane mięśnie na pewno nie były wynikiem ćwiczeń na siłowni.

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było mi tak dobrze jak teraz - uśmiechnął się. -
Dziękuję ci, Gudrun, i proszę, przekaż podziękowanie Bjørnowi. Czuję się teraz bardzo
szczęśliwy.

Czy tylko przypadkiem jego spojrzenie zawadziło o oczy Unni?

Mogła sobie o tym myśleć, co tylko chciała. Przyglądała się jego długim rękom z
widocznymi ścięgnowymi, wychudzonym dłoniom i przez jej ciało przeszedł ognisty dreszcz.
Dotychczas Jordi nie wywoływał w niej takiego uczucia, nie było jednak ono wcale
niespodziewane.

Antonio zadał ostatnie pytanie:

- Dziś wieczorem nie będziemy od ciebie żądać więcej odpowiedzi, Jordi, ale wyjaśnij
jeszcze jedną rzecz: Gdzie ty właściwie przebywałeś?

Jeśli ktokolwiek z nich sądził, że Jordi opowie im o jakichś mieszkaniach i
miejscowościach, bardzo się omylił.

- Byłem tam... - Z namysłem dobierał słowa. - Tam, gdzie nikt nie chodzi.

Po chwili milczenia Morten spytał na próbę:

- Tam, gdzie nikt nie chodzi? Masz na myśli jakieś określone miejsce?

- Nie - odparł Jordi cicho. - Chociaż owszem, być może takie miejsce istnieje. Rycerze
wspominali o czymś podobnym. Nie to jednak miałem teraz na myśli.

- To znaczy, że twoje słowa kryją w sobie podwójne znaczenie? - spytała Unni.

Jordi odwrócił się do niej z zasmuconym uśmiechem.

- Chyba rzeczywiście.

Unni nie chciała dociekać, o czym właściwie myślał. Nie śmiała. Za to Morten nie był
taki delikatny.

- A co ty chciałeś przez to powiedzieć, Jordi? Unni usłyszała, jak Jordi cicho
westchnął, potem zaś powiedział wolno:

- Bob Dylan w jednej ze swoich piosenek śpiewa: *I've been ten thousand miles in the
mouth of the grav yard*. I ja posłużę się jego słowami.

Nikt nic więcej nie powiedział. Wszyscy intensywnie myśleli.

„Wszedłem dziesięć tysięcy mil w głąb gardzieli cmentarza”, przetłumaczyła Unni
dość swobodnie.

No tak, można to określić jako miejsce, „gdzie nikt nie chodzi”.

Olbrzymi, stary dom udał się na spoczynek, choć prawdę powiedziawszy, nie całkiem...

Wszyscy poszli do łóżek. Każdemu przydzielono osobny pokój i wydano surowe polecenie, aby nawet przez jedną szparkę w zasłonach światło nie przedarło się w nocny mrok na zewnątrz.

Vesla z napięcia wciąż drżała na całym ciele. Nie była w stanie się rozluźnić. Leżała, gapiąc się w sufit, którego przecież i tak nie widziała, ponieważ w pokoju panowała ciemność niczym w grobie.

Co miała myśleć o tym wszystkim? W co wierzyć? Spodziewała się, że przynajmniej babcia Mortena wykaże się choćby odrobiną rozsądku, tymczasem nie! Również ona przyjmowała wszystkie te bajdurzenia o jeżdżących konno rycerzach i bezwłosych mnichach jako coś najzupełniej naturalnego. Podobnie zresztą jak wszyscy inni. Tylko ona, Vesla, nie była w stanie przetrwać tych niewiarygodnych bredni.

No i jeszcze brat Antonia... Jak to możliwe, żeby Unni tak wyraźnie się podkochiwała w... w lodowatym, mroźnym aniele śmierci?

Sam Antonio natomiast to bardzo sympatyczny chłopak. Biedny Morten też zasługuje na odrobinę troski.

Zresztą pod każdym względem wszystko to jest i tak znacznie lepsze od męczącego marudzenia matki, jej wymagań, braku umiejętności zrozumienia, wczucia się w przeżycia innych ludzi.

Vesla była wstrząśnięta własną postawą.

Nie wysiadłam w Stryn, myślałam zaszokowana. Miałam szansę, ale nie wysiadłam. Dlaczego? Dlaczego zostałam z nimi?

Z ciekawości?

Raczej nie. Z niechęci do powrotu do domu? Być może, lecz także przez poczucie wspólnoty łączącej mnie z moimi przyjaciółmi, z lojalności.

Głupio zrobiłam, a teraz jest już za późno.

Ten dom w taki czy inny sposób wydaje się jakiś straszny. Może dlatego, że zamknięto go na zimę, przez co sprawia wrażenie jakby umarłego, bo przecież właściwie to przyjemne miejsce, utrzymane w starym norweskim stylu z początku dwudziestego wieku.

Unni twierdzi, że na widok domów urządzonych w tym stylu po plecach przechodzą jej nieprzyjemne ciarki, ja osobiście tak nie czuję, uważam, że to przytulne miejsce.

Nie powinni byli jednak wspominać o lokalnej zjawie, o widmie z tego domu. Nigdy nie bałam się duchów, ale doprawdy, podczas tej podróży miałam okazję się przekonać, jakie to uczucie, kiedy włosy stają na głowie ze strachu.

Nie uważam tego jednak za prawdę, te ich „wizje” traktuję dokładnie tak, jak na to zasługują: to są usilne próby nakłonienia mnie, żebym im uwierzyła. No bo kto twierdził, że ci nieszczęśni robotnicy drogowi to prawdziwe łotry? Antonio tak powiedział, nikt inny.

Nie, jedynym naprawdę niepojętym zjawiskiem jest w rym wszystkim przerażający brat Antonia. Ten, który podobno miał nie żyć. Owszem, rzeczywiście wygląda, jakby wypelźł z grobu zaledwie wczorajszej nocy.

Jak też ta Unni może... ?

Pomimo ciepła bijącego z grzejników elektrycznych podłoga była dosyć zimna, zaś stopy Unni jeszcze od niej chłodniejsze. Unni wzięła sobie do serca słowa matki mówiące o tym, że „człowiek nie zaśnie, kiedy mu zimno w nogi”, i naciągnęła skarpety.

To zaraz pomogło. Była zmęczona i usnęła jak dziecko.

Nie był to jednak spokojny sen.

We śnie pojawili się mnisi. Wszystko widziała tak wyraźnie, iż gotowa była przysiąc, że to jawa.

Dotarła do klasztoru Selje. Nigdy wcześniej go nie widziała, nawet na zdjęciach. Było to więc jej najzupełniej subiektywne wyobrażenie wyglądu tej budowli. Ruiny gotyckich łuków wznoszące się w górę, jeden nad drugim, żalosna pieśń głębokich głosów. Stała w przejściu prowadzącym do bujnego śródziemnomorskiego ogrodu z ziołami, a w jej stronę zmierzali mnisi, żwir chrząścił pod ich stopami. Unni była jak sparaliżowana, nie mogła uciec. Ich oczy świeciły na czerwono i żółto, otoczyła ją cała jedenastka.

Głuche, przytłumione we śnie głosy mnichów brzmiały w uszach Unni pochlebco. Tym razem mówili po norwesku, choć z całą pewnością nigdy nie znali tego języka.

„Przybądź do Santiago - mamrotali, patrząc jej prosto w oczy. - Zabierz ze sobą swego lodowatego kochanka i przybądź!”

O dziwo, Unni była w stanie udzielić odpowiedzi, chociaż bardzo się bała. „On nie jest moim kochankiem, zresztą jedziemy do Selje”.

Tego oczywiście nie powinna była mówić, przecież oni nie mogą się dowiedzieć, dokąd zmierza. No tak, ale prawdą było, że już się znajdowała właśnie tam, na wyspie Selji.

„Przybądź do Santiago, czekają cię tam wszelkie niebiańskie radości i jeszcze więcej - mówili. - Będiesz mogła rozkoszować się jego ciałem, wszystkimi jego członkami, na łożu z najmięszkiego puchu, wśród jedwabiów, w królewskim pałacu, zaspokoisz wszystkie swoje pragnienia i żądze”.

„Chcecie wyrządzić mi krzywdę”, broniła się Unni.

„Nie - powiedział jeden z nich brzoskwiniowo aksamitnym głosem. - To rycerze są niebezpieczni, oni was zwodzą na złą drogę. Wprowadzą was na ścieżkę, którą nikt nie chodzi, a stamtąd nie ma już drogi powrotu. Ta droga bowiem prowadzi wprost do gehenny, gdzie twoje ciało i dusza zaznawać będą udręk przez całą wieczność. Pójdź teraz, dziewczyno, pójdź!”

Otaczali ją ciasnym kręgiem. Unni zauważyła, że wszyscy są wyraźnie podnieceni, a jeden z nich, ten, który stał tuż za jej plecami, przycisnął się do niej mocno od tyłu. Unni obróciła się gwałtownie i jęknęła: „Ach, nie, ty potworze! Nie dotykaj mnie! Chcę być czysta, kiedy... „

Obudziła się i gwałtownie usiadła na łóżku. W dole brzucha odczuwała gwałtowne pulsowanie, ścisnęła więc mocno uda ze szlochem. Zapaliła światło i popatrzyła na zegarek. Spała zaledwie dziesięć minut!

- Jakież to straszny sen - szepnęła, z wysiłkiem wypuszczając powietrze z płuc. - Przecież zwykle nie miewam takich snów. A teraz, kiedy spotkałam...

Znów cicho jęknęła.

To niemożliwe, pomyślała. Co to za sen? Jakaś potworna mieszanina tego, co wydarzyło się wcześniej w ciągu dnia, tego, co zostało powiedziane, i tego, co sobie myślała. Owszem, wyobrażała sobie jego w roli kochanka, lecz w końcu odrzuciła wszelkie takie myśli z uwagi na śmiertelny chłód, jaki go otaczał. Rzeczywiście, wspominali o miejscu, do którego nikt nie chodzi. Rzeczywiście, bała się spotkania z mnichami i miała wątpliwości co do zamiarów rycerzy.

Okropnie głupi sen, zbudowany na wszystkim i na niczym.

Niepokój w ciele wreszcie minął. Unni zła na samą siebie znów umościła się na posłaniu. Trzymajcie się z dala od moich snów, łyse pały, pomyślała. Idźcie szukać grzesznych, zakazanych uciech gdzie indziej!

Gniewne myśli trochę pomogły. Po dłuższej chwili Unni w końcu zasnęła.

Unni przebudziła się jeszcze raz. Tym razem w środku nocy z poczuciem, że wydarzyło się coś niezwykle cudownego.

Gdy zdała sobie sprawę, że przyczyną tego było spotkanie z Jordim, radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Jordi. Brat Antonia i bohater jej marzeń okazali się jedną i tą samą osobą.

Dopiero po pewnej chwili zdała sobie sprawę, że tak naprawdę musiało obudzić ją coś innego. Czyżby jakiś odgłos? Nie, raczej chyba przebłysk światła.

Unni podniosła się i postawiła stopy na lodowatej podłodze - czego innego można się spodziewać po domu, który stał pusty przez całą zimę? Dobrze mieć na nogach skarpetki. Zapaliła kieszonkową latarkę, trzymając ją nisko, tak by nie rzucała zbyt mocnego światła. Potem na palcach przeszła pod drzwi.

Gdy położyła rękę na klamce, ktoś jednocześnie nacisnął ją również z zewnątrz. Unni gwałtownie drgnęła, nie zdołała jednak utrzymać drzwi zamkniętych. Gdy się otwały, dostrzegła światło drugiej latarki.

- Wyjdź, Unni - szepnął Jordi.

Poznała, że to on, po aurze chłodu, otaczającej jego postać.

- Przed chwilą do ciebie zaglądałem, ale pomyślałem, że śpisz.

- Zobaczyłam błysk twojej latarki. Dlaczego nie leżysz w łóżku? I co tu robisz?

Unni serce waliło w piersi. Jordi lodowatą dłonią ujął ją za rękę i delikatnie pociągnął za sobą w inny korytarz. Panowało tu przenikliwe zimno. Unni miała 'wrażenie, że już posiniały jej wargi.

- Tu nikt nas nie usłyszy - powiedział Jordi cicho. - Wyczułaś coś dzisiejszej nocy, w ciągu tej ostatniej godziny?

- Nie, byłam na tyle bezwstydna, że po prostu spałam. A o co ci chodzi?

- Ty „widzisz”, prawda?

- Niewiele. Ale czasami się tak zdarza.

- Po tym domu wałęsa się nieszczęśliwa dusza.

- Widmo z dworu?

- Właśnie.

- To znaczy, że ono naprawdę istnieje? Przecież my tylko żartowaliśmy. Mamy dla niego czas?

- Teraz nie, spróbujemy oczyścić ten dom w drodze powrotnej. Chciałem cię tylko ostrzec na wypadek, gdybyś je spotkała. Nie miałem zamiaru cię budzić.

- N - n - nic nie szkodzi - zaszczękała zębami Unni.

Najważniejsze, że mogła być razem z nim!

Jordi szybko pojał, że Unni dokucza dotkliwie zimno.

- Ależ, moja kochana, gdzie ja mam głowę? Ja nigdy nie odczuwam chłodu, ale wiem, że niektórzy ludzie marzną, będąc blisko mnie. Zresztą tu na pewno w ogóle jest zimno, prawda?

Unni musiała przyznać, że rzeczywiście tak jest. „Niekktórzy ludzie”, tak powiedział. Co miał na myśli?

Wyjaśnienie otrzymała natychmiast, tak jakby Jordi czytał w jej myślach:

- Rycerze chcieli odstraszyć tych, którzy czuliby do mnie sympatię, albo takich, dla których sympatię poczułbym ja. Chodź, poszukamy jakiegoś cieplejszego miejsca!

A więc pragnął pozostać razem z nią jeszcze przez chwilę. To ucieszyło dziewczynę.

Unni cofnęła się myślą w przeszłość. Czy ktokolwiek inny w samochodzie albo później skarżył się na wrażenie chłodu w obecności Jordiego? Nie, nikt. Jedynie ona. Dlatego, że ją pociągał? A może raczej to ona pociągała jego? Miała nadzieję, że jest i tak, i tak. Nie mogła bowiem zaprzeczyć, że pomimo tego lodowatego zimna, jakie wokół siebie roztaczał, czuła do niego wielką słabość. Obronna sztuczka rycerzy nie zadziałała więc, i to ani trochę.

Jordi zabrał ją do innej części domu. Gdy jednak mijali pustą werandę, na której nie było ani światła, ani zasłon, zatrzymali się na chwilę. Na zewnątrz panowała ciemność, lecz gdzieś w oddali dostrzegli dwie pary reflektorów samochodowych.

- Myślisz, że ktoś tutaj jedzie? - spytała Unni.

- Nie mam pojęcia, nie znam tej okolicy. Ale przypuszczam, że rzeczywiście przyjechaliśmy z tamtej strony.

- Musimy znajdować się stosunkowo wysoko.

- I ja tak myślę.

Jak dobrze być razem z Jordim! Jak gdyby przez całe swoje życie Unni zmierzała właśnie tu - nie odnalazła jeszcze całkowitego spokoju, do tego jeszcze daleko, ale nareszcie trafiła we właściwe miejsce, była przy nim.

Jordi przez cały czas starał się trzymać w pewnej odległości od dziewczyny, by nie narażać jej na chłód. Mimo to jednak mieli wrażenie, jakby byli bardzo, bardzo blisko siebie, jak gdyby w myślach ją przytulał, a ona chętnie się na to zgadzała.

Reflektory samochodów to znikwały, to znów się pojawiały. Wciąż były daleko, cztery małe światełka w oślepiająco ciemnym świetle, ale poruszały się przez cały czas. To skręcały, to się zniżały, lecz nieustannie powracały, najwyraźniej sunęły po nierównym terenie, kierując się w stronę Widmowego Dworu.

Ale przecież mogą tu istnieć jakieś boczne drogi, w które te samochody skręca, nic wszak o tym nie wiedzieli.

Unni nie podobała się myśl o ponownym przyjeździe do tego dworu. „Oczyścimy dom w powrotnej drodze”, tak powiedział Jordi, ale co to za powrotna droga, trzeba będzie nadłożyć wiele kilometrów. Od głównej szosy Widmowy Dwór dzieliła spora odległość. Nie, nie, myśl o powrocie w to niesamowite miejsce nie wydawała się dziewczynie ani trochę kusząca.

- Uplynie co najmniej pół godziny, zanim te samochody mogą tu dotrzeć, jeśli w ogóle mają taki zamiar - szepnęła Unni. - Ale mówiłeś coś o widmie. Wyjaśnij mi to bliżej.

- Dobrze. Ujrzałem je w korytarzu przed moim pokojem, akurat odchodziło. Zobaczyłem lekko jaśniejącą szarawą postać mężczyzny, która zniknęła w jednym z niezamieszkanym pokojów. Ów mężczyzna wszedł wprost do środka, nie otwierając drzwi.

- Rozumiem - powiedziała wstrząśnięta Unni. - Ale dlaczego chciałeś o tym mówić ze mną?

Wyczuła, że Jordi się uśmiechnął.

- Może pragnąłem, żeby ktoś dotrzymał mi towarzystwa? Żartuję, uznałem, że może cię to zainteresować. Że zechcesz go zobaczyć.

Unni, właściwie sama tym zaskoczona, usłyszała własny głos zadający pytanie:

- Idziemy tam?

Zdaniem Jordiego był to dobry pomysł, stwierdził jednak, że Unni powinna się cieplej ubrać, a ona się z nim zgodziła. Jordi w tym czasie czekał przed jej pokojem. Unni dla pewności włożyła również zimową kurtkę i dopiero tak otulona podreptała za Jordim do korytarza, w którym znajdowała się jego sypialnia.

Jordi musiał mówić szeptem, ponieważ za drzwiami, które mijali, spali przecież ludzie.

- Samochody niedługo tu będą, pozostało nam niewiele czasu.

Jordi zatrzymał się i otworzył jakieś drzwi. Unni bardzo się cieszyła, że włożyła ciepłą kurtkę. Tu musiała stać tuż przy Jordim.

- Znajdujemy się w tylnej części domu - powiedział cicho. - Ośmielę się więc zapalić latarkę.

Na podłogę padł wąski snop światła, wystarczył on jednak, by ujrzeli postać mężczyzny odwróconego do nich plecami. Stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Ubrany był w szare, nieco staroświeckie ubranie - Unni domyślała się, że musiało pochodzić mniej więcej z czasów pierwszej wojny światowej - i był niemal równie wyraźny jak każdy żywy człowiek. Niemal - bo zdradzały go rozmyte kontury jego sylwetki.

Przez chwilę trwało milczenie. Unni drżała, choć teraz raczej nie z zimna, a z emocji.

- Możemy się do niego odezwać? - szepnęła. Serce waliło jej bardzo mocno.

- Nie, on żyje w swoim własnym świecie. Ale spróbuję później. Teraz słyszę już samochody na drodze. One rzeczywiście tu jadą.

Czym prędzej wyszli z pokoju.

- Będziemy budzić resztę? - spytała Unni, kiedy zbiegali po schodach.

- Nie, przynajmniej dopóki nie dowiemy się, o co chodzi. To mogą być przecież jacyś zbłąkani podróż' ni, może posłaniec lub coś równie niewinnego.

Nie przypuszczam, pomyślała Unni.

- Pierwszy samochód to taksówka - stwierdził Jordi, wyjrzawszy zza uchylonej zasłony w jednym z okien w holu. - Prawdopodobnie służy jako przewodnik drugiemu samochodowi.

- No tak, bo nawet Leon nie odnalazłby na własną rękę drogi do tego domu. Ale jak oni nas odszukali? Dzięki mnichom?

- Nie, przypuszczam, że to bardziej prozaiczne. Wiesz przecież, że można śledzić telefony komórkowe, chociaż to pochłania sporo czasu. Albo też w taki czy inny sposób udało im się założyć podsłuch na telefon w domu Gudrun.

- Oni chyba nie mogą być wszędzie - powiedziała przestraszona Unni.

- Nie, to tylko moje domysły. Wolałbym nie wierzyć w to, że mnisi są w stanie nas śledzić i na nas donosić.

Samochody się zatrzymały. Z tego, który zjawił się jako drugi i wyglądał na wynajęty, wysiadła jakaś młoda dama. Zapłaciła kierowcy taksówki, który zaraz stąd odjechał.

- To Emma - stwierdziła Unni słabym głosem. - Jak, na miłość boską, zdołała się tu dostać?

- W każdym razie widać, iż nie ma zamiaru się poddawać - powiedział Jordi z ponurą miną. - Cóż, musimy zbudzić Gudrun.

Jak się okazało, wcale nie musieli tego robić. Babcia Mortena, ubrana w szlafrok, już wychodziła ze swego pokoju. Prędko wyjaśnili jej, co się stało.

- Gudrun - poprosił Jordi czym prędzej. - Daj jej pokój numer siedemnaście. Pójdę teraz na górę, przygotuję go. Emma nie powinna mnie widzieć.

- Ale przecież ten pokój...

Jordiego już nie było.

- On o tym wie - spokojnie wyjaśniła Unni. - Właśnie stamtąd wracamy.

- Widzieliście?

- Tak, tak. - Unni była teraz dumna, że potrafi z takim spokojem opowiadać o rzeczach bardzo przecież niezwykłych. - Jordi chce się zająć oczyszczeniem tego pokoju później, ale nie wiem, co miał na myśli, mówiąc, że go teraz przygotowuje.

Na schodach pojawił się Antonio, konieczne były kolejne wyjaśnienia.

Zaraz potem Emma weszła do środka.

Na ich pierwsze pytanie odpowiedziała wesołym ćwierkałem:

- Stacja benzynowa w Nordfjordeid, pytałyście tam, jak daleko do Widmowego Dworu. Znalazłam więc taksówkę, która mnie tu przyprowadziła. Zwyczajnie i po prostu.

Rzeczywiście, zwyczajnie i po prostu. Żadnych nadprzyrodzonych zjaw, mnichów, żadnego podsłuchiwania rozmaitych telefonów.

Niemądrze postąpili! To bezmyślność z ich strony pytać obcych o drogę! Ale kto mógł przypuszczać, że takie będą skutki?

- To znaczy, że jedziesz teraz z Ålesund?

- Przecież już mówiłam! Nie cieszycie się, że was znalazłam Nareszcie możemy być razem, Antonio! Ach, jakież to czarujący dom!

Gudrun dała Emmie to, co zostało z kolacji, a potem oznajmiła, że pokój numer siedemnaście czeka już na nią gotowy.

Emma co prawda nie miała ochoty wcale się kłaść, ponieważ jednak Antonio nie reagował na jej niczym nie osłonięte zaproszenia, a w końcu sam poszedł się położyć, nie udzieliwszy jej odpowiedzi na pytanie, w którym pokoju nocuje, Emma zrezygnowała. Przynajmniej na razie.

O Jordim nie wspominał nikt.

Jordi czuł się niepewnie. Wprawdzie z wielkim spokojem rozmawiał z Unni o oczyszczaniu pokoju z upiórów, lecz jeszcze nigdy czymś podobnym się nie zajmował. Nigdy też nie prosił tak niezwyklej istoty o przysługę.

Bezwzględnie jednak należało to zrobić. Wiedział też, że to możliwe, choć nie był przekonany, że właśnie jemu się uda.

Włączywszy ogrzewanie w pokoju numer siedemnaście i sprawdziwszy, czy łóżko jest przygotowane, z wahaniem odwrócił się do stojącego przy oknie mężczyzny.

Wiedział jednak, że nie wolno mu się wahać. Zaczerpnął głęboko powietrza i głosem pewnym na tyle, na ile było go stać, oznajmił:

- Możesz na mnie patrzeć. Byłem w twoim świecie i wiem, że twoi bliscy czekają tam na ciebie. Nie pozwól im czekać dłużej, pozwól, że cię uwolnię, tak byś mógł powędrować dalej ku światłu, do nich!

Jordi nie wiedział, czy nieszczęsna zjawa ma gdzieś jakichś bliskich, ale nie było to przecież wcale niemożliwe.

Nie podobała mu się lekka wilgoć panująca w tym pomieszczeniu. Zbyttno przypominała mu o wędrówce, jaką musiał kiedyś odbyć, by dana mu była szansa przeżycia - w owym niezwyklej świecie cieni, w którym znajdował się teraz i w którym musiał pozostawać do czasu, aż uda mu się rozwiązać zagadkę rycerzy lub naprawdę umrzeć, co mogło nastąpić za rok.

Tak, nazywał to prawdziwą śmiercią, jego obecne bowiem „życie” było zaskakującym stadium pośrednim.

Szara postać powoli się obróciła.

Jordi wcale się nie przestraszył, chociaż białe oczy i twarz w stanie rozpadu z pewnością mogły wzbudzić przerażenie.

- Ja nie mam żadnych bliskich - oświadczyło szare widmo straszonym, suchym i głuchym głosem.

Kiedy tak stali zwrócenieni do siebie twarzami, Jordi poczuł, jak napływa do niego wiedza. Miał możliwość zajrzenia w smutne życie tego drugiego w czasach, gdy chodził on jeszcze po ziemi.

- Owszem, masz - zapewnił Jordi spokojnie. - I dobrze o tym wiesz. Twoja matka gorzko za tobą płakała, chociaż nie była w stanie się tobą zająć. A kobieta, którą pokochałeś... Ona cię wcale nie oszukała, po prostu nie miała wyboru. Czeka teraz na ciebie.

Zapach bijący od upiora był w najwyższym stopniu nieprzyjemny, Jordi jednak postanowił, że wszystko wytrzyma.

Zjawa odęła wargi, odstawiając kości szczęki.

- Skoro wiesz aż tyle, to wiesz również, że ją zabiłem. I to tu, w tym pokoju, własnymi przeklętymi rękami. Nie mogę odzyskać wolności.

Ach, ty uparciuchu, pomyślał Jordi, lecz na głos nie mógł tego powiedzieć.

- Ależ tak, ponieważ ona ci wybaczyła. Ja zaś mogę cię wyrwać z tego gorzkiego stanu, w zamian jednak proszę, byś przedtem coś dla mnie zrobił.

Na dość długą chwilę zapadła cisza.

- Mów, czego żadasz!

Jordi spokojnie wyjaśnił.

Lekko zirytowana faktem, że Antonio wszystko pojmuje z takim trudem, Emma poszła do przydzielonego jej pokoju. Odprowadzająca ją Gudrun nerwowo rozglądała się wokoło, niczego alarmującego jednak nie zauważyła. Emma odprawiła ją kilkoma słowami wypowiedzianymi wyniosłym tonem.

Piękna wnuczka Emilii odziedziczyła po babce nie tylko jej urodę, lecz również zimny, wyrachowany umysł. Lubiła manipulować ludźmi, kierować ich tam, gdzie chciała, i zwykle też jej się to udawało. Ale że Antonio okaże się taki oporny... !

No, i tak dobrze, że zdołała ich odnaleźć. Leon byłby z niej dumny. Kiedy dojdzie już do siebie po tym fatalnym wypadku, zapewne podejmie pościg.

Jak zimno w tym pokoju, chociaż z grzejnika wydobywają się trzaski. No cóż, musi jeszcze tylko zadzwonić do Leona i będzie się mogła położyć.

Antonio jest po prostu ostrożny w obecności innych, pomyślała zadowolona z siebie. I tak przyjdzie w nocy, w dodatku przyczołga się na kolanach. Gotowa jestem przysiąc, że tak zrobi. Na pewno już do tego dojrzał. Jedno bowiem jest pewne: ani trochę mu w głowie Un - ni, to zero. A ja przecież pracuję nad nim już od dłuższego czasu. Z całą pewnością odpowiednio skruszał.

Ale kto im pomaga? To wielka zagadka dla nas wszystkich. Kto ich ratuje z wszelkich opresji? Z kolejnych pułapek? Niepojęte, żeby nikt z nas nie wiedział, kto to może być!

Cóż, tej osoby i tak tu nie ma, prawdopodobnie jest gdzieś daleko. Nasi przeciwnicy są teraz bezbronni, odsłonięci. Teraz uderzymy.

Usiadła na brzegu łóżka i wyjęła telefon komórkowy.

Ale nie zdążyła jeszcze wybrać numeru do końca i już upuściła aparat na łóżko. Jak zaklęta wpatrywała się w drzwi, w których właśnie pojawiła się jakaś istota. Po prostu przeniknęła przez drewno!

Emma nigdy nie widziała ani mnichów, ani rycerzy. Ani też Jordiego, jeśli chodzi o ścisłość. Kontakt z mnichami utrzymywał Leon.

Szara zjawa uczyniła to, czego pragnął Jordi. Ukazała się w najgorszej ze swoich możliwych postaci. Upiór płynnym krokiem sunął ku Emmie, patrząc na nią swymi zaszłymi bielmem śmierci oczyma, z ustami otwartymi na podobieństwo paszczy. Buchał od niego zapach zgniłej ziemi z grobu, a z gardła wydobywało się agonalne charczenie.

Emma wydała z siebie jękliwy krzyk i cofnęła się w kąt, chcąc uciec.

Tam jednak uderzył ją zapierający dech w piersiach chłód, gorszy od tego, który panuje w chłodni. Stawy jej zeszywniały, ledwie była w stanie się ruszyć, lecz ostatnim wysiłkiem woli zdołała chwycić torbę i bliska utraty przytomności popęzła w stronę drzwi.

Właśnie o to chyba też chodziło.

Chłód przesunął się tuż za nią, a ręce potwora wyciągały się do jej pleców na podobieństwo szarobiałych szponów. Emma wytoczyła się na korytarz, z trudem wstała i, potykając się, skierowała na schody. Podwójna groza wciąż deptała jej po piętach. Przerazoną ściagały ciężkie, głuche kroki, od których dom trząsł się w posadach, i straszliwy chłód. W głowie Emmie huczało, ogarnięta szaleńczym strachem ledwie była w stanie oddychać.

Z łoskotem waląc bagażem o ściany i schody zdołała w końcu zejść jakoś na dół i wydostać się na zewnątrz. Ci, którzy nie spali - a teraz zbudzili się już wszyscy - usłyszeli jeszcze, jak mocuje się z zamkiem wyjściowych drzwi, zawodząc przy tym i jęcząc. Chwilę potem rozległ się odgłos zapuszczonego silnika.

Unni musiała uspokajać wszystkich, którym pytania cisnęły się na usta. Telefon komórkowy Emmy leżał na schodach, Antonio sprawdził, czy zdążyła połączyć się z ostatnio wybieranym numerem, i skonfiskował aparat.

A na górze w pokoju numer siedemnaście Jordi robił, co mógł, dla szarego upiora. Gorąco podziękował mu za pomoc, potem zaś odprawił ceremonię niezbędną do uwolnienia domu od niechcianej, choć niegroźnej w istocie zjawy, która nigdy wcześniej nie zaatakowała żadnego żywego człowieka. W końcu udało mu się odesłać szare widmo do innego, lepszego świata.

Wszyscy mogli pójść spać.

Licyli się z tym, że dojazd do głównej drogi zabierze Emmie trochę czasu, a jeszcze więcej go upłynie, nim dziewczyna zdoła dotrzeć do Leona, zwłaszcza że pozbawiona była teraz telefonu. Mieli więc kilka godzin na odpoczynek. Gudrun powiedziała im także o istnieniu jeszcze innej, mniej wygodnej drogi, która, chociaż dłuższa, również prowadziła do Selje.

Czy tam będą mogli czuć się bezpieczni, to zupełnie inna sprawa.

Unni była jednak bardzo zasmucona. Teraz już wiedziała, że Jordi został zbyt mocno naznaczony zetknięciem się ze śmiercią i że przekroczywszy granicę, zabrnął zbyt daleko w głąb niewłaściwej strony, aby między nimi mogło się coś wydarzyć.

6

Zjazd w dół do Selje po przebyciu krętych dróg, prowadzących przez ostatnie wzniesienie, był niczym znalezienie się wśród eksplozji światła, powietrza, morza i pachnącej solą rozświetlonej mgiełki. Najodleglejsze cyple wcinające się w morską otchłań ledwie było widać, otaczała je aura tajemniczości.

Dotarli na miejsce przed południem. Wcześniej złapali w Widmowym Dworze kilka godzin tak bardzo potrzebnego im snu. Drogę do Selje pokonali bez problemów.

- Chciałabym tu zamieszkać! - wykrzyknęła Unni.

Morten prychnął.

- W ciągu ostatnich godzin powtarzałaś to za każdym razem, gdy tylko mijaliśmy piękne okolice.

- Owszem, ale ja kocham ten krajobraz. Jest wprost nieznośnie piękny. Te strome, niemal pionowe ściany, na których macki śniegu sięgają niemalże do wiosennie zielonych zagród, tak optymistycznie przyczepionych do zboczy. Doprawdy, Norwegowie umieją docenić piękne widoki!

- Wiosennie zielone, to ci dopiero! W marcu?

- Chyba wolno sobie pozwolić na trochę fantazji - odparła Unni beztrąsko. - Można się przecież domyślić, że wśród zeszłorocznych traw kiełkują już świeżutkie zielone źdźbła.

- Bzdury!

- Czy nie widziałeś, jak góry odbijają się w głębokiej wodzie? A morskie ptaki tak dekoracyjnie żeglują nad nią w powietrzu.

- Morskie ptaki jeszcze nie przyfrunęły.

- No dobrze, niech ci będzie, widziałam wrony, to chyba nie ma aż tak wielkiego znaczenia.

- Wrony nie są wędrownymi ptakami.

Wreszcie zdenerwował się Antonio: - Mortenie, czy ty zawsze musisz okazywać taki brak wyobraźni? I zawsze wykazywać się taką skostniałą zwyczajnością?

Morten poczerwieniał na twarzy. To przecież Unni jest zwyczajna, miał już na końcu języka. Zawsze tak twierdził. Czekał jednak, aż zaprotestują inne osoby obecne w samochodzie, wszyscy jednak zgodnie pokiwali głowami, potwierdzając słowa Antonia. Mortenowi serce uderzyło mocniej, w gardle ścisnęło go ze wstydu i upokorzenia.

Tylko Unni spytała naiwnie:

- Jak mogłeś porzucić to wszystko?

Chłopak westchnął ciężko.

- Sam się teraz nad tym zastanawiam.

Potem przestał się w ogóle odzywać i zaczął rozmyślać nad samym sobą.

Właściwie nie powinni odwiedzać domu Gudrun, położonego w pewnym oddaleniu od centrum wioski, ona jednak miała tam tyle papierów i rozmaitych pamiątek, że postanowili zaryzykować. Tak czy owak Widmowy Dwór jako kryjówka był już spalony.

Unni odczuwała wielką wdzięczność dla Jordiego za to, że zdołał usunąć upiora, nie musieli więc wstępować tam w drodze powrotnej. Jedyne on rozumiał, dlaczego Emma tak do szaleństwa się wystraszyła, nikt inny bowiem nie widział tego, co ona. Unni uważała, że oglądanie pleców szarej zjawy było bardzo niezwykłym i ani trochę przykrym przeżyciem. Takie doświadczenie stanowiło jakby trofeum, które można włączyć do zbiorów wspomnień. Zapewne jednak uważała tak dlatego, iż czuła się bezpieczna w bliskości Jordiego, w pojedynkę pewnie nie byłaby taka dzielna. Szary upiór pozostawił w pomieszczeniu nieprzyjemny zapach, na którego wspomnienie Unni wciąż jeszcze robiło się niedobrze. Słodkawy, mdły odór trupa.

- Czy ktoś ma jakąś pastylkę na gardło? - spytała.

Dostała Fisherman's friend, z przyjemnością chłonęła aromat cukierka. Trochę pomogło.

Znajdowali się w centrum Selje. Gudrun poprowadziła ich do portu tak, by mogli popatrzeć na wyspę Selje, lśniąca w przesyconej słońcem mgłę, z zanoszącymi się krzykiem mewami i lekkimi obłokami mgły ponad drzewami. Wysiedli z samochodu, żeby nawdychać się morskiego powietrza i chłonąć szczególną atmosferę, panującą tu nad morzem: świeżo wysmołowane łodzie, liny skrzypiące o skraj nabrzeża, jakiś stary hotel odbijający się w wodzie.

- Przeprowadzam się tutaj - oznajmiła Unni stanowczo.

- Oglądasz Selje w jeden z najpiękniejszych możliwych dni - przestrzegła ją Gudrun. - Tutaj dzień za dniem może upływać spowity gęstą mgłą, szaleją sztormy, a zimowe tygodnie przesycone są lodowatą wilgocią. Przede wszystkim zaś potrafi lać jak z cebra. W końcu człowiek zaczyna czuć, że przemaka aż do szpiku kości. Ale rzeczywiście, masz rację, zawsze gdy wybiorę się gdzieś w podróż, tęsknię za powrotem w te strony.

Ruszyli dalej w stronę domu Gudrun. Po starannym sprawdzeniu, czy w pobliżu nie ma nic i nikogo podejrzanego, mogli wreszcie spokojnie zasiąść w przyjemnie urządzonej

saloniku, napić się kawy i coś przekąsić. Gudrun wszak liczyła na to, że się tu zjawią, i była pod każdym względem przygotowana na przyjęcie gości.

Unni przysłuchiwała się rozmowom przyjaciół i rozkoszowała się chwilą. Przyglądała się Jordiemu, koniuszkami palców lekko gładząc jasną skórę boku sofy aż do czasu, gdy zdała sobie sprawę, że robi to w sposób bardzo zmysłowy. W poczuciu winy prędko przyciągnęła rękę do siebie.

Antonio przez cały czas nie spuszczał z oczu drogi tak, by nic ich nie zaskoczyło.

Nie mogli się nagadać o swoich ostatnich przeżyciach. W końcu jednak nastąpiła przerwa.

Pokój przecinały tylko myśli.

„Moja kochana dziewczyno, jak zdołam przecierpieć ten czas wspólnie z tobą? Jakże bardzo chciałbym porwać cię w ramiona i powiedzieć ci wszystkie te słowa, które we mnie płoną. Poczuć twój policzek przy swoim, popatrzeć ci głęboko w oczy, oczy bez odrobiny fałszu czy zła, pogłaskać cię po tych zbyt króciuteńkich włosach i poczuć twoje ciało przy swoim.

Nic z tego jednak nie mogę zrobić, zawarłem bowiem pakt ze zmarłymi, żyję poza odmierzoną mi czasem, żyję teraz z łaski, niczym upiór z drugiej strony grobu.

Lecz mimo wszystko żyję, mimo wszystko miłość rozjaśnia moje wnętrze. Kocham cię tak, jak kochałem jeszcze na długo przedtem, nim spotkaliśmy się na lotnisku. Widziałem cię wiele razy, chociaż ty mnie nie zauważałaś. Spozregłaś mnie dopiero wtedy, a ja w twoich oczach zobaczyłem, że ty i ja czujemy to samo, że należymy do siebie. Nerozerwalnie.

Ale wówczas mój czas dobiegł już końca. Już wcześniej zgodziłem się na to pół - życie, stałem się żywym umarłym.

Pięciu rycerzy nic nie powiedziało o tym, czy zachowam pragnienia, tęsknotę, zdolność kochania, łaknienie kobiecego ciała, i to ciała bardzo szczególnej kobiety, która uważała się za nic nie wartą. Dla mnie jednak znaczyła wszystko.

Teraz nie mogę dotrzeć do niej. Właśnie dlatego, że coś ją do mnie przyciąga, ona wyczuwa mój lodowy pancerz, nie jest jednak w stanie przez niego przeniknąć. Ten chłód jest zbyt silny, im bardziej bowiem pociągam jakiegoś człowieka, tym mocniejsze zimno uderza w tę osobę.

To część ciężącego na mnie przekleństwa. Właśnie to i świadomość, że za rok umrę.

Nic nie jest takie, jak myślałem. Pozostawienie jej Mortenowi to był błąd, oni do siebie ani trochę nie pasują. Natomiast moje uczucia dla niej wcale nie wygasły, chociaż tego właśnie się spodziewałem. Antonio i ona mają ze sobą o wiele więcej wspólnego, wygląda na to, że doskonale czują się w swoim towarzystwie. Antonio to mój brat i życzę mu wszystkiego dobrego, lecz, mój ty świecie, jak to strasznie boli! Muszę jedynie pamiętać, że mój czas wkrótce upłynie.

Do niczego nie doszedłem, jeśli chodzi o rozwiązanie zagadki, znów zostaje na to zbyt mało czasu. Rycerze muszą być mną rozczarowani, lecz nie rozumiem, czego oni ode mnie chcą. Oprócz tego, by nie dopuścić, aby ich rody nie wymarły. Jeśli chodzi o przyszłość Mortena, to rysuje się ona czarno, no a nie chcę przecież, aby ten straszliwy spadek miało odziedziczyć przyszłe potomstwo Antonia. Złożyłem jednak rycerzom obietnicę.

Wszystko wydaje mi się takie trudne i beznadziejne. Ogromnie też jestem niezadowolony z moich osobistych starań. Część winy jednak można zrzucić na Leona i jego bandę, nie mogłem skupić się na zadaniu, bo musiałem ratować moich nie spodziewających się zagrożenia przyjaciół.

Gdybym tylko mógł powiedzieć jej, jak bardzo ją Kocham!”

Unni czuła na sobie wzrok Jordiego, rumieniec wypełził jej na policzki, a piersi i całe ciało zalało gorąco.

„Nie mogę na niego patrzeć, bo wtedy zupełnie się zdradzę. Oby tylko nikt inny nie zorientował się, co się ze mną dzieje. Ale nie, oni na szczęście z zapalem rozmawiają o całkiem innych sprawach.

Tutaj jest tak cudownie. Czas i przestrzeń przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie, człowiek czuje się taki swobodny. I już samo to, że mogę być razem z Jordim, jest naprawdę... naprawdę wielkie! On tak ładnie dzisiaj wygląda, prawie tak jak wówczas, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Nie jest już taki wycieńczony i chyba dobrze się czuje wśród nas. Prawdopodobnie brakowało mu jakiegokolwiek ludzkiego towarzystwa, ale wolę myśleć, że to w nas jest coś szczególnego. Jesteśmy jego sprzymierzeńcami, jego przyjaciółmi i najbliższymi mu osobami.

Gdyby tylko wszystko mogło ułożyć się normalnie, zwłaszcza teraz, gdy znaleźliśmy się tutaj, w tak sielskim, wprost romantycznym otoczeniu. Ale nie, gorzej chyba być już nie może”.

Owszem, mogło. Unni miała okazję przekonać się o tym, jeszcze zanim dzień dobiegł końca.

„Nie pojmuję tego, nie mogę tego zrozumieć, ale, prawdę powiedziawszy, zaakceptowałam to szaleństwo! W dodatku doskonale się czuję wśród tych pomyleńców, to ich wariackie życie jest doprawdy emocjonujące. Tworzymy wspólny front przeciwko wrogowi. To bardzo umacnia więź między nami. I ja też jestem wśród nich, czy nie tego właśnie pragnęłam? Przecież chciałam stać się członkiem tej niedużej grupki Unni, a teraz właśnie nim jestem. Ale skąd mogłam mieć pojęcie, że oni wiodą tak niebezpieczne życie? Zresztą nic nie szkodzi, bo teraz czuję się po prostu zwyczajnie szczęśliwa.

Nie chcę też wracać do matki, to by była najgorsza rzecz, jaka mogłaby mnie spotkać. Uf, na myśl o tych jej nieustających żądaniach coś, niczym lepka ręka, ściska mnie za gardło. To, oczywiście, odzywa się moje sumienie, które przez tyle lat nie pozwalało mi zaznać spokoju i kazało zgadzać się na wszystko, z czym miałam do czynienia.

Tutaj czuję się wolna. Po raz pierwszy w życiu.

Chyba całkiem oszalałam. Jak mogłam się zwierzyć z całego mego żalosego życia zupełnie obcemu człowiekowi? Ale nie miałam wrażenia, że on jest obcy. A może przyszło mi to z taką łatwością właśnie dlatego, że on był kimś zupełnie z zewnątrz? Raczej nie, chyba po prostu od razu wyczułam, że akurat jemu mogę powiedzieć całą prawdę o sobie.

Tak bardzo mi to pomogło.

Nie wygląda na to, by łączyło ich coś szczególnego. Ona jest najwyraźniej bardzo zajęta tym jego zadziwiającym bratem. Jak to możliwe, kiedy ma się w pobliżu kogoś takiego jak Antonio? Ten brat zresztą wygląda dzisiaj o wiele lepiej, kiedy nieco się obmył, pożyczył od młodszego brata sweter i trochę podjadł.

Ale ja chyba jeszcze poczekam, żeby się upewnić. Nie chcę wchodzić Unni w paradę, jeśli ją mniej lub bardziej łączy coś z Antoniem. Ale on jest fantastyczny, to naprawdę wspaniały człowiek. Czuję teraz, że moje życie uczuciowe bardzo długo pozostawało w uśpieniu. A w nocy trochę fantazjowałam o nim na jawie.

Muszę zaczekać i przekonać się, jak to jest między nim a Unni”.

„To wspaniała dziewczyna, w dodatku pełna seksu. O, proszę, jak zakłada nogę na nogę. Powoli, leniwie, nieświadoma swojej zmysłowości. Chyba zbyt długo wiodłem cnotliwe życie, bo mnie to ogromnie podnieca.

Ciekawe, czy ona jest wolna? Nic o tym nie wspominała, zresztą chyba dość miała zajęć z matką i pacjentami. Nie chcę się teraz jej narzucać, bo na to jesteśmy zanadto zajęci

kłopotami naszych rycerzy. Mogę jednak okazywać jej uwagę i troskę, to jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło.

Jakie to dziwne, że Unni tak dawno temu zakochała się właśnie w Jordim. Żywi dla niego wprost psie uwielbienie, muszę jej szepnąć, że nie powinna tego tak wyraźnie okazywać, to niedobrze.

Powietrze w tym pokoju wydaje się niemal naładowane prądem, jakby było przesycone emocjami i zmysłowością. A może tylko mnie się tak wydaje?

Ach, Boże, wśród tej burzy uczuć nie wolno nam zapominać o Mortenie. To on jest główną osobą dramatu i przyjechaliśmy tutaj właśnie ze względu na niego”.

„Ach, jak dobrze być znów u babci! Dlaczego nie przyjechałem do niej wcześniej? Owszem, miałem wypadek, ale przed nim? Czego ja szukałem w mieście? Przecież to tutaj jest moje miejsce. Cudownie też byłoby uniknąć tych wiecznych komentarzy ciotki. »Wkładaj brudną bieliznę do kosza, Mortenie. Nie rozrzucaj gazet przy łóżku, przecież podłoga może się pobrudzić od farby drukarskiej«. Jak ja mogłem to znosić?

Dziwne, że te łotry jeszcze tu nie dotarły. Oczywiście, że przebywanie w domu babci jest niebezpieczne, bo przecież Leon musi wiedzieć, gdzie ona mieszka, mnisi wszak wiedzą wszystko, tymczasem nikt się jakoś nie pokazuje. Na co oni czekają? Trochę to przypomina historyjkę o pewnym pensjonacie, w którym stary złośnik irytował się na gościa mieszkającego wyżej, wojskowego, który co wieczór ściągał oficerki przy wtórze dwóch głośnych stuków w podłogę. W końcu staruszek zaprotestował przeciwko hałasom. Następnego wieczoru oficer jak zwykle zaczął ściągać buty i jeden z hukiem rzucił na podłogę, przypomniał sobie jednak reprimendę i drugi but zsunął już zupełnie bezszelestnie. Poszedł spać, a w domu zapadła cisza. Po półgodzinie rozległ się pełen irytacji zniecierpliwiony krzyk: »A co z tym drugim butem? „

Mniej więcej właśnie tak się czuję w tej chwili. Gdzie się podział Leon?

Nie pojmuję, dlaczego Emma tak na łeb na szyję uciekła z Widmowego Dworu. Przecież łączą nas wspólne doznania, obiecała mi, że jeszcze się spotkamy. Wtedy, u mnie w domu, przeżyliśmy wspaniałe chwile, uznała mnie za dobrego kochanka, choć jeśli o mnie chodzi, to wiele z tego nie miałem. Ale coś mi podpowiada, że tym razem lepiej bym sobie poradził, dlatego jestem taki rozczarowany jej zniknięciem.

Inni, w odróżnieniu ode mnie, nie rozumieją Emmy. Uważają, że jest niebezpieczna. Kochanka Leona? Nie wierzę w to ani przez chwilę, na cóż by jej był taki stary dziad? My dwoje o wiele lepiej do siebie pasujemy. Przecież oboje zrozumieliśmy to już wtedy.

Szkoda, że nie ma jej tu teraz. Wszystko byłoby o wiele bardziej emocjonujące, Vesla i Unni przecież się nie liczą. Vesla jest zbyt wysoka, a Unni jest... no właśnie, żadna.

Wszyscy bez końca mówią tylko o rycerzach i granicy dwudziestu pięciu lat, ale ja nie mam już siły dłużej tego drażyć. Jestem zmęczony i chcę żyć w spokoju razem z babcią.

I bardzo chętnie z Emmą. Ach, wróć, cudowna Emmo!”

„Jak mam ratować mojego nieszczęsnego wnuka? Czy nie dość już tego, co spotkało mego męża i moją córkę? Oboje zmarli w tym domu, a ja nie mogłam temu zapobiec. To śmiertelnie niebezpieczne ściągać tu również Mortena, ale jemu przecież zostało jeszcze kilka miesięcy. Musimy coś wymyślić. Ten Antonio wygląda na inteligentnego i spolegliwego, sądzę, że podobnie jest z jego bratem, choć on wydaje mi się taki dziwny. Przeraza mnie, nie potrafię go zrozumieć. Jak zdoła pomóc Mortenowi, skoro sam sobie nie umiał pomóc?

Dziewczynki są sympatyczne, choć nie przypuszczam, żeby mogły się przyczynić do rozwiązania całej tej ponurej zagadki. Cóż, przydałby się nam ktoś niezwykle silny, ktoś, kto naprawdę zdołałby stawić opór Leonowi!

Jak ja zdołam położyć ich wszystkich do łóżek? Owszem, byłam przygotowana na przyjazd gości, lecz pojawienie się Jordiego stwarza pewne problemy. Zamierzałam umieścić Antonia i Mortena w jednym pokoju, a dziewczęta w drugim. No ale ten piąty... ?

Czy mogę mu zaproponować sofę w salonie? Przecież od czasu do czasu muszę wstawać w nocy, a wtedy przechodzę przez ten pokój. I czy starczy mi pościeli?

Lecz czy to naprawdę są problemy? To nieistotne drobiazgi. Nic takiego, czym przejąłby się ten zahartowany zespół, ale mimo wszystko!”

Gudrun jeszcze o tym nie wiedziała, ale ów silny człowiek, którego tak poszukiwała, znajdował się wśród nich. Rycerze uczynili go niezłomnym, a w każdym razie niewiele brakowało, by można go było tak nazwać.

Ciężko jednak musiał za to zapłacić.

Pięciu rycerzy, przybyłych z mglistej, dawno minionej przeszłości, z wysokości końskich grzbietów obserwowało dom, stojący pomiędzy morzem a skalną ścianą.

„Zasługujemy na wielki szacunek po naszym bohaterskim czynie, jakiego dokonaliśmy na pustym, zaśnieżonym trakcie, przyjaciele!”

„O, tak, ci łajdacy, którzy nadjechali owym przerażającym powozem bez koni, uczynili dokładnie to, na co mieliśmy nadzieję. Przerażeni nieoczekiwanym widokiem, pomknęli wprost w objęcia zagłady”.

„Od tamtego czasu nie posunęli się daleko. Rozdzielili się, jedno z nich nie wie, gdzie znajdują się pozostali. Tracą tak cenny dla siebie czas”.

„To prawda, lecz są tu nasi wrogowie”.

„Oni nie są w stanie niczego dokonać bez swoich niewolników wywodzących się z teraźniejszości. Złość ich zalewa, bo muszą stać z boku, beczynni, i nie mogą włączyć się do walki. Współdziałać mogą jedynie w chwili śmierci swoich ofiar”.

„Oby Bóg dał, by nie było więcej takich chwil”.

„Nigdy jeszcze nie znajdowaliśmy się równie blisko celu. Nie wolno nam spuszczać z oczu naszych dzielnych sprzymierzeńców, którzy mogą przynieść nam ratunek!”

Antonio bardzo chciał usłyszeć, co Gudrun ma do powiedzenia na temat matki Mortena i jej ojca.

Gospodyni chętnie zgodziła się spełnić tę prośbę i dodała, że być może będzie w stanie powiedzieć im również coś na temat matki tego ostatniego.

- A więc cofniemy się o jeszcze jedno pokolenie? - zdumiał się Antonio. - To naprawdę wspaniale!

Gudrun oprowadziła ich po domu.

- Ojej! - zdziwił się Morten. - Całkiem już zapomniałem, że schody są takie wysokie i wąskie.

Babcia odparła z naciskiem:

- Wydają ci się wysokie, ponieważ masz problemy z wejściem na górę, a wąskie dlatego, że urosłeś od swojego ostatniego pobytu tutaj.

No tak, Morten musiał przyznać jej rację.

Przyjaciele pomogli mu wspiąć się na piętro.

- Mój stary pokój - rzekł z nostalgią w głosie.

- Tak, teraz służy jako pokój gościnny. Będą tu spać dziewczęta.

Gudrun wskazała na przestrzeń ponad drzwiami.

- W tym właśnie miejscu został wryty znak, kiedy moja córka Sigrid leżała martwa w środku. Wydaje mi się, że wciąż jeszcze można dostrzec jego zarys.

Jordi delikatnie powiódł palcami po pomalowanym drewnie.

- Tak, musiał być w tym miejscu.

Również Antonio sprawdził i zaraz pokiwał głową. On przecież miał już okazję oglądać kiedyś ów bardzo uproszczony znak ponad drzwiami Jordiego.

Ale w jego wypadku przeciwnicy się przeliczyli. Jordi nie umarł.

A może jednak?

- No a jak było przy śmierci twego męża? - spytał Antonio.

- On zmarł w naszej sypialni na dole. Tamten znak udało mi się usunąć. Ale też tam był i też nad drzwiami.

Na piętrze znajdowało się jeszcze tylko jedno pomieszczenie, funkcjonowało jako schowek. Gudrun weszła tam teraz i zabrała jakieś papiery i różne inne rzeczy.

- Niestety, po Jonasie, moim mężu, zostało mi bardzo niewiele. On przecież zmarł w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym...

- I od tamtej pory mieszkasz sama? - zdumiał się Antonio.

Gudrun uśmiechnęła się półgębkiem.

- No cóż, czy sama? Oficjalnie może i tak, ale w ciągu tych lat, które minęły, miałam kilku... hm... przyjaciół. Poza tym Sigrid, a później Morten spędzali tutaj dość długie okresy. Muszę jednak przyznać, iż rzeczywiście dobrze się czuję we własnym towarzystwie.

Zeszli z powrotem do jasnego, przyjemnego salonu. Gudrun powiedziała:

- Jonas zachęcał naszą córkę Sigrid do zapisywania w pamiętniku szczególnych wydarzeń z myślą o przekazaniu go ewentualnym dzieciom. Tak, tak, słyszałam, że jej pamiętnik już znaleźliście. Bardzo dobrze. Niestety, z przykrością muszę wam powiedzieć, że nigdy nie udało mi się odnaleźć pamiętnika mego męża, a tym bardziej jego matki, nieszczęsnej Anne Hansen. Ona również prowadziła zapiski, a w ostatnim okresie swego życia mieszkała właśnie tu. Oba dzienniki jednak gdzieś zniknęły. Mam wrażenie, że muszą być w tym samym miejscu. Tylko gdzie ich szukać?

- To wielka szkoda - przyznał Jordi.

- Owszem. Jedyłą rzeczą, jaka nam po niej pozostała, jest napisana przez nią pojedyncza kartka. Niestety, po hiszpańsku. Nic więc nie mogliśmy z tego zrozumieć.

Obaj bracia nastawili uszu.

- Naprawdę pisała po hiszpańsku? A to dlaczego? - zdziwił się Antonio. - Przecież nie zdążyła poznać swojej matki, Any Navarro.

- Owszem, trochę ją znała. Anne miała pięć lat, kiedy Ana zmarła, a mieszkali wówczas w Hiszpanii. Ojciec Anne, Jon Hansen, pochodził stąd, wiele jednak podróżował, był wszak marynarzem, zostawił więc dziewczynkę pod opieką krewnych w Hiszpanii. Kiedy Anne miała dwadzieścia cztery lata, uciekła tutaj. Spodziewała się dziecka i była głęboko nieszczęśliwa. A potem zmarła w połogu, w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat. Mój mąż więc nigdy nie poznał swojej matki. Zajęli się nim pewni ludzie z Selje i wyrósł na porządnego człowieka. Tylko tak mało czasu dane nam było przeżyć razem. Nasze jedyne dziecko, Sigrid, skończyła zaledwie trzy latka, gdy mój mąż osiągnął tę zniechęcającą granicę dwudziestego piątego roku życia i zmarł.

Koligacje były tak zawiśnięte, że Unni musiała od czasu do czasu zerkać na swoją kopię drzewa genealogicznego. Rzeczywiście, wszystko się zgadzało.

Antonia wyraźnie swędziały palce.

- Ta kartka z zapiskami po hiszpańsku... ? Przecież my obaj, Jordi i ja, biegle mówimy po hiszpańsku.

- Ach, to wspaniale! Poczekajcie, zaraz zobaczę, gdzie ona może być...

Gudrun przerzucała nieliczne papiery. Było w nich najwięcej świadectw chrztu i podobnych oficjalnych dokumentów.

- Jest! To to! Stary papier i spłowiły, ale mam nadzieję, że będziecie w stanie go odczytać.

Pożądliwie rzucili się na zapiski, tłumacząc je na zmianę i z trudem przedzierając się przez na pół zatarte litery.

„Tam, gdzie dzwony... dzwoniły na... Ave... leży mój kuferek. W świętej... ziemi niech spoczywa moja... wiedza... by nikt niewierny... jej nie zbrukał”.

- Ave? - powtórzyła Vesla. - Co to może oznaczać? I o jakiej świętej ziemi mowa?

Twarz Gudrun się rozjaśniła.

- „Tam, gdzie dzwony dzwoniły na Ave, w świętej ziemi”. Klasztor! Ruiny klasztoru na wyspie Selji, tu niedaleko!

- Ależ oczywiście! - zawtórował jej Morten. - Ale wobec tego pamiętnik dziadka nie może się tam znajdować.

- Raczej nie - przyznała w zamyśleniu Gudrun. - Mój mąż nie znał hiszpańskiego, nie wiedział więc, gdzie może być ukryty dziennik jego matki.

- Musimy się tam wybrać - zapalił się Morten.

- Oczywiście, że tak zrobimy - uspokoiła go Gudrun. - Ale dzisiaj już nie zdążymy, wyruszymy jutro rano. Teraz natomiast ja chciałabym usłyszeć zupełnie inną historię.

Wszyscy popatrzyli na Jordiego.

On zaraz się uśmiechnął.

- Oczywiście, jeśli macie siły jej wysłuchać. Może się okazać bardzo długa.

- Poprosisz noc, by ci pomogła, jeśli tego będzie potrzeba - spokojnie powiedziała Unni.

Gudrun załamywała ręce.

- Żałuję tylko, że niepotrzebnie ciągnęłam was do Widmowego Dworu, mogliście przyjechać bezpośrednio tutaj, oszczędzilibyśmy mnóstwo czasu.

- Chyba raczej nie - odparł Antonio. - Przyjechaliby za nami już dziś wieczorem. Dzięki pobytowi w Widmowym Dworze pozbyliśmy się tej pijawki Emmy, a poza tym nieszczęśliwa dusza odnalazła wreszcie spokój. Dzięki ci za to, Jordi! Ale muszę przyznać, że nie rozumiem, dlaczego oni wciąż się tu nie pojawiają.

- No tak, bo chyba muszą wiedzieć, że tu jesteśmy - przyznał Morten.

- Niekoniecznie - odparł Jordi. - Być może sądzą, że ukrywamy się w jakimś innym miejscu.

- I prawdopodobnie czekali przy tej drodze, którą zwykle jeździ się do Widmowego Dworu, ale ponieważ się nie zjawialiśmy, pojechali tam sprawdzić, co się stało.

- I wcale nas nie zastali - dodała Unni zadowolona. - Musiało im to nieźle namieszać w głowach. Ciekawe, ile zastawionych na nas po drodze pułapek udało nam się ominąć. Oni przypominają głupiego wilka z filmów rysunkowych. Ten wilk zawsze zastawiał mnóstwo beznadziejnych pułapek, w które sam wpadał. W ostatnich dniach Leon musiał paskudnie przeklinać.

Unni była bardzo zadowolona z pobytu w Widmowym Dworze. Po pierwsze, miała okazję przebywać razem z Jordim, po drugie zaś, lepiej poznała resztę grupy.

Tutaj, w pięknym i dość oryginalnym domu Gudrun, czuła się cudownie bezpieczna. Nieduże, kunsztownie wykonane stoliki do szycia i haftowane poduszki dzieliły miejsce ze szkaradnymi maskami przywiezionymi z podróży do egzotycznych krajów. Mogła z tego wyjść przerażająca mieszanka, na widok której snobistycznym estetom nerwy zawiązałyby się na supełki, lecz tutaj stało się inaczej. A wszystko dlatego, że Gudrun była damą posiadającą wiele smaku i kultury. Właśnie za jej sprawą rozmaite style, przemieszane ze sobą, doskonale do siebie pasowały.

Antonio i Vesla siedzieli każde w swoim rogu jasnego niczym latem, pełnego kwiatów wykusza, bacznie pilnując drogi. Również między nimi istniało wręcz wyczuwalne erotyczne napięcie, które Unni wyraźnie poprawiło humor.

Świetnie, pomyślała. Bardzo do siebie pasujecie i jesteście sobie nawzajem potrzebni. Mam nadzieję, że to rozumiecie i przyjmiecie wszystkie tego konsekwencje.

Unni poczuła nagle, że stanowi jedność z pogodnym, przepelnionym wiosennym słońcem krajobrazem, i wszystkim życzyła jak najlepiej.

Nagle Antonio się odwrócił.

- Nadjeżdża jakiś samochód - oznajmił bez tchu.

Gudrun natychmiast poderwała się z krzesła.

- To tylko poczta. Pójdę po nią później, i tak będą tylko same reklamy.

Unni skuliła się w swoim kąciaku na kanapie. Mor - ten zajął przeciwległy kąt, Jordiemu przypadło miejsce w przepastnym fotelu. Siedział w nim niczym dobry król z rękami opartymi na poręczach.

Zaczął opowiadać.

Snując opowieść, cofał się myślami w przeszłość, a serce i dusza mu przy tym krwawiły.

CZEŚĆ DRUGA
PODRÓŻ JORDIEGO

Jordi już od wczesnego dzieciństwa wiedział, jaki los jest mu pisany. Jego ojciec, kiedy miał dwadzieścia cztery lata, wziął swego pięcioletniego wówczas synka na rozmowę w cztery oczy i powiedział mu o przekleństwie. Przyrzekł jednak Jordiemu, że będzie je zwalczał, aby zarówno ojciec, jak i syn mogli przeżyć i by nikt z przyszłych pokoleń nie został nigdy dotknięty złym losem.

Niestety, ojcu się nie udało. Jordi jednak od tamtej pory zawsze zastanawiał się, czy historia nie mogłaby potoczyć się inaczej, gdyby tylko nie istniał Leon. Właśnie on bowiem przebywał w domu Nicolasa Vargasa w dniu jego śmierci i dwaj mężczyźni na pewien czas zostali tylko we dwóch. Później Nicolasa znaleziono martwego. Mówiło się, że zmarł na atak serca.

Jordi nie chciał wracać myślą do tamtych strasznych lat dzieciństwa, kiedy Leon wprowadził się do ich domu i został „ojcem” jego i Antonia. Wciąż było widać, że te lata są dla niego niczym niezabliźniona rana, choć Jordi był człowiekiem o gorącym sercu, łatwo skłonny wybaczać. Dlatego właśnie starał się zapomnieć, istnieli bowiem ludzie, którym nie mógł udzielić swego wybaczenia.

W życiu pragnął jednego: pomóc swemu młodszemu bratu Antoniowi, w którym traumatyczne przeżycia z dzieciństwa pozostawiły głębokie ślady. Antonio opętany był nienawiścią, a to mogło stać się niebezpieczne.

Antonio był taki zdolny. Jordi jak tylko mógł starał się wspierać brata i zapewnić mu dobrą przyszłość.

On sam natomiast przynajmniej z pozoru pogodził się ze swoim losem. W przeciwieństwie do Antonia rozumiał powagę sytuacji.

Jordi jednak miał zamiar walczyć. Gdyby tylko zdołał odkryć, o co chodzi w tych wszystkich niewyjaśnionych wydarzeniach, być może byłby w stanie pokonać przekleństwo, tak by nie zagrażało ono już więcej przyszłym dzieciom Antonia. On sam nie mógł nawet myśleć o spłodzeniu dzieci, odziedziczyłyby wszak ciężącą nad rodziną klątwę. Nie chciał też jednak, by cierpiało pierworodne dziecko Antonia.

Ojciec pozostawił Jordiemu długi list, który był chłopakowi pomocą.

W liście tym ku swej głębokiej rozpaczyc mógł przeczytać historię swej babki, nieszczęsnej Teresy, tej, która została zgwałcona jako piętnastolatka i wyrzucona z domu przez złą matkę, Emilię.

Właściwie słuchacze Jordiego postanowili mu nie przerywać, lecz Gudrun mimo wszystko się wtrącała:

- To przecież historia bardzo podobna do historii Anne z naszej gałęzi rodziny!

- No właśnie! Wprawdzie nie były tym samym pokoleniem, lecz spotkał je podobny gorzki los. No i nie wiemy, czy ta wasza Anne również została zgwałcona.

- To prawda, ona na ten temat milczała jak grób, tak przynajmniej mówiono, i przez to podejrzewano, że wszystkiemu winna była jednak miłość. Podobno Anne w pełni ufała swemu ukochanemu i sama z wielką chęcią rzuciła mu się w ramiona. On tymczasem prawdopodobnie ją zdradził.

- Na pewno był czarusem o nieodpartym wdzięku. Nigdzie ich nie brakuje - zauważyła Vesla z goryczą w głosie. - Wiadomo, co to za jeden?

- Tylko tyle, że nie był Hiszpanem. Podobno Anne szepnęła kiedyś, że pochodził z północy Europy. Spotkała go, gdy uciekła na północ. Opuszczona przez niego podążyła w rodzinne strony swego ojca.

Unni wysunęła teorię:

- Pewnie dlatego Morten ma taką jasną cerę. Hiszpańska krew całkiem się rozmyła. Ale wróć do swego opowiadania, Jordi.

- Dobrze. Z listu ojca dowiedziałem się tyle rzeczy o moim rodzie, że mogłem narysować to drzewo genealogiczne, jego hiszpańskie odgałęzienie. Później wytropiłem potomków Any Navarro, twoją linię, Mortenie. To było stosunkowo proste, ale gdy cofałem się w przeszłość, wszystko zatrzymywało się przy Santiago i jego ojcu pochodzącym najprawdopodobniej ze szlacheckiego rodu de Navarra.

Unni zamyślona bębniła palcami w brzeg sofy.

- Co takiego, Unni? - odezwał się Jordi życzliwie. - Mów!

- Nie, nic, myślałam tylko... Pomyślałam... Jak przyjrzyście się uważniej temu drzewu, to jest jednak osoba, która być może miałaby nam to i owo do powiedzenia. Właśnie o tym Santiago.

Jordi wolno pokiwał głową, a wyraz twarzy Antonia zdradzał, że on również zrozumiał.

- Elio, prawda? - spytał Jordi. - Ja też już o nim myślałem. Bardzo możliwe, że on jeszcze żyje.

- Oczywiście - zapaliła się Unni. - Jeśli żyje, to ma zaledwie sześćdziesiąt sześć lat, to przecież żaden wiek.

- Masz rację - uśmiechnął się do niej Jordi, a oczy rozjaśniły mu się ciepłem i wyraźną sympatią dla dziewczyny. - Próbowałem już szukać Elia, na razie jednak bez rezultatu.

- Nie mogłeś sprawdzić w książce telefonicznej? - podsunęła Vesla.

Jordi popatrzył na nią tak chłodno i intensywnie, że aż zamigotało jej w oczach. Pokręcił głową ze smutnym uśmiechem.

- W hiszpańskich książkach telefonicznych każdy zamieszczony jest z dwoma nazwiskami. Powiedzmy Navarro, nazwisko jego ojca, dalej zaś jest nazwisko matki, którego nie znamy, imię natomiast zapisywane jest tylko inicjałem. Zamiast Elio mamy więc E. Jedyne, czym mogłem się kierować, to „Navarro, nieznane nazwisko panięskie matki, E. „. A wiesz, ilu Navarrów jest w Hiszpanii? Gdybym przynajmniej wiedział, w jakim regionie kraju on może mieszkać! Niestety, nawet o tym nie miałem pojęcia.

- Wielka szkoda - stwierdziła Gudrun.

- Owszem, ale Antonio podsunął mi inny ślad...

- Ja? Co? Gdzie? Kiedy?

- Tegoroczne wydanie „Co, gdzie, kiedy?” - mruknęła Unni. - Mów dalej, Jordi!

- Muszę przyznać, że cała ta opowieść zaczyna się stawać nieco chaotyczna - powiedział Jordi. - Chyba straciłem wątek.

- Rzeczywiście, za dużo gadamy i za wiele pytamy - przyznała Gudrun. - Lepiej będzie, jak opowiesz o wszystkim po kolei, a my dopiero na koniec zadamy ci pytania. Możecie je sobie zapisywać, żeby nikt o niczym nie zapomniał.

Pomysł ten uznali za świetny. Unni miała przed sobą notes, teraz szczerze rozdała wszystkim kartki, znalazła się też dostateczna liczba długopisów. Na pytanie Antonia Unni odrzekła, że przez cały czas notowała sobie rozmaite „dlaczego”, które jej przyszły do głowy. Mieli wszak, przyglądając się przeszłości, szukać odpowiedzi na wieje różnych pytań współczesności. Gdy Antonio i Morten pochwalili Unni, dziewczyna aż rozpromieniła się z dumy i przejęcia.

Wszystko było takie cudowne i wspaniałe, życie nie mogło już być piękniejsze. Przyjaciele, piękny, jasny dzień, Jordi, poczucie więzi łączące ich wszystkich, te tak niezmiernie ciekawe sprawy...

Nim jednak dzień minął, radość Unni miała przygasnąć.

Na razie jednak nikt się nie domyślał, co się stanie.

Jordi oznajmił:

- Jest jeszcze jedna tylko rzecz, którą chciałbym wam pokazać, nim wrócę do swojej opowieści.

Wszyscy natychmiast skierowali na niego uwagę.

Jordi namyślał się chwilę, nim zaczął:

- Wspominałem o rozmowie z ojcem, która miała miejsce w roku jego śmierci. Pokazał mi on coś bardzo istotnego, co zobaczyłem znów kilka lat temu w innej formie, na innym materiale. Ojciec miał kawałek papieru, na którym ktoś dawno temu narysował prawdziwy znak, w jego pełnej pierwotnej formie. Skąd ojciec wziął ten papier, tego mi nie powiedział albo może ja zapomniałem, miałem przecież tylko pięć lat. Nigdy więcej nie widziałem tej kartki, chociaż przeszukiwałem cały dom. Ponieważ jednak zetknąłem się z tym znakiem całkiem niedawno, minionej nocy na Widmowym Dworze postarałem się naszkicować go z pamięci. Bardzo cię przepraszam, Mortenie - w oczach Jordiego zapaliły się ogniki wesołości - ale wydaje mi się, że zrozumiesz, dlaczego się śmiałem, kiedy zobaczyłem tę twoją szczotkę do zamiatania czy jak to nazwać. Znak był prawdopodobnie kopiowany niezliczoną ilość razy w ciągu wielu lat i przez to bardzo się uprościł i rozmył. Proszę, oto i on.

Wyjął kawałek papieru i rozłożył go.



- Ależ to przecież dwugłowy orzeł! - wykrzyknął Antonio. - Sądziłem, że jego miejsce jest w heraldyce rosyjskiej i niemieckiej.

- W Hiszpanii również był spotykany, w niektórych rodach. Ale to wcale nie jest orzeł, lecz dwugłowy gryf, a to, doprawdy, wielka rzadkość. W żadnym innym miejscu nie widziano nigdy podobnego herbu jak ten.

Wtrąciła się również Unni:

- Tak, tu jest napisane to, co mówiłeś: „VENCED SANCTUM OFFICIUM”. I „AMOR ILIMITADO SOLAMENTE”. Ale co oznaczają litery „G A C V N”?

- Do tego wrócimy później. Wasze oczy muszą jakoś znieść moje niezdarne próby artystyczne, swobodne rysowanie z pamięci może mieć bardzo różne skutki.

- Nie tak jednak dziwne jak to, że herb z upływem czasu przemienił się w miotłę - roześmiał się Morten.

- Ale co w środku czegoś tak pompatycznego jak rodowy herb robi zwyczajna sroka? - zastanawiała się Unni.

- To ma swoje dość konkretne wyjaśnienie. Jeszcze do tego wrócę. Ale... Czy tylko ja jestem głodny?

Nie, wszyscy przyznali się do ssania w żołądku, wspólnie przygotowali więc obiad, a podczas jedzenia rozmawiali o bardzo zwyczajnych sprawach.

Po posiłku znów usiedli, gotowi słuchać.

Szesnastoletni Jordi obudził się o szarym świcie, nieprzyjemnie roztrzęsiony jakby echem snu, którego z początku nie mógł przywołać w pamięci.

Z wolna wyławiał szczegóły po szczególe.

To było coś przerażającego, duszącego. Trumny ustawione w grobowcu. On także leżał w jednej z trumien, wieko było zakryte. Znajdowały się tam również sarkofagi, zaglądał do nich, tak jak to można robić we śnie, bez żadnych przeszkód czy granic nie do pokonania.

Ani trochę nie spodobało mu się to, co zobaczył. W trumnach spoczywały zwłoki nietknięte do tego stopnia, że był w stanie rozróżnić piękne rysy twarzy, a także wyszukane staroświeckie stroje. Dostrzegł też sztylet wystający z piersi najbliższej spoczywającego ciała.

Bez względu na to, jak bardzo się wysiłał, nie był w stanie przypomnieć sobie nic więcej poza odczuciem klaustrofobii, próbami uniesienia pokrywy i własnymi krzykami, których nikt nie słyszał, w tym miejscu bowiem nie było żadnego żywego człowieka.

Wciąż roztrzęsiony, z trudem chwytając oddech, Jordi zastanawiał się, czy w trumnach ujrzał rycerzy. Przypuszczał jednak, że musiało być inaczej. Ojciec opowiadał mu o rycerzach, a także o mnichach w służbie inkwizycji, których Jordi powinien się wystrzegać. Gdyby zobaczył ich na jawie, oznaczałoby to, że jego czas dobiegł końca.

Owszem, Jordi widział już obie te grupy, na razie jednak tylko w snach. Słyszał kuszące nawoływania mnichów, rycerze zaś bez końca go ponaglali. „Spiesz się, spiesz!”

Teraz nie miał kogo spytać o radę. Został sam i sam jeden ponosił odpowiedzialność za Antonia. Swój niepokój i lęk musiał odłożyć na bok.

Bardzo pragnął wyjechać do Hiszpanii, by tam na miejscu zająć się zbadaniem tajemnicy. Na razie, niestety, było to niemożliwe, nie miał ani czasu, ani pieniędzy. Dobrowolnie przestał się uczyć, żeby móc zarabiać pieniądze na wykształcenie Antonia. Brał wszystkie prace, jakie tylko mu proponowano, pod jednym warunkiem: musiały być dobrze płatne. Nocami zaś przesiadywał nad tłumaczeniami - z hiszpańskiego i na hiszpański.

Jego działania skomplikowały się naprawdę dopiero wtedy, gdy odkrył istnienie Mortena.

Wiedział, że musi chronić młodego chłopca. W jaki jednak sposób mógł to robić? Antonio i Morten nie mieszkali nawet w pobliżu. No, ale Morten miał jeszcze czas.

Wprawdzie Jordi był przygotowany, że coś takiego się zdarzy, lecz mimo wszystko pierwszy pergamin, który pojawił się w jego dwudzieste pierwsze urodziny, wywołał szok.

Widniał na nim ten sam znak, który kiedyś pokazał mu ojciec. Niestety, ten znak był tak zatarty, że po dwugłowym gryfie i napisach pozostały jedynie nieliczne ślady. Jordi cieszył się, że wcześniej miał okazję oglądać ten herb, bo inaczej nic nie zrozumiałby z rysunku.

Teraz jednak nie chciał już dłużej czekać. I po raz pierwszy zdecydował się na wyjazd do swej drugiej ojczyzny, Hiszpanii. Bez grosza w kieszeni, ze świadomością, że musi się spieszyć, autostopem przejechał przez Europę, a było to w czasach, kiedy autostopowiczów niechętnie zabierano. Mimo to zdołał dotrzeć na południe. Nie miał innego punktu wyjścia niż dawne rodzinne strony nad wielkimi słonymi jeziorami w okolicach Costa Blanca. Powrócił do San Miguel de Salinas.

To było bardzo przykre przeżycie. Napłynęły wspomnienia okrucieństw Leona. Okazało się również, że okolicę zabudowano letnimi domami, które należały do Anglików, Niemców i Skandynawów, Jordi ledwie poznawał, gdzie jest.

Wyjechał stąd jako sześciolatek. Nie znał ludzi, którzy teraz mieszkali w San Miguel de Salinas. Od pewnego czasu jednak rozmyślał nad pewną teorią. Nieustające kuszenie mnichów, powtarzających mu „Przybądź do Santiago”, wcześniej wyobrażał sobie jako wezwanie do Santiago de Compostela. Teraz jednak miał wątpliwości. Doprawdy, czy torturowanie i karanie heretyków śmiercią były tak powszechnie stosowane akurat w Santiago de Compostela? Czy pod tym względem bardziej nie zasłynęła Salamanca? No i co z Caceres?

Wszystkie te miejsca leżały zbyt daleko. Jordi nie miał możliwości się tam dostać, ale dowiedział się o istnieniu pewnego klasztoru, położonego w stosunkowo bliskiej odległości. Mieszkał w nim pewien uczony człowiek, który z całą pewnością mógł mu udzielić bardziej szczegółowych informacji.

Jordi bowiem usłyszał kiedyś, jak ktoś wspominał o istnieniu zakonu, który miał w swej nazwie słowo „Santiago”. A mógł to być zakon rycerski.

Od pewnego sąsiada, który znał niegdyś rodzinę Jordiego, choć on sam, rzecz jasna, nie pamiętał tego człowieka, udało mu się pożyczyć samochód. Otrzymał od niego też wskazówki, w jaki sposób szukać drogi do klasztoru franciszkanów Santa Ana dei Monte w Jumilla.

Krętymi leśnymi ścieżkami dotarł do klasztoru położonego na uboczu u stóp góry w sosnowym lesie, z rozległym widokiem na ciągnące się w dole doliny. W klasztorze urządzono teraz muzeum. Jordiego oprowadził po nim życzliwy administrator, o którego kościelną godność Jordi zapomniał spytać. W myślach nazywał go przeorem.

Tak, tak, człowiek ten słyszał o zakonie Santiago, założonym około roku 1170. Rycerze zakonni posiadali wielkie majątki ziemskie w dzikiej, pięknej górskiej okolicy Maestrazgo w Aragonii.

W owym czasie istniało bardzo wiele rozmaitych rycerskich zakonów, wśród nich templariusze, którzy zdobywali coraz większą władzę. W czternastym wieku papież rozwiązał ów zakon. W Hiszpanii spadek po oskarżonych o herezję templariuszach, wywodzących się od krzyżowców, przejęły rdzennie hiszpańskie zakony. Takim właśnie całkowicie hiszpańskim zakonem byli rycerze Santiago. W roku 1476 zmarł ich wielki mistrz, a królowa Izabela doprowadziła do tego, by nowym wielkim mistrzem zakonu został jej mąż, król Ferdynand, dzięki czemu zdobył on całkowitą władzę nad wszystkimi zakonami rycerskimi. Z czasem potęga rycerzy Santiago zaginęła.

No cóż, Jordi usiłował coś z tego wywnioskować, nie bardzo mu się to jednak udawało. Spytał miłego przeora o Santiago de Compostela. Czy możliwe, że kaci inkwizycji grasowali również i tam?

Niewiele się o tym mówiło, lecz przecież oni byli wszędzie. Dlaczego więc w tym mieście miałoby ich nie być?

Jordi podziękował przeorowi i pojechał z powrotem do San Miguel de Salinas.

Tak wiele, albo tak mało, zyskał podczas swej pierwszej podróży. Musiał wracać do Norwegii.

Upłynęły następne dwa lata wypełnione pracą. Jordi wprost płonął z chęci kolejnego wyjazdu do Hiszpanii, bo właśnie wtedy wywnioskował, że być może rozmowa z Eliem Navarro dałaby mu coś więcej. Musiał odnaleźć Elia. Niestety, niemal całe zarobki Jordiego pochłaniało wykształcenie Antonia.

Niekiedy w późne wieczory ciarki przechodziły mu po plecach, gdy pomyślał o swojej samotności. Mieszkał sam, Antonio bowiem dzielił mieszkanie z innymi studentami.

Jordi nie miał żadnej przyszłości. Zdobył sobie co prawda wielu przyjaciół w licznych miejscach pracy, oni jednak wiedli własne życie, a gdy dzień pracy się kończył, Jordi samotnie wracał do domu, do swoich tłumaczeń.

Samotność zaczęła doskwierać mu jeszcze dotkliwiej, kiedy znalazł pewną młodą dziewczynę, która obudziła w nim nieznane dotąd uczucia. Nie śmiał się jej pokazywać, ale ukradkiem odwiedzał miejsca, w których czasami bywała.

Odnosił wrażenie, jakby w tej dziewczynie odnalazł swą drugą połowę. Nie chciał nazywać ich bliźniaczymi duszami, bo określenia tego i tak nadużywano, a poza tym tak

naprawdę bardzo niewiele wiedział o jej duszy. Po prostu ogromną przyjemność sprawiało mu patrzeć na nią, choć jednocześnie przynosiło też wielki ból.

Jordi wiedział przecież, że jest skazany na śmierć, zostały mu zaledwie dwa lata życia. Nie miał prawa choćby próbować wiązać się z kobietą na tak krótki czas, wszak taki związek mógł być powodem wielkiego cierpienia.

Dlatego właśnie starał się w samotności znosić swój smutek, ten, który czasami ścisnął go w piersi tak mocno, że ledwie mógł oddychać, był niczym jękliwy ton z pradawnych lasów i bezludnych pustkowi, przesycony tęsknotą i udręką jak sama ziemia. Myślał o tej dziewczynie dniem i nocą, nie mógł zaznać spokoju, nie potrafił się skupić.

Jordi wiedział, że dziewczyna nazywa się Unni Karlsrud. Miała długie, ciemne włosy i ciemne oczy z długimi rzęsami. Uważał ją za nieskończenie piękną, lecz pewnego razu, kiedy był w towarzystwie dwóch kolegów z pracy, a ona akurat przechodziła z koleżanką, obaj koledzy zachwycili się właśnie koleżanką, a o Unni nie wspomnieli ani słowem. Ogromnie go to zdziwiło. Czyż oni nie widzieli czystej linii jej czoła, tego błysku poczucia humoru w oku, bezradnej samotności w onieśmielonym niekiedy spojrzeniu?

Nie, to jasne. Unni była niewysoka, może nawet nieco zbyt krępa, podczas gdy ta druga dziewczyna wyglądała jak prawdziwa walkiria o długich jasnych włosach. Zdaniem Jordiego jednak Unni otaczała aura charyzmy i gdy na nią patrzył, nogi się pod nim ugiwały.

Dobry Boże, tak bardzo pragnął żyć. Chciał zobaczyć, w jakim kierunku podaży świat, pragnął poznać tę dziewczynę i przeżyć z nią całe swoje życie.

Kolejne zwoje pergaminów, które otrzymał, zawierały upomnienia i nakazy, by zmierzał dalej drogą, na którą wstąpił. Jaką drogą? zastanawiał się Jordi w duchu. Surowe twarze rycerzy prześladowały go wciąż we śnie, a jednocześnie wabiące okrzyki mnichów stawały się co - raz bardziej intensywne. Byli nieprzyjemnie natrętni, ich złe spojrzenia wprost się do niego lepiły, a gdy szeptali z naciskiem, kropelki śliny padały mu na twarz.

Po takich snach podrywał się z krzykiem i przez chwilę nie mógł złapać powietrza, zanim w końcu odzyskiwał spokój.

Życzenie mnichów było jasne jak słońce: Chcieli, aby udał się do Santiago, prawdopodobnie do Santiago de Compostela - na tereny stanowiące ich królestwo, gdzie bez trudu mogli go pojmać.

Mniej oczywiste było, czego oczekują od niego rycerze. Żądali pomocy - ale w czym?

Walka o Jordiego stawała się coraz bardziej gwałtowna. Dlaczego obu stronom tak zależało akurat na nim?

Dlatego, że starał się znaleźć odpowiedź? Dlatego, że podjął walkę i być może natrafił na jakiś ślad?

Nawet jeśli tak, to na jaki?

Chyba że... ?

Chyba że te rzucone mimochodem przez Antonia słowa naprawdę coś oznaczały?

Próby odnalezienia Elia Navarro to jak szukanie igły w stogu siana. Ale to, co powiedział Antonio?

Było to w ostatnim roku życia Jordiego. Wkrótce miał skończyć dwadzieścia cztery lata i powoli ogarniała go coraz większa desperacja. Siedzieli we dwóch razem z Antoniem, jedząc lunch, była niedziela i mogli spędzić czas razem. Nie pamiętał już, jak doszło do rozmowy o Leonie, ale Antonio spytał: „Dlaczego właściwie Leon cię prześladował, kiedy byliśmy dziećmi? Czy wiesz, że pytał o ciebie nawet wtedy, gdy już zabrała go policja?”

Nie zabrzmiało to być może wcale jak nić, której warto się uchwycić, lecz Jordi ją złapał. Postanowił iść śladem Leona. Los również mu w tym sprzyjał. Przypadkiem zobaczył w gazecie ogłoszenie pewnego biura podróży: skromne wyjazdy po bardzo obniżonych cenach. Niesłychanie tania tygodniowa wycieczka do północno - zachodnich rejonów Hiszpanii, a więc akurat w okolice, które tak bardzo interesowały Jordiego (w przeciwieństwie do licznej rzeszy turystów, i zapewne dlatego tak tanie). Niestety, musiał pożyczyć trochę pieniędzy z konta, które założył dla Antonia.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem do Hiszpanii Jordi jak zwykle poszedł się przejść brzegiem morza. I nagle - a może raczej należałoby powiedzieć: powoli - uświadomił sobie, że dostrzega coś w oddali na skraju plaży.

Zmrużył oczy, by lepiej widzieć. To coś przypominało jeźdźca. Samotnego jeźdźca stojącego nieruchomo i przyglądającego mu się z uwagą, jak gdyby niepewnego, czy powinien się zbliżyć.

Ten obraz wkrótce zniknął.

Może to naprawdę był jeden z rycerzy? Może zrozumieli w końcu, że on rzeczywiście usiłuje odnaleźć odpowiedź na zagadkę, dotyczącą magicznej granicy dwudziestego piątego roku życia? I gdy to zrozumieli, postanowili mu się ukazać?

Jordi nie wiedział.

W Hiszpanii wszystko było tańsze niż w Norwegii. Jordi zabrał z sobą odpowiednią kwotę zaoszczędzonych pieniędzy. Poprzysiągł sobie, że po powrocie do Norwegii będzie po dwakroć ciężiej pracował, by Antonio nie musiał przez niego cierpieć.

Głównym zadaniem, jakie sobie wyznaczył, było odnalezienie Elia. Na szukanie miał zaledwie pięć dni. Niestety, nie powiodło mu się. Nie wiedział nawet, od czego powinien zacząć poszukiwania. Wydawało mu się, że wie, lecz uliczka, w którą się zapuścił, okazała się ślepa.

Lepiej natomiast poszło mu z odnalezieniem tropu Leona. Zanim Jordi opuścił Norwegię, sprawdził, w jakim rejonie Hiszpanii Leon odbywał karę więzienia. Okazało się, i być może nie było to wcale takie nieoczekiwane, że miejscem tym było Santiago de Compostela. Miasto, do którego mnisi pragnęli ściągnąć Jordiego.

Twarze rycerzy, którzy najwyraźniej pragnęli go ostrzec, powiedziały mu, że z wyprawą w tamte rejony łączy się wielkie niebezpieczeństwo. Potwierdziły to jeszcze pochlebne uśmiechy mnichów.

Udało mu się wynająć stary samochód za przystępną cenę i wyruszył do Santiago de Compostela. Ku swemu zdumieniu i nie bez lekkiego przerażenia coraz częściej widywał samotnego jeźdźca, choć za każdym razem trzymał się on w bezpiecznej odległości. Wyraźne też się stało, że jeździec ostrzega go przed zbliżaniem się do katedry i jej otoczenia: klasztoru, zamku i innych potężnych budowli, pochodzących jeszcze z okresu średniowiecza i renesansu. Mnisi mogli kiedyś mieszkać w którymś z najstarszych budynków, to było ich królestwo i tu byli naprawdę niebezpieczni.

Jordi usłuchał więc ostrzeżeń rycerza.

Policja w Santiago de Compostela okazała się życzliwa. Owszem, Leon siedział w tutejszym więzieniu kilkakrotnie, miał bowiem na sumieniu wiele przestępstw. Od pewnego czasu jednak przebywał na wolności, wyszedł jakieś półtora roku, może dwa lata temu.

Czy wiedzieli, dokąd się skierował?

Tak, pytał o mężczyznę o nazwisku Elio Navarro Garcia, jednak w odnalezieniu go policja nie mogła Leonowi pomóc.

Tak więc Jordi i Leon dotarli równie daleko, chyba że Leon zdążył już wytropić Elia i - co byłoby najgorsze - torturami zmusić go do wyjawienia ewentualnych tajemnic, potem zaś go zabić. Coś jednak podpowiadało Jordiemu, że Elio dobrze się ukrył i że miał ku temu bardzo istotne powody.

Elio musiał wiedzieć coś więcej na temat przeszłych pokoleń. Był bratem nieszczęsnych sióstr bliźniaczek, Any i Margarity, a jego stryjem był tajemniczy Santiago, którego ojciec nosił nazwisko „de Navarra”. Szlacheckie nazwisko, może wręcz książęce.

Jordiemu udało się przynajmniej poznać drugie nazwisko Elia. Ponieważ jednak „Garcia” to mniej więcej tyle samo co Berg, Holm czy Andersen w Norwegii, niewiele mu to pomogło.

Pomimo ciągłych zachęt rycerzy Jordi nie czynił żadnych postępów. Gdy przebywał w Santiago de Compostela, atmosfera wokół niego zaczynała stawać się coraz groźniejsza. Życie w mieście toczyło się w leniwym tempie, ludzie wyglądali na zadowolonych i szczęśliwych. Tylko Jordi widywał wśród cieni niezwykle postaci mnichów w opończach, którzy śledzili go wzrokiem, jak gdyby tylko czekając na to, aż podejdzie dostatecznie blisko, by mogli otoczyć go swym złem i zadać powolną, pełną cierpienia śmierć.

Rycerze jednak zawsze wskazywali mu granicę. Owszem, dotąd, lecz dalej nie wolno się posunąć.

Również Jordi z początku z trudem odróżniał mnichów od rycerzy, nosili wszak podobne szaty. Miał jednak to szczęście, że ojciec zostawił mu list, wkrótce więc nauczył się ich rozpoznawać.

Czas płynął stanowczo zbyt szybko. Tydzień dobiegł końca i Jordi musiał wracać do domu, niezadowolony, że nie poczynił żadnych konkretnych postępów.

Ale właśnie wtedy coś się wydarzyło.

Pierwszego wieczoru, jaki po pobycie w Hiszpanii spędzał w domu, zszedł na brzeg morza. Nie kontaktował się jeszcze z Antoniem, musiał dokładnie sobie przemyśleć, czy przypadkiem podczas wyjazdu czegoś nie przeoczył.

I wtedy znów ujrzał samotnego jeźdźca na brzegu. Letni sezon dawno się już skończył, plaża była pusta, stali na niej tylko we dwóch.

Jordi czekał.

Postąpił kilka kroków naprzód.

Jeździec w mnisiej opończy po chwili wahania nakierował konia w jego stronę.

A jeśli to mnich?

Nie, mnisi nie jeżdżą konno.

Zbliżali się jeden do drugiego, bardzo niepewni siebie nawzajem.

Jordi się zatrzymał. Teraz już dobrze widział tego człowieka, był to przystojny, stosunkowo młody mężczyzna o ciemnych oczach, czarnych włosach, wypielęgnowanej brodzie i wąsach, otaczających zaciśnięte usta.

Jordiemu serce zabiło w piersi.

Jaki blady ten jeździec!

A ten odwrócił konia bokiem do Jordiego i popatrzył na niego surowo. Jordi pokłonił mu się z wielkim szacunkiem, inaczej postąpić nie śmiał, zresztą mężczyzna wręcz zmuszał do takiego zachowania.

I dokładnie tak samo, jak uczynił o wiele później Antonio, Jordi spytał:

- *Que quiere?* Czego sobie życzysz, panie?

Rycerz nie odpowiedział, pochylił się tylko nad Jordim z wyprostowaną ręką. W dłoni trzymał kawałek skóry, którą najwyraźniej pragnął wręczyć Jordiemu. Najpierw jednak podniósł ją do góry, tak by Jordi mógł ją zobaczyć.

Na skórze narysowano znak, lecz nie był to wcale ten, który Jordi już poznał. Patrzył na zupełnie nowy znak, składający się z dwóch skrzyżowanych linii. Na środku widniało słowo GASTEIZ, którego nie rozumiał. Jeździec trupio sinym paznokciem wskazał jakiś punkt na obrzeżu skóry, punkt nie mający nic wspólnego z liniami.

- Zapamiętam to sobie - powiedział Jordi po hiszpańsku.

Rycerz uroczyście skinął głową, podał mu kawałek skóry i zawrócił konia. Wkrótce potem zniknął w oddali.

Niewiele czasu zajęło Jordiemu stwierdzenie, że oto trzyma w ręku bardzo uproszczoną stylizowaną mapę.

Długo się nad nią zastanawiał.

Czy to znaczy, że moje wyjazdy do Hiszpanii były kompletnie pozbawione jakiegokolwiek sensu? Będąc tam, krążyłem po omacku na oślep, a tymczasem w domu, w Norwegii, dostaję to?

Chyba jednak było inaczej. Przypuszczał, że właśnie jego zainteresowanie całą sprawą i podjęcie próby rozwiązania zagadki stanowiły przyczynę, dla której otrzymał ów wyjątkowy podarunek.

Ale co, na miłość boską, może przedstawiać ta mapa? Przejrzał całą swoją wielką mapę Hiszpanii, milimetr po milimetrze, Hiszpania to przecież wielki kraj.

Nie znalazł żadnej miejscowości, która nosiłaby nazwę „Gasteiz”.

Czyżby chodziło o jakiś inny kraj? Sprawdził w leksykonie, przejrzał indeksy we wszystkich atlasach, jakie tylko znalazł. Bez rezultatu.

A może jednak nie jest to wcale nazwa miasta czy wioski? Czyżby to słowo znaczyło zupełnie coś innego?

Może nazwisko?

Jedyną osobą, z którą mógł porozmawiać na ten temat, był Antonio. Brat jednak przebywał na kilkumiesięcznym specjalistycznym kursie w Londynie. Jordi znów odczuł dławiący uścisk samotności i ogarnęła go panika z powodu nieubłaganego upływu czasu.

Wszystko spoczywało na jego barkach.

W rozwiązaniu tajemnicy owego „Gasteiz” dopomógł mu zupełny przypadek. Upłynął już blisko rok, Antonio dostał własny samochód, a wydatki na jego naukę i utrzymanie były pokryte. Jordi mógł w końcu zacząć myśleć również o sobie.

Uczcił to wyjściem na lunch, co zdarzało się bardzo wyjątkowo. Restauracja, którą wybrał, nie była też szczególnie luksusowa, po prostu podawano tam naprawdę smaczne jedzenie.

Właśnie wtedy kilka słów rzuconych przez dwie panie siedzące przy sąsiednim stoliku rozpałiło w nim nową iskrę.

Jedna z kobiet powiedziała ze śmiechem:

- I wyobraź sobie, że jeździliśmy w kółko, szukając miasta Mons, lecz bez względu na to, jak uważnie śledziliśmy mapę, dojeżdżaliśmy do miasta Bergen. W końcu kogoś oświeciło, przecież Belgia jest dwujęzycznym krajem, chodziło o to samo miasto!

Jordi kompletnie znieruchomiał, zapomniał o jedzeniu stygnącego makaronu.

Przecież doskonale wiedział, że na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii miejscowości mają dwie nazwy, hiszpańską i katalońską, lecz różnice są naprawdę niewielkie, na przykład Alicante może się nazywać Ala - cant, zaś Elche - Elx.

Zapomniał jednak o innym rejonie kraju, o Baskonii. Język baskijski bardzo różnił się od hiszpańskiego, zapewne nazwy miejscowości również brzmiały w nim inaczej.

Musiał znaleźć dokładniejszą mapę.

By ją zdobyć, trzeba było iść do konsulatu hiszpańskiego. I rzeczywiście, tam w końcu odkrył, że Gasteiz to Vitoria!

Vitoria, wcale niemałe miasto.

Unni mogła mu być pomoc już dawno temu, miała przecież naprawdę świetną mapę Hiszpanii, ale w tamtym czasie jeszcze nie знаła Jordiego, a on swoją mapę kupił w zwykłej norweskiej księgarni.

Wyraźnie się stawało, że rycerze od dawna zaczynają się już niecierpliwić. Teraz nareszcie mógł posunąć się o krok naprzód.

W rozmowie telefonicznej, jaką jakiś czas wcześniej odbył z komendą policji w Santiago de Compostela, dowiedział się, że Leon znów trafił za kratki. Trochę to uspokoiło Jordiego, choć tym razem jednak znieawidzony ojczym miał w więzieniu spędzić zaledwie kilka miesięcy.

Jordi nie przejmował się faktem, że Leon wkrótce znajdzie się na wolności. Do tego czasu bowiem miała dla niego upłynąć granica dwudziestego piątego roku życia, a Antonio był nietykalny, przynajmniej dopóki nie spłodzi dziecka, wówczas bowiem przekleństwo spadnie na jego pierworodnego. Antonio jednak w ogóle o tym nie myślał, Jordi był z tego powodu trochę zasmucony, lecz odczuwał również ulgę.

Jemu samemu zostało zaledwie kilka tygodni do chwili, gdy wybije jego godzina.

Ostatniego dnia w pracy w porcie, gdyż właśnie tam dobrze płacili, przyszedł do Jordiego brygadzysta i oznajmił, że jakaś pani chciałaby z nim rozmawiać.

Jordi zdziwiony zobaczył, że w jego stronę podchodzi piękna kobieta o bujnych kształtach, wyraźnie pochodząca z południowej Europy.

- Jordi Vargas? - spytała miękko. - Szukałam cię długo, dobrze się ukrywasz. Jest coś, co łączy nas ze sobą.

- Doprawdy? - zdumiał się Jordi.

- Mam przybranego syna, któremu pisana jest śmierć w dwudziestym piątym roku życia.

- Czy chodzi o Mortena? O Mortena Andersena?

- Właśnie tak.

W taki sposób Jordi poznał Flavię Cleve.

Wspaniale było mieć wreszcie sprzymierzeńca. Flavia wkrótce wybierała się do Włoch, myślała również o wyjeździe do Hiszpanii, może więc mogliby się tam spotkać?

Jordi bardzo chętnie na to przystał. Odbyli tego wieczoru niezwykle ważną rozmowę w eleganckim mieszkaniu Flavii.

Dobrze też było się dowiedzieć, że ktoś stara się ochraniać Mortena, Jordi bowiem nie bardzo sobie radził z pilnowaniem i jego, i Antonia. Na to mieszkali zbyt daleko od siebie. Na razie.

Jordi wyruszył więc na swoją trzecią, decydującą wyprawę do Hiszpanii. Tym razem był tak przejęty możliwością dotarcia do jakiegoś konkretnego miejsca dzięki wskazówkom na skórzanej mapie, że nie zdążył poczuć na karku oddechu śmierci.

Miał nadzieję, że przed wyjazdem zobaczy jeszcze Unni, niestety, nie spotkał jej i rozczarowany znalazł się w północnej Hiszpanii.

Miasto Vitoria, czyli Gasteiz, ani trochę go nie interesowało. Od razu wyruszył w kierunku wskazanym przez milczącego rycerza.

Ponieważ wciąż była zima, Pireneje otulała iskrząca się bielą pokrywa śniegu. Widział góry już z samolotu i zdumiał się, jak równo pokryte są śniegiem. Zadziwił go również ogrom obszaru Pirenejów, ich wysokie, lecz mimo to miękko uformowane szczyty. Przypominały wysokie fale na całkowicie białym morzu albo rozleniwiony sztorm, jeśli można się tak wyrazić.

Wynajął samochód i znalazł się teraz na przedłużeniu łańcucha górskiego, pomiędzy Pirenejami a Cordillera Cantabrica, Górami Kantabryjskimi. Krajobraz był tu niewypowiedzianie piękny i zmienny. Nie było wprawdzie śniegu, lecz Jordi jednak zmierzał ku wyżynom. Widział jelenie uciekające przed samochodem albo zastygające w milczącym zdumieniu i dzikie kozy z gatunków, których nazw nie znał.

Domy w nielicznych wioskach, które mijał, miały zadziwiająco wysokie boczne ściany i stały tak blisko siebie jak w mieście, były to jednak chłopskie zagrody.

Jordi czuł się wprost upojony pięknem tych okolic. Wynajęty samochód sprawował się dobrze, słońce świeciło mocno, zapowiadając już wiosnę, a po południu, akurat wtedy gdy kończyła się sjesta i mógł wreszcie coś przekąsić, dotarł do niewielkiej osady, w której, jak się wydawało, droga miała swój koniec. Tu domy były niższe, bardzo szczególne i niezwykle malownicze.

Jeśli dobrze zrozumiał tego rycerza - zjawę i jego mapę, to znalazł się wreszcie u celu.

Wszedł do baru i zamówił kilka *tapas*, czyli przekąsek. Jakiś bardzo stary człowiek z siwymi kosmykami brody, rękami i twarzą, które nie widziały wody w ciągu ostatnich dwóch tygodni, popatrzył na niego z ciekawością i nawiązała się rozmowa.

Jordi doskonale potrafił rozmawiać ze starszymi ludźmi, a ten człowiek na szczęście mówił po hiszpańsku, brał bowiem udział jako żołnierz w wielkiej wojnie domowej.

- Musiałeś być wtedy bardzo młody - uśmiechnął się Jordi, proponując staruszkowi ser, szynkę i wino.

- Byłem wtedy jeszcze chłopcem, ale walczyć już umiałem.

Rozpoczęła się długa opowieść o udziale w wojnie, wyraźnie mocno ubarwiona, lecz to w niczym nie przeszkadzało. Jordi słuchał cierpliwie, z umiarkowanym podziwem. Musiał bacznie się pilnować, by nie wspominać o ETA, bo przecież nigdy nie wiadomo, jaka będzie reakcja rozmówcy.

Kiedy opisy bohaterskich czynów dobiegły końca, na chwilę zapadła cisza, pełna zamyślenia, przerywana jedynie przez staruszka pijającego wino.

W końcu stary znów się odezwał:

- Masz w oczach żal, chłopcze. Czy chodzi o nieszczęśliwą miłość?

Jordi uśmiechnął się ze smutkiem. Zdecydował, że będzie szczery.

- Jestem śmiertelnie naznaczony. Właśnie dlatego tu przybywam. Chcę zobaczyć miejsce, o którym przed śmiercią mówił mój ojciec. Prosił, żebym tu przyjechał.

- Ach, tak?

- Nie powiedział mi jednak wszystkiego wyraźnie. Czy tu w okolicy jest coś niezwykłego? Jakieś bardzo stare miejsce albo budynek? Jeszcze z czasów... Cóż, nie wiem nawet, jak odległych. O ile dobrze zrozumiałem, z okresu rycerstwa.

- Mój ty świecie! - Na twarzy starca odmalowało się zatroskanie, intensywnie myślał.

- No cóż, mamy kościół.

Jordi z powątpiewaniem popatrzył na budowlę.

- Nie, ojciec nie wspominał o żadnym kościele.

- O czymś innym? No... jest jeszcze wiadukt z okresu rzymskiego, ale niewiele z niego już zostało. To właściwie porośnięta mchem kupa kamieni.

Kolejna chwila namysłu.

- I oczywiście stara twierdza, ale ona jest przecież zrównana z ziemią, zostało po niej jedynie coś, co wygląda na zawaloną piwnicę. Nawet turyści się nią nie interesują, a oni przecież chcą oglądać wszystko co stare. Skoro ludzie uważają, że wszystko kiedyś było takie piękne, to dlaczego teraz budują takie paskudne domy?

- No właśnie - zgodził się z nim Jordi z głębi serca. - Wiesz, dziadku - podjął po namyśle - chyba przyjrę się bliżej tej twierdzy. Nie wydaje mi się, żeby ojciec akurat o niej myślał, ale chciałbym ją przynajmniej wykluczyć. Gdzie ją znajdę?

Wyszli razem na ulicę, staruszek wskazał palcem.

- Samochodem daleko nie zajedziesz, musisz iść pieszo. Trzymaj się ścieżki, wtedy nie pobłądzisz. Ale niedługo już będzie ciemno, lepiej wstrzymaj się z tym do rana.

- Rano będę już daleko stąd - uśmiechnął się Jordi. Ogarnęło go podniecenie i nie chciał czekać przez całą noc. - Niestety nie mam latarki.

- Ja też nie - z zalem stwierdził stary.

- Wszystko na pewno pójdzie dobrze - odparł Jordi.

Serdecznie podziękował za miłe towarzystwo, a staruszek zegnał go ze łzami: „Ty nie możesz umrzeć, masz przecież takie dobre oczy”. A potem Jordi pojechał samochodem tak daleko, jak tylko się dało. Droga coraz bardziej się zwięzała i stawała coraz bardziej wyboista. I nagle zmieniła się ledwie w ścieżkę.

Tam zatrzymał się i wysiadł. Słońce chowało się już za górami, ale Jordi był zbyt niecierpliwy. Nie pomyślał o tym, że gdy tylko słońce zgaśnie, nadciągnie chłód, dlatego też spokojnie ruszył pachnącą ścieżką ubrany jedynie w koszulkę z krótkim rękawem.

Czuł zapach szaławii, tymianku i lawendy, unoszący się z niskich, rozrzuconych tu i ówdzie po zboczach krzewów. A potem słońce zniknęło, uderzył go chłód ciągnący od pokrytych śniegiem szczytów. Jordi zadrżał z zimna. Powinien być mądrzejszy. Przecież jako dziecko chodził zimą spieczonymi słońcem ulicami Orihueli i znajdował cień, który sprawiał wrażenie mroźnego, tak wielkie występowały różnice temperatur. Tu zaś było jeszcze gorzej.

No i nie wziął latarki. Za bardzo się spieszył i zachował się tak, jakby miał klapki na oczach; jedyne, co posiadało dla niego jakiegokolwiek znaczenie, to dotarcie do celu.

Ścieżka wciąż pozostawała stosunkowo wyraźna, z nieba sączyło się trochę światła, chociaż w Hiszpanii prędko robiło się ciemno. O tym wiedział bardzo dobrze. Jeśli ruiny twierdzy nie leżą w zbytnim oddaleniu, to dotrze...

Nie zdążył pomyśleć zdania do końca, a już gwałtownie się zatrzymał.

Budowla była do tego stopnia zrównana z ziemią, iż należało powiedzieć, że właściwie przestała istnieć. Mało brakowało jednak, a Jordi wpadłby w dziurę, kryjącą się wśród krzaków.

- To przecież niebezpieczne - mruknął.

Niemożliwe, żeby jego celem było miejsce tak prymitywne. Znow popęcił błąd, wyruszył w niewłaściwym kierunku i zmarnował jakże cenny czas.

Zapadła już taka ciemność, że zagładanie do jamy w ziemi byłoby pozbawione jakiegokolwiek sensu. Jordi ledwie widział, gdzie jest. Jak zdoła dostrzec cokolwiek w zawalonej piwnicy pod ziemią?

Ale czy to piwnica? Czy w takich starych budowlach były piwnice? Raczej chyba kry... krypty...

Powoli przestawał myśleć.

Nie był już sam.

Pięciu jeźdźców bezszelestnie zjawilo się za jego plecami. Zsiedli ze swych czarnych wierzchowców i powitali go dostojnie, lecz w milczeniu, jak gdyby chcieli oznajmić:

„Szanujemy cię, lecz to my jesteśmy panami”.

Dali znak, że ma iść za nimi.

Jordiemu serce waliło w piersi tak mocno, iż obawiał się, że straci przytomność.

Dotarł we właściwe miejsce.

Dwóch z nich szło przodem, trzej za jego plecami. Posuwali się w dół nierównych, wytartych schodów. Jordiemu ciarki przechodziły po plecach na myśl o tej potężnej eskorcie dawno zmarłych już rycerzy. Nie tylko w grocie panował dojmujący wilgotny chłód, od nich również biło lodowate zimno.

Obciągnięta rękawicą dłoń wskazała pochodnię wiszącą na ścianie. Jordi ją zdjął, po omacku odnalazł w jej pobliżu krzesiwo. Wprawdzie nigdy nie był skautem, okazał się jednak dostatecznie inteligentny, by skrzesać iskry, które wystarczyły do zapalenia pochodni.

Rozejrzał się dokoła. Nie chciał się przyglądać swoim towarzyszom, na szczęście ci dwaj, którzy szli przed nim, byli obrócenii do niego plecami. Widział jedynie ich ciemne peleryny i naciągnięte na głowy kaptury.

Rzeczywiście, wszystko się tu zawaliło. Na podłodze z ziemi wśród oderwanych kamiennych bloków ledwie się można było dopatrzeć nielicznych śladów. Nie, tu zapewne nikt nie przychodził, w to miejsce nie zaglądały nawet ciekawskie urwisy. W migotliwym świetle trzaskającej pochodni Jordi spostrzegł, że na ostatnich stopniach musi się przeciskać między zwałowiskami gruzu. Rycerze prześlizgnęli się przez nie bez najmniejszego trudu. Jordi również zdołał się jakoś przedrzeć, choć bardzo się obawiał nie zabezpieczonego sklepienia.

Chyba jeszcze nigdy tak się nie bał. Rozpaczliwie starał się zachować zimną krew.

Dalej przejście wyglądało na zamknięte. Ci dwaj jednak, którzy szli przodem, odwrócili się - Jordi aż jęknął na widok ich zasnutych bielmem oczu i trupio białych twarzy - i bez słowa pokazali, czego sobie życzą.

Miał przesunąć jeden z kamiennych bloków.

Jak, na miłość boską, ośmieli się to zrobić? Przecież to oznacza zagładę, zarówno dla niego, jak i dla tego, co pozostało z tej ruiny!

Pomyślał jednak, że ludzie musieli chodzić po tym dachu i że on jakimś cudem wytrzymał. Poza tym Jordi nie miał wyboru. To rycerze tutaj rozkazywali, a ich władza była podwójna. Po pierwsze, wywodzili się z wysokiego rodu, po drugie zaś, nie mieli żadnego szacunku dla współczesności.

Jordi odstawił pochodnię i z całej siły zapał się o kamień.

Ciężki blok ze zdumiewającą lekkością przesunął się na bok, a za nim ukazał się krótki korytarz. Jordi, idąc za rycerzami, musiał mocno się schylić, ale to był najmniejszy

problem. Do świadomości chłopaka zaczynało docierać, że będzie musiał stawić czoło znacznie większym wyzwaniom.

Zaczynała się też w nim budzić pewna myśl.

Wyraźnie było widać, że rycerze życzą sobie, aby im w czymś pomógł. I nie chodzi jedynie o odsunięcie kamienia. Czekają coś znacznie ważniejszego. Ale być może są w mocy uczynić coś dla niego w zamian?

Oni i moc? Przecież nie byli w stanie poruszyć nawet kamiennego bloku.

Światło pochodni wydobyło z ciemności kryptę. Nie było w niej trumien, lecz wciąż stały tu kamienne katafalki.

Jordi zdumiony ponad wszelkie granice poświecił na znak widniejący na kamiennej tablicy umieszczonej na ścianie. Dwugłowy gryf. Taki, jakiego widział na kartce, którą pokazywał mu ojciec. Na ścianach widniały również inne znaki i te Jordi także dobrze znał. To były uproszczone symbole umieszczane na pergaminach przychodzących później, jak również w innych miejscach.



Jordi pochylił się w przód, żeby koniuszkami palców dotknąć wielkiej, kamiennej tablicy.

W tej chwili poczuł silne uderzenie w głowę, mało brakowało, a z powodu intensywnego bólu upuściłby pochodnię. Jakby cios miał oznaczać: Niczego nie dotykaj!

Zdumiony i urażony odwrócił się do ubranych na podobieństwo mnichów szlachciców.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Czekał. Przyglądał się im po kolei. Rozpoznał najmłodszego, tego, którego spotkał na brzegu morza. Jeden z rycerzy był bardzo stary, trzech pozostali w średnim wieku albo trochę powyżej. Wszyscy nosili brody, czarne bądź siwe, poza tym w ich twarzach nie dało się dostrzec żadnego podobieństwa.

Patrzenie na nich nie było zbyt przyjemne.

Wśród panującej w krypcie ciszy Jordi uświadomił sobie coś niezwykłego.

Oni do niego przemawiali, nie wypowiadając słów, sączyli swoje myśli w jego głowę.

Tak go to zaskoczyło, że dech zaparło mu w piersiach i aż musiał oprzeć się o ścianę.

Z początku miał trudności ze zrozumieniem ich „wypowiedzi”, w końcu jednak pojął, że rycerze myślą w starym języku hiszpańskim, dość znacznie się różniącym od

współczesnego. Gdy jednak nauczył się odsiewać słowa i przepuszczać do swej świadomości jedynie czyste myśli, a ponadto poprosił, by przemawiali pojedynczo, poszło już lepiej.

Głos zabrał najstarszy z rycerzy. Wyglądało też na to, że on ma największą władzę.

Jordiemu w oczach migotało od patrzenia na straszną zjawę. Zmusił się jednak do zachowania spokoju i godności, a także do prób uzyskania rozsądnych odpowiedzi.

„Nasz czas ucieka - zaczął starzec. - Jeśli nikt tam nie dotrze, będziemy przekłeci”.

- Nie dotrze do czego?

„Istnieje pewne miejsce, ukryte... „

Stary zacisnął usta, jak gdyby reagując na ostrzeżenie pozostałych.

- Powiedz mi, gdzie to jest, tak bym mógł wam pomóc.

„Nie możemy nic powiedzieć. Jesteśmy związani więzami milczenia, nie mamy mocy, by je zerwać”.

Jordi mówił do nich zwyczajnie, na głos.

- Czy nie jest również możliwe, abyście porozumiewali się ze mną słowami?

Stary rycerz pokręcił głową.

„Ci piekielni mnisi, których usta nie powinny wymawiać słów o wierze w Boga, ci, którzy nas torturowali, obcięli nam języki. Próba mówienia w takich okolicznościach jest poniżej naszej godności”.

Jordi zadrżał.

- O ile dobrze rozumiem, spadło na was przekleństwo. A tego zesłać nie potrafią chyba nawet krwiożerczy mnisi?

„Tak, dotknęło nas przekleństwo. Nas i naszych potomków”.

- Wśród nich i mnie - skostatował Jordi.

„Tak”.

- Ale kto był w mocy to uczynić?

Jordi usłyszał teraz fragmenty historii, przynajmniej te, które zdołali mu przekazać. Nie dowiedział się wprawdzie, w jaki sposób może pomóc rycerzom, mieli jednak możliwość odkrycia przed nim pewnych rzeczy.

Poznał ich nazwiska, ale wciąż nie wiedział, na czym polegały ich przewinienia. Nie zdradzili mu żadnych szczegółów, o tym bowiem nie wolno im było mówić. Poznał również imiona tych, którzy nie pozwolili im zaznać spokoju.

W czasach współczesnych rycerzom żyło dwoje potężnych czarnoksiężników. Jednym z nich był ohydny czarownik Wamba, z pochodzenia Wizygot. Był sprzymierzeńcem wrogów

rycerzy. Tą drugą była czarownica Urraca, Hiszpanka wysokiego rodu, która stała po stronie rycerzy. Tych dwoje stoczyło między sobą zacieklą walkę.

Miała ona miejsce w Santiago de Compostela, nie w wielkiej katedrze, do której pielgrzymowały tłumy, tam bowiem żaden czarnoksiężnik ani wiedźma nie mieli wstępu, lecz w pewnym małym kościele, jednym z pierwszych, jakie zbudowano w mieście. Kościół ten teraz już nie istniał, na jego miejscu wzniesiono inne wspaniałe budowle.

Tu za czasów życia rycerzy inkwizycja prowadziła swoje procesy sądowe, wątpliwego charakteru. Tutaj kaci, jeszcze bardziej wątpliwego charakteru mnisi, mieli swoje narzędzia tortur. Miasto bowiem położone było zbyt daleko od Salamanki i nie wszystkich pogan, heretyków, Żydów i innych niewiernych dało się przetransportować aż tutaj. Można powiedzieć, że powstała swego rodzaju filia, wyszukana komnata tortur dla najbardziej zatwardziałych grzeszników na północy, tych, którzy podawali w wątpliwość istnienie jedynego Boga.

Tych pięciu rycerzy zajmowało dość szczególną pozycję, wiadomo było, że są dobrymi katolikami. Na ich sumieniu ciążyły grzechy innego rodzaju, ale co tam! Tu przecież znajdowały się wszelkie możliwe narzędzia, które będą w stanie ugiąć ich sztywne karki.

„Mnisi” być może kiedyś, w czasach wczesnej młodości, okazywali pokorę w swej wierze. Rosnąca jednak z czasem nietolerancja połączona z królewskim odkryciem, że oto można pozbyć się kłopotliwych wrogów w dość prosty sposób, pod płaszczykiem zwalczania herezji, sprawiała, że mnisi stali się twardzi i żądni władzy. Ogarniał ich coraz większy fanatyzm, a zachętę stanowiło stanowisko wielkiego inkwizytora względem tych, którzy myśleli inaczej. W przekonaniu mnichów Bóg patrzył przychylnie na ich poczynania, których celem było wyplenienie heretyków. Dręczyli, zadawali cierpienie, okaleczali i mordowali w przeświadczeniu, że robią to dla Boga.

Nie była to cała prawda. Nie tylko tym się kierowali. Być może nie zdawali sobie z tego sprawy, lecz w brutalnym torturowaniu i zabijaniu przynajmniej niektórzy odkrywali niezmierną rozkosz.

Oczywiście nie wszyscy mnisi byli tacy, ale sąd inkwizycyjny doskonale wiedział, co robi, posługując się najgorszymi indywiduami.

Owego dnia, tego strasznego ostatniego dnia życia rycerzy, w starym kościele panował półmrok. Światło wpadało jedynie przez witraże w oknach, malując na posadzce niewyraźny, migotliwy wzór.

Pięciu rycerzy było w tym momencie już bliskich śmierci. Wisieli na narzędziach tortur i zamglonymi, na pół oślepienymi oczyma obserwowali zadziwiającą walkę. Z ust

ciekła im krew, nieustannie zanosili się kaszlem, by nie pozwolić się zadławić krwi spływającej do gardła.

Nagle pojawiło się kilku mnichów, ciągnąc z triumfem jakąś olbrzymią istotę. Dwóch rycerzy rozpoznało w niej budzącego grozę Wambę, czarownika, o którym mówiono, że żyje już co najmniej sto lat. Zapewne nie była to prawda, lecz plotki, które trafiły na podatny grunt. Wamba był jednak dostatecznie brudny, obdarty i obszarpany, aby przypisywać mu tak sędziwy wiek. Gardłowo wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe dla nikogo słowa, ale mnisi, uradowani, ciągnęli go pod sklepienie kościoła.

Sykiem rozkazywali mu, co ma robić, a Wamba, wywodzący się z dawnego potężnego ludu Wizygotów, który tak jak on znajdował się w żalonym stanie upadku, brzydził się wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z rycerstwem. Bez wahania więc skazał pięciu rycerzy na wieczną tułaczkę. Po wsze czasy i jeszcze dłużej mieli jeździć konno, błąkać się, nie zaznając spoczynku, jeśli nie zgodzą się na odkrycie swej tajemnicy.

Wówczas zjawiała się Urraca. Piękna, choć starzejąca się już kobieta czym prędzej pospieszyła do kościoła, usłyszawszy, że pojmano dumnych rycerzy. Przerazona skryła się w cieniu, żal ścisnął jej serce. Przybyła zbyt późno, by ich ocalić, to było jasne.

Czarownica wiedziała, co uczynili rycerze. Sama brała w tym udział. Teraz tylko ona знаła prawdę. Nie zamierzała jednak nic mówić, nie tutaj i nie teraz.

Gdy jednak oszołomiony napitkami mnichów Wamba, pomrukując coś, z trudem wystąpił naprzód i wypowiedział swoje przekleństwo, Urraca ukazała się w rozszczepionym świetle wpadających do środka promieni słońca.

Czarownica nie miała mocy unicestwienia kary, lecz jedynie jej złagodzenie. Krzyknęła, że jeśli któryś z potomków rycerzy zdoła rozwiązać ów tajemniczy węzeł, jaki zawiązali ich przodkowie, to rycerze odzyskają spokój.

Jej śmiałość rozdrażniła Wambę. Rzucił na kobietę zaklęcie, lecz ona w porę się uchyliła.

Czarownik zawołał wtedy chrapliwym głosem:

„Trudno im będzie tego dokonać, ty czarownico bez znaczenia! Pierworodni, jedyni, którzy będą w stanie ocalić swych nędznych przodków, zdołają przeżyć zaledwie dwadzieścia pięć zim. Nie będą mieli czasu na znalezienie odpowiedzi, nie starczy im czasu na spłodzenie dzieci... „

„O tym ostatnim nic nie wiesz, obrzydliwa zmero z otchłani! Gdyby nawet w istocie nie zdążyli, zadanie przejdzie na pierworodnych ich rodzeństwa. Takie wyjście szlachetni rycerze muszą mieć, a ich rody tak łatwo nie wymrą!”

Wamba zgodził się na ten kompromis. Żadne z nich bowiem nie było w stanie całkowicie odwrócić czarów drugiego.

„Ci twoi żałośni rycerze nie będą natomiast mieli możliwości przekazania swoim potomnym, co ci muszą robić. Zaklinam im głosy, nie wolno im rozmawiać na ten temat”.

„Ten czar drogo będzie kosztował twoich złych przyjaciół” - odgryzła się Urraca. Trudno jej było oddychać w dusznej, przerażającej atmosferze wśród odoru palonego ciała i cieplej jeszcze krwi. Ogarnęła ją wielka rozpacz, lecz wciąż nie chciała się poddać.

„Nie wyobrażaj sobie, że twoim katom, mordercom, ujdzie to płazem. Skazuję ich teraz na oślepienie wielką zdobyczą, jaką przyniesie rozwiązanie zagadki. Przez całe wieki będą jej szukać”.

Tym razem Wamba, pomimo zamroczenia umysłu, zareagował bystro.

„Ha, tym samym sprzedałaś swoich przyjaciół! To oznacza bowiem, że moi przyjaciele mnisi będą deptać twoim rycerzom po piętach i dręczyć ich nawet w świecie duchów, dopóki ci nie ujawnią tajemnicy”.

„Jaką korzyść będą z tego mieli? Jako duchy nie zdołają dotrzeć ani do tajemnicy, ani do moich przyjaciół, ani też do ich potomków. Lędzwie mnichów nie spłodziły żadnego dziecka, więc w ich pożałowania godnych uczynkach nie pomoże im żaden potomek”.

„Tak ci się wydaje, czarownico” - zaśmiał się drwiąco jeden z trzynastu katów, którzy pełni uniesienia i zachwytu obserwowali całą tę scenę ze swych miejsc przy narzędziach tortur. Po ich gładkich czaszkach płynął pot, złe twarze pokryte były sadzą, a na ramionach, widocznych spod podwiniętych rękawów szat, rany czerwienią odcinały się od czerni. W torturowanie więźniów włożyli całą duszę i nawet nie zauważyli, że sami odnieśli obrażenia.

Ręka Urraki podniosła się do góry. Jej palce wskazały na tego mnicha, który się odezwał.

„To znaczy, że winien jesteś również cudzołóstwa. Bądź przeklęty, szatański pomiole!”

Syknęła coś niezrozumiałego, a katów inkwizycji zostało teraz jedynie dwunastu.

Pozostali byli tym wyraźnie wstrząśnięci.

„Odpowiesz za to, wiedźmo!” - wrzasnął Wamba.

Tylko jeden z rycerzy wciąż pozostawał przy życiu. Po nie mających końca dniach, wypełnionych nieznośnym bólem i upokorzeniem, pozostali musieli się poddać. Ich chrapliwe oddechy umilkły.

Pozostały przy życiu rycerz przesłonięty mgłą cierpienia oczami patrzył, jak Wamba potężnym zaklęciem zsyła na Urracę śmiercionośną błyskawicę.

Wreszcie również i ten rycerz, najmłodszy, zmarł. Jego oczy zgasły. Z tych, którzy znali tajemnicę, nie pozostał już nikt.

Stary rycerz zakończył swą opowieść. Jego blada twarz pod mnisim kapturem wyraźnie się uspokoiła.

„Resztę już znasz” - przekazał swoje myśli Jordiemu, który nagle poczuł, że ciało ma napięte jak stal w obronie przed zimnem i emocjami.

Rycerz wysokiego rodu podjął:

„Jeździliśmy konno przez stulecia, bez chwili wytchnienia, szukając kogoś, kto zdoła rozwiązać zagadkę i wyzwoli nas spod przekleństwa. I kto będzie w stanie uratować również naszych nieszczęsnych potomków. Patrzyliśmy, jak wymierają, jedna gałąź po drugiej. Na początku dziedzictwo przekazane zostało wszystkim dzieciom, które miało nas pięciu. Lecz już w następnym pokoleniu przekleństwo spadło jedynie na pierworodnych lub na najstarsze dzieci ich rodzeństwa. Zaczęliśmy więc od kilku gałęzi, jak zapewne rozumiesz, było to zasługą Urraki. Późniejsze pokolenia długo opierały się śmiertelnej klątwie, jaka na nich spadła. Powoli jednak rody wymierały. Teraz nasza nadzieja wiąże się zaledwie z garstką ludzi”.

- To już zrozumiałem - odparł Jordi, z całych sił starając się nie szczekać zębami.

„Dobrze. Liczyliśmy na ciebie, ty bowiem jesteś najsilniejszy z tych, którzy obecnie żyją. Ale twój czas upłynął!”

Jordiemu serce zaczęło walić jak młotem.

- Wiem, że tak jest.

„Zostało ci zaledwie kilka dni na to, by rozwiązać naszą zagadkę, a tym samym nas wyzwolić, lub na to, by spłodzić dziecko”.

- Niestety, nic już nie mogę uczynić! - krzyknął Jordi. - Czas jest zbyt krótki na to, by znaleźć coś, co jest mi zupełnie nieznanne. Nie chcę też wyrządzać dziecku ogromnej krzywdy, jaką byłoby obarczenie go tak ciężkim brzemieniem.

„To znaczy, że dziedzictwo przejdzie na przyszłe dziecko twego brata”.

- Ach, nie!

„Pozostaje więc tylko jedna możliwość: Znajdź odpowiednią kobietę dla młodego Mortena”.

Myśli w głowie Jordiego wirowały gorączkowo. Ach, Morten, Morten, jakże ocalić tego chłopca!

Myśli starego były monotonne, hipnotyzujące.

„Znajdź najpiękniejszą, najlepszą i najmądrzejszą kobietę, jaką tylko znasz, dla tego młodego chłopca. Jeśli o ciebie chodzi, jest już za późno, ale dziedzictwo nie umrze, a nie chcesz, by obarczone nim zostały ewentualne przyszłe dzieci twego brata. Znajdź więc tę najlepszą, jaką znasz”.

- To jakbym utoczył krwi z własnego serca - szepnął Jordi, czując smutek przygniatający go do ziemi.

„Innego wyjścia nie ma”.

- Zaczekajcie, zaczekajcie! - powiedział bez tchu. Pewna myśl, która wcześniej przysłała mu do głowy, przebudziła się na nowo.

Popatrzyli na niego z uwagą. Jordi był tak podniecony, że zapomniał o konieczności trzymania pochodni w górze. Teraz podniósł ją od nowa.

- Darujcie mi jeszcze dziesięć lat! Przysięgam, że uczynię wszystko, by rozwiązać zagadkę i was uwolnić.

Popatrzyli na siebie, długo, w milczeniu. Jordi nie był w stanie wychwycić myśli, jakie między sobą wymieniali.

Wreszcie stary odwrócił się w jego stronę, zaś pozostali wpatrywali się w Jordiego z przyrodzoną arystokracji chłodną dumą.

„Nie wiemy, czy mamy dość mocy, by to uczynić. A dziesięć lat z całą pewnością przekracza nasze możliwości. Być może jednak jesteśmy w stanie darować ci pięć lat, lecz nie wiemy tego na pewno. Ale to będzie cię drogo kosztować”.

Nadzieja uczyniła Jordiego lekkomyślnym.

- Mówcie, ile. Spełnię wszystko, o co poprosicie.

Rycerze zeszywnieli.

„My nigdy nie prosimy - krótko odrzekł najstarszy. - My żądamy i obdarzamy łaską. Dostaniesz jeszcze pięć lat, jeśli zgodzisz się przystąpić do naszej gromady”.

Jordi poczuł, że blednie.

„To jedyne, co możemy zrobić. Nie mamy żadnej władzy nad żywymi, a zaklęcie Wamby wciąż zachowało swoją moc. Nie wiemy też, do jakiego stopnia Urraca zdołała złagodzić przekleństwo, tak więc... jedynie jeśli zgodzisz się towarzyszyć nam w drodze przez życie zmarłych, możesz otrzymać ten czas”.

Życie zmarłych? Cóż za paradoks!

- Czy ja również będę wtedy zmarłym?

Rycerz zawahał się.

„Prawdopodobnie tak, ale to trudno stwierdzić. Jedno natomiast musisz wiedzieć: Jesteśmy w mocy obdarzyć cię zdolnością przebywania wśród ludzi w taki sposób, by oni nie zwracali na ciebie uwagi. Nie będziesz niewidzialny, lecz stanie się tak, jakbyś w ogóle nie istniał”.

Cóż za wysublimowana różnica! Jordi nie bardzo to wszystko rozumiał.

Starzec jeszcze nie skończył.

„Istotne dla ciebie jest również to, byś wiedział, że nie wolno ci się z nikim wiązać, nawet w myślach i uczuciach. Masz się skupić wyłącznie na jednym: na swoim przyszłym zadaniu. Zapewnimy ci swoistą ochronę, damy ci aurę chłodu, przez którą nikt nie będzie chciał przeniknąć”.

Wydawało się to niezwykle ciężkie i trudne do zaakceptowania.

Rycerz czekał na odpowiedź Jordiego.

„Robimy to dla ciebie, ponieważ nasza sytuacja jest rozpaczliwa. Jest was już niewielu, a tamci pozostali nie są dostatecznie silni. Jeśli tobie się nie powiedzie, przypadnie nam w udziale błąkać się po świecie po wsze czasy. Ty zaś jako człowiek bez tożsamości otrzymasz zwielokrotnioną moc”.

Jordiemu przez głowę myśli przelatowały jak burza. Jaką ma alternatywę? Śmierć za dwa, może trzy tygodnie?

- Obiecuję - rzekł wreszcie. - Przyrzekam wykonać to, czego żądacie. W zamian proszę, abyście spełnili moją prośbę i dali mi jeszcze pięć lat.

Rycerze potwierdzili, że tak się stanie. Starzec gestem uspokojenia położył mu dłoń na rękę. Potem Jordi mógł z powrotem wspiąć się na schody i wyjść w czarną noc.

Pięciu rycerzy dosiadło koni, wkrótce zniknęli mu z oczu. Został sam. Cienko ubrany, w mroku i chłodzie. Jediną oznaką życia, jaka w ogóle do niego docierała, było dobiegające z oddali wycie psa.

I właśnie wtedy ujrzał na przedramieniu piekące wypalone piętno. Znak. Owego uproszczonego stylizowanego dwugłowego gryfa. Przerażony szepnął:

- Mój Boże, co ja też zrobiłem?

Jordi, odstawiwszy wynajęty samochód, powrócił do swego skromnego hotelu. W myślach miał taki chaos, że nawet nie próbował doprowadzić do tego, by cokolwiek się w nich wykrystalizowało. Był na to zbyt zmęczony, cały też się trząsał od wykluwającego się przeziębienia. Zresztą nic dziwnego, po takiej nocy!

Skulił się w łóżku i naciągnął na siebie jeszcze dodatkowy koc, lecz mimo to nie przestawał drżeć z zimna.

Gdzieś w środku nocy zbudził go koszmar o torturach. Leżał złany potem, łóżko przypominało saunę, a w głowie huczało.

Jordi był rzeczywiście chory. Antonio otrzymał wiadomość, która w istocie nie mijала się z prawdą.

Rano Jordi zaraz po przebudzeniu zatelefonował do Flavii.

- Gdzie... gdzie jesteś? - spytał, nie będąc w stanie zapanować nad dreszczami ani też nad szczekaniem zębami.

Flavia była już w Madrycie i przerażona obiecała przybyć natychmiast.

Jeszcze bardziej się przerażyła, gdy go zobaczyła. Flavia była jednak kobietą czynu. Natychmiast postarała się przenieść Jordiego do domu swego przyjaciela w Madrycie, powiadomiła biuro podróży o tym, że Jordi nie wraca z nimi samolotem do domu, i zajęła się pielęgnacją chorego.

Jordi niewiele pamiętał z tamtych dni. Od czasu do czasu widywał przez chwilę jakiegoś wychudzonego mężczyznę o chorobliwym wyglądzie, który był najwidoczniej przyjacielem Flavii, a zarazem gospodarzem tego domu, kilkakrotnie też odwiedzał go lekarz. Poza tym czuwała nad nim Flavia.

Wyglądało na to, że jego stan wcale się nie poprawia. Jak gdyby obrażeń doznała również dusza Jordiego. Ale pewnego dnia po zastrzyku zrobionym przez lekarza Jordi, z trudem chwyając oddech, zdołał odbyć rozmowę z Flavią.

Nie orientował się, ile wolno mu powiedzieć, był jednak zmuszony uczynić z niej swą powiernicę. Rycerze wszak otwarcie mówili o wielu sprawach, w tajemnicy utrzymywali jedynie samą przyczynę ich nieszczęścia, a i to również dlatego, że ich słowa zamykały się, gdy tylko zaczęli poruszać ten temat.

Jordi przekazał więc Flavii tyle, ile jego zdaniem mógł powiedzieć. Najwięcej mówił o własnych widokach na przyszłość.

Z początku Flavia nie chciała mu wierzyć. Zauważyła jednak, że w miarę upływu dni stan Jordiego coraz bardziej się pogarsza.

Zbliżały się jego dwudzieste piąte urodziny.

Poprzedzającego dzień urodzin wieczoru odbyli długą rozmowę i przygotowali pewien plan. Przyjaciół Flavii reprezentujący władze również w tym uczestniczyli i pomagali.

Jeśliby Jordi zmarł zwyczajną śmiercią, obiecali uczynić wszystko, by wyprawić mu piękny pogrzeb. Gdyby jednak wydarzenia następnego dnia potoczyły się pod jakimkolwiek względem nietypowo, wiedzieli dokładnie, co mają robić.

Jordi czuł się bezpiecznie, mając tych dwoje przy sobie. Patrzył na nich oczyma rozpalonymi gorączką i próbował dziękować. Oni to rozumieli i mocno ściskali go za rękę.

W końcu Jordi zapadł w coś w rodzaju śpiączki, stracili z nim wszelki kontakt.

Flavia czuwała przy chłopaku przez całą noc. Widać było wyraźnie, że Jordi przeżywa coś wyjątkowo przykrego, to dało się wyczytać z jego twarzy. Bardzo nad tym bolała, bo zdążyła już polubić tego samotnego młodzieńca, który tak bardzo troszczył się o innych. W rękę zaciskała list, ten, który Jordi napisał do młodszego brata na wypadek, gdyby nigdy już mieli się nie spotkać.

Około północy nastąpiła przemiana.

On walczy ze śmiercią, pomyślała Flavia, przejęta i rozczarowana.

Rozpoczął się dzień dwudziestych piątych urodzin Jordiego.

Tamtego wieczoru przed urodzinami Jordi osunął się w wielką ciemność.

Nie był to jednak wcale pusty mrok. Nie potrafił określić tego uczucia bliżej, miał jednakże wrażenie, jakby wokół niego znajdowały się przedmioty albo ludzie.

W miarę upływającego czasu te niewidzialne „wizje” nabierały mocy. Słyszał szepczące głosy. Miał wrażenie, jakby ktoś przekradał się wzdłuż ścian wokół niego, ostrożnie i delikatnie jak kot krążący dokoła zdobyczy, w każdej chwili gotów uderzyć.

Z wolna ciemność zaczęła blednąć. Niewiele, lecz oddzieliły się szare cienie. Te szepty...

Teraz słyszał to już wyraźnie: „Santiago, przybądź do Santiago!”

Przecież ja tam byłem, pomyślał zamroczony. Ale nie zbliżyłem się dostatecznie, więc mnie nie złapaliście.

W starym kościele w Santiago de Compostela rycerze dokonali żywota. Kiedy to było? Ten stary o tym wspominał, pod koniec piętnastego wieku. Ale dokładnej daty Jordi nie pamiętał.

W każdym razie było to jeszcze przed Kolumbem. Czy przed czasami wielkiego inkwizytora Tomása de Torquemady? Jordiemu wydawało się, że tak, choć nie miał takiej pewności. W każdym razie było to na początku panowania Ferdynanda i Izabeli. To znaczy kiedy?

Nie był zbyt mocny w historii Hiszpanii, na to pytanie lepiej odpowiedziałby Antonio. Jordi nie miał przecież kiedy się uczyć.

Czyżby klucz do tej zagadki tkwił w dacie śmierci pięciu rycerzy?

Mózg miał zbyt zamroczony, by sprawnie myśleć. Był w stanie jedynie wychwytywać wrażenia, nie potrafił nawet ustawić przy nich znaku zapytania, a tym bardziej ich wyjaśnić.

Unni, już nigdy nie zobaczy Unni!

A jeśli nawet, to i tak nie będzie mógł do niej dotrzeć. Musiał oddać ją Mortenowi Andersenowi, który, rzecz jasna, ogromnie się z tego ucieszy.

Czy on, Jordi, będzie w stanie żyć w takich okolicznościach?

Tak, musi ratować Antonia i jego ród. Musi ratować Mortena. Musi też pokonać klątwę, ciążącą na rycerzach.

Czuł teraz, jak wszystkie siły opuszczają ciało. Czyżby rozpoczęła się kolejna doba? Ta doba, w której wybije jego godzina?

To również dzień urodzin Mortena, ale on ma zaledwie dwadzieścia lat i jeszcze nie wie, co go czeka.

Coś działo się z Jordim.

Umieram, pomyślał. Ach, Boże, nie mogę oddychać. Nie chcę żadnych bolesnych zmagania ze śmiercią, chcę tylko spokojnie zasnąć.

Mnisi są tutaj. Stoją tak blisko i wpatrują się we mnie. Czekają z nadzieją, są straszni. Ach, nie, nie!

To bardzo boli, nie chcę tego, nie wytrzymam! To wysysa siły z mego serca. Czuję tę straszną, dojmującą bezradność, tę słabość, kiedy serce nie ma już więcej mocy. W płucach szarpie, brakuje mi powietrza, ratunku!

Chcę się z tego wyrwać, lecz nie mogę się ruszyć.

Zwykła walka ze śmiercią nie może być tak bolesna jak to. Czytałem gdzieś, że zaledwie jedna śmierć na sto bywa trudna, w pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach wszystko odbywa się bardzo spokojnie. Po prostu przyjemne przejście w inny stan. W tych obliczeniach nie brano pod uwagę wypadków.

To, czego doświadczam, nie jest ani trochę normalne.

Głowę Jordiego wypełnił potworny huk, w uszach zaczęło wibrować, miał wrażenie, że popękają mu bębni, i to od wewnątrz. Wydawało mu się, że krzyczy z bólu, lecz również i ten krzyk był wewnętrzny.

O, nie, to nie jest zwyczajna agonia. W jego wnętrzu odbywała się walka pomiędzy dwiema siłami, tą cielesną, zwyczajną, jego ciała, które mówiło, że oto nadszedł już koniec...

I czegoś jeszcze.

Przeraźliwy, straszny huk rozszarpywał go na kawałki. Próbował od niego uciekać, wydawało mu się, że się poruszył, nie wiedział jednak, czy to prawda. I nagle zapadła kompletna cisza.

Taka cisza, jakby szedł przez okolicę pokrytą śniegiem.

Jeśli istniał jakiś świat zewnętrzny, pokój w Madrycie, Flavia i jej przyjaciel Pedro, do Jordiego nic z tego nie docierało. Wokół niego nie dał się słyszeć najmniejszy nawet szelest, jak gdyby postradał słuch.

Czy to już śmierć? zastanawiał się. Ale przecież ja myślę!

Po tej gwałtownej bitwie powinien słyszeć uderzenia własnego serca, powinno ono walić niczym rozkołysane kościelne dzwony.

Nie, jednak nic takiego się nie działo. Nie był w stanie nawet się zorientować, czy oddycha. Mnisi zniknęli, dzięki Bogu choć za to.

Potem zjawiska dźwiękowe znów powróciły, tym razem jednak były inne, łatwiej dawało się je wytrzymać.

Rozległa się chóralna pieśń głębokich basów. Chór mnichów, wielu tysięcy głosów.

Jordi wykształcił w sobie głęboką awersję wobec mnichów, wiedział jednak, że to uczucie bardzo niesprawiedliwe. Tej prawdy zdążył już się nauczyć. Z tysiąca mnichów dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu miało czyste serca. Aż do samounicestwienia poświęcali się służbie bliźnim albo przeciwnie, oddaleni od świata, zatapiali się w uwielbieniu dla Boga i jego dzieł.

Wiele dobrego zrobili na przestrzeni dziejów, także dzięki swoim przekazom pisemnym i zgłębianiu wiedzy. Nie wolno o tym zapominać.

Dlaczego musi cokolwiek pamiętać? Wszak godzina jego śmierci już wybiła. Ale przecież ciągle myśli! Pewien filozof powiedział kiedyś dawno temu: „Myślę, więc jestem”. W tej chwili to dotyczyło Jordiego. Być może. Cóż człowiekowi wiadomo o zaświatach? Przekona się dopiero ten, kto umrze.

Przed Jordim otworzyło się coś wielkiego. Jakaś krypta, ciemniejsza od tej ciemności, która jemu wydawała się czarna.

Wejź tam, Jordi!

To on sam się do tego zachęcał.

Czy starczy mu odwagi?

W każdym razie z miejsca, gdzie teraz przebywał nie było żadnej drogi odwrotu.

Czy ta totalna, ostateczna ciemność mnie teraz otoczy? Czy to będzie nirwana?

Nie, nirwanę wyobrażał sobie jako coś jasnego, ciepłego i przesyconego spokojem.

Jordi nie zdążył jeszcze zdecydować, co powinien robić, a mroczna pustka już go otoczyła, wchłonęła, wciągnęła do środka. Jak się zorientował, gnał teraz dzikim pędem poprzez epoki. Wśród tej ciemności, w której zaznaczały się odcienie szarości, widział twarze, stroje, budynki z rozmaitych stuleci. Słyszał złośliwe śmiechy, wybuchające i znikające na podobieństwo dzwonek ostrzegających przed przejazdem kolejowym. Słyszał krzyki, przerażone głosy, dzikie parskanie koni, wokół niego wirowały sceny z różnych czasów. A potem znów zapadła cisza. Znów był w stanie rozróżnić chóralną pieśń, choć prawdopodobnie towarzyszyła mu przez cały ten czas. Teraz jednak była słaba, daleka, pojawiły się w niej jeszcze głębsze tony, przypominające najgłębsze dźwięki organów.

Uśpione postaci warstwami ułożone na sobie, niczym w cmentarnej ziemi spoczywające tak przez stulecia. Spokojnie śniące swe śmiertelne sny.

I on był tutaj, przytomny. Przyglądał się temu wszystkiemu. Kim był? Czy tu było jego miejsce? Czy on również miał teraz szukać miejsca swego spoczynku? Czy też był tutaj obcy?

Chóralna pieśń ucichła. Wokół niego zaczynało się rozjaśniać, wizje zniknęły.

- On znów oddycha, Pedro!

Głosy ze świata żywych?

Ten sam kobiecy głos:

- To trwało przez całą noc. Byłam już pewna, że go straciliśmy.

Męski głos z bliska:

- Jordi, Jordi, słyszysz nas?

Spróbował kiwnąć głową, ale nic z tego nie wyszło.

- Trzymam cię za rękę, Jordi - powiedziała Flavia. - Możesz mnie uścisnąć?

Potworny wysiłek pochłonął wszystkie jego siły.

- Tak. On żyje i jest przytomny, Pedro! Ale co się z nim działo?

Inny głos należący do mężczyzny:

- Zrobię mu zastrzyk z czymś na wzmocnienie.

A więc był tu lekarz. To znaczy, że źle z nim się działo.

Doprawdy, można tak powiedzieć!

To dziwne, ale nie widział ani rycerzy, ani też mnichów inkwizycji w makabrycznych wizjach w podróży poprzez epoki, także poprzez ich czas.

Czyżby mnisi go nie zauważyli? No, ale rycerze powinni tam przecież być.

Cóż, może to była jego osobista podróż.

Zastrzyk pomógł, już czuł się silniejszy.

Jordi otworzył oczy.

Jak oni dziwnie wyglądają? Jak gdyby patrzył na nich przez wodę albo przez łyżę. Jakby stali po drugiej stronie akwarium. Albo za szybą z nierównego szkła.

Uśmiechnął się do nich.

Odpowiedzieli mu drżącymi uśmiechami.

Jordi zrozumiał niepewność swych opiekunów dopiero później tego dnia, gdy ujrzał swoje odbicie w lustrze. Przyzwyczał się już do owego poblasku, jaki miał przed oczami, lecz kredowobiała twarz, którą zobaczył w lustrze, naprawdę go przeraziła.

Flavia po długiej nocy czuwania poszła się położyć.

- Nie mogę się tak pokazać ludziom - oświadczył wzburzony Jordi Pedrowi. - Czy pozwolisz mi przez kilka dni korzystać z twojego balkonu, żebym mógł się trochę opalić?

- Oczywiście. Twoja skandynawska zimowa skóra nie zdążyła podczas pobytu w Hiszpanii zażyć zbyt wiele słońca.

- No tak, to prawda.

Jordi stanął już na nogi. Gorączka spadła, niewątpliwie był na drodze do wyzdrowienia.

Tak to wyglądało z pozoru. Co działo się w jego wnętrzu, o tym nie śmiał nawet myśleć.

- Trochę słońca dobrze ci zrobi - stwierdził Pedro. - Ogrzejesz też ciało. Nigdy w życiu jeszcze nie spotkałem kogoś, kto by miał takie zimne ręce jak twoje.

Jordi sam czuł ów chłód. Rycerz mówił wszak o aurze zimna, która będzie go otaczać. Jordi wprawdzie nie widział jeszcze pary, która by się wokół niego unosiła, lecz rzeczywiście było mu zimno.

Pedro powiedział życzliwie:

- Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie dla ciebie, jeśli za jakieś trzy dni pojedziesz w tajemnicy do domu. Bilet już załatwiliśmy. Wyślemy wiadomość do Antonia, że

nie żyjesz, urna dotrze później. Wtedy nikt już nie będzie pamiętał, że samolotem leciał taki pasażer.

Jordiego aż zapiekło w sercu, kiedy pomyślał o tym, jak bardzo zasmuci młodszego brata, ale nie pozostawiono mu wyboru.

Teraz musiał już wracać do Norwegii. Wprawdzie w Hiszpanii także miał wiele do zrobienia, powinien na przykład odszukać Elia, dowiedzieć się czegoś więcej o rycerzach, ale na to był zbyt zmęczony. Musiał jechać do domu i odzyskać siły. Może Antonio potrzebuje ochrony? Albo Morten?

Unni...

Nie, o niej nie wolno mu myśleć. Teraz jeszcze mniej niż kiedykolwiek.

Nie mógł się pokazać żadnemu z nich. Jordi stał się nie istniejącym człowiekiem.

Mimo wszystko Unni była pierwszą osobą, jaką spotkał, gdy jego samolot wylądował w Oslo.

Szedł przez halę odlotów, by coś sprawdzić, i zobaczył, jak Unni idzie wprost na niego przez wielkie pomieszczenie, w którym głosy niosły się echem.

Jordi doznał takiego szoku na jej widok, że krew napłynęła mu do twarzy i zapomniał „się unieść” jak powinien.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Spozrzegł, że Unni aż drgnęła. Patrzyła na niego oczami, które cały czas się rozszerzały, jak gdyby go poznawała. To jednak było niemożliwe, przecież nigdy wcześniej go nie widziała, co do tego miał całkowitą pewność. Zaraz jednak spuściła wzrok i rozeszli się każde w swoją stronę.

Wkrótce jednak ujrzał ją znów. Stała przed stanowiskiem odprawy bagażowej i, mocując się z jakąś papierową tubą, upuściła bilety na ziemię.

Jordi wahał się zaledwie przez chwilę, nie mógł oprzeć się pokusie, musiał podejść i jej pomóc. Uważał to zresztą po prostu za swój obowiązek, taką już miał naturę.

Usłyszał, jak Unni odzywa się zatroskana do eleganckiej kobiety za ladą:

- Miałam spotkać się z rodzicami przy tej rzeźbie, ale udało mi się zgubić i trafiłam do hali przylotów. Oni na pewno weszli już do hali tranzytowej, mam przynajmniej taką nadzieję. Ojej, nie mogę utrzymać tej tuby, to mojego ojca...

Kolejka za nią już zaczynała pojękiwać.

Jordi uratował dziewczynę od całkowitego upokorzenia. Unni zaś bardzo się zarumieniła od tej jego troskliwości. Teraz już w ogóle przestała sobie radzić ze swoimi rzeczami, a potem serdecznie mu dziękowała za pomoc przy odprawie.

Jordi przez cały czas nie odezwał się ani słowem, starał się także nie dotykać jej dłoni, tak by dziewczyny nie przeraziło jego zimno. Odszedł z lotniska z rozgrzanym sercem i krwią tętniącą w żyłach.

Nie mógł wrócić do swego dawnego mieszkania, przecież uchodził za zmarłego, poszukał więc sobie małego mieszkania, w którym nic nie zakłócałoby mu spokoju i skąd mógł bez przeszkód wyruszać na obserwację swego brata, by go chronić.

To były marne lata. Oczywiście Jordi nie przez cały czas musiał się starać, by ludzie go nie widzieli, to zresztą byłby zbyt duży wysiłek. „Znikał” jedynie w krytycznych sytuacjach. Zwykli ludzie mogli na niego patrzeć, ile tylko chcieli, to nie o nich chodziło.

Wiele wieczorów spędził w swoim maleńkim pokoiku, rozmyślając o Unni, a wówczas naprawdę było mu trudno. Bez względu na to, jak długo analizował w myślach swą sytuację, wiedział, że musi zrezygnować z najważniejszego w życiu marzenia - marzenia o tej dziewczynie. Gdyby nie zawarł paktu z rycerzami, spoczywałby teraz w grobie. Gdyby nie dbał o przyrzeczenia złożone rycerzom i mimo wszystko się z nią skontaktował, i tak otaczająca go aura lodowego chłodu odgradziłaby ich od siebie.

Skulił się w swoim skromnym pokoju, podciągnął nogi i objął je rękami, a głowę zwiesił na kolana. Zamknął się w swoim niedużym świetle smutku.

Antonio bardzo interesował się dziewczętami, kiedy dorósł. Lubił miłosne podboje, bez końca się zakochiwał, a wkrótce znajdował kolejną dziewczynę, jeszcze lepszą. Dwa lata trwało, nim się wyszumiał. Dwa lata, kiedy dawał ujście swej bezgranicznej radości życia i samolubstwu. Teraz Antonio dojrzał, bardzo poważnie zajął się studiami.

Jordi nigdy nie przeżył podobnego okresu burzy i naporu. Dzieciństwo zniszczone przez brutalność Leona, później zaś dźwigana w pojedynkę odpowiedzialność za życie Antonia uczyniły z Jordiego niezwykle poważnego młodego człowieka. Do chwili, gdy w jego świetle pojawiła się Unni, w jego życiu uczuciowym panowała kompletna pustka. Długo, bardzo długo obserwował ją tylko z daleka, śnił o niej i marzył...

A teraz pierwsze zetknięcie. Bał się, że go zdradził jego czuły uśmiech, ale przecież ponowne spotkanie z Unni nie wchodziło w grę, złożył wszak obietnicę rycerzom. Nigdy też w tej krótkiej przyszłości, jaka została mu ofiarowana, nie będzie mógł zapomnieć, że i tak należy do ich świata.

Gdyby tylko zdołał uwolnić rycerzy od przekleństwa!

Ale spotkanie z Unni przyczyniło mu wiele cierpień. Miał wrażenie, że jest rozdierany pomiędzy nie mającą kresu tęsknotą a przyrzeczeniem złożonym rycerzom. Oczywiście sam prosił ich o pomoc, lecz fakt, że wkrótce po zawarciu owego przekłętą paktu spotkał Unni, był niezwykle trudny do zniesienia. Przypomniawszy mu natychmiast, jak wiele utracił.

Przez te cztery lata, które upłynęły od pamiętnego spotkania z rycerzami, miał coraz więcej problemów. Znowu pojawił się Leon, Jordi ujrzał go znacznie wcześniej niż Antonio. Łotr wraz ze swoją bandą rozpoczął nagonkę na Mortena i Antonia, Jordi miał więc ręce pełne roboty. Mnisi wciąż go szukali, na szczęście bez powodzenia, wiedzieli jedynie, że pojawiło się coś bądź ktoś, kto posiada siłę dla nich niepojętą. Nie miał czasu ponownie wyruszyć do Hiszpanii i jeśli chodziło o obietnicę złożoną rycerzom, nie posuwał się dalej. Nic więc dziwnego, że z czasem zaczęli się niecierpliwić.

Obietnicę tę w pewnym sensie teraz złamał. Pozwolił się rozpoznać swoim przyjaciółom. Nie sądził jednak, by rycerzom wyrządziło to jakąś szkodę, raczej wprost przeciwnie.

Ostatnie dwa tygodnie były dla Jordiego niezwykle trudne.

Jordi zakończył opowieść. Nie zdradził się z uczuciami, jakie żywił dla Unni, jedynie beztrąsko opowiedział o spotkaniu na lotnisku. Dziewczyna rozjaśniła się w szerokim, mokrym od łez uśmiechu i z radością pokiwała głową, szczęśliwa, że i on to pamięta. Z tym jednym wyjątkiem słuchający otrzymali pełne sprawozdanie.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Dzień miał się już ku końcowi, na dworze powoli zaczynało się ściemniać. Miękki zmierzch otulił mityczną wyspę Selję zaklętą poświęcią.

Kiedy milczenie się przedłużało, Jordi powiedział zażenowany:

- Doskonale zrozumiem, jeśli nie zechcecie mi uwierzyć.

- Och, ale wierzymy! - zapewniła Unni czym prędzej i zaraz lekko się zawstydziała tego, że przemówiła w imieniu wszystkich.

- Ja również ci wierzę - podchwycił Antonio.

Vesla zerknęła na niego i gdy spostrzegła, jak bardzo jest poważny, i ona nie chciała być gorsza.

- Ja także - kiwnęła głową, chociaż w jej myślach panował kompletny chaos.

- Ja nie mam żadnych powodów, żeby ci nie wierzyć, Jordi - powiedziała Gudrun. - Zetknęłam się ze zbyt wieloma niepojętymi rzeczami. A ty, Mortenie? Widzę, że odwracasz głowę.

Młody chłopak drgnął.

- Co takiego? Ja... no, tak, wierzę.

Nie zabrzmiało to całkiem przekonująco, lecz nikt tego nie skomentował.

- A teraz miały być pytania - ożywiła się Unni.

- Chwileczkę, chwileczkę - zaprotestowała Gudrun. - Muszę przygotować kolację. I dajcie Jordiemu chwilę odpocząć, mówił przecież tyle czasu.

- Wszystko w porządku - uśmiechnął się Jordi, lecz bez wątplenia wyglądał na zmęczonego. - Dziesięć minut na pytania, czy tak będzie dobrze?

- Tyle musi wystarczyć - stwierdziła Gudrun.

Unni nie zwlekała.

- Powiedziałaś, że rycerz, który dał ci tę mapę, był najmłodszy. Ten, którego ja spotkałam, był stary, ale nie prastary.

Jordi bardzo się ucieszył, że miał wreszcie uzasadniony powód, by popatrzeć Unni w oczy.

- Musiałaś spotkać jednego z tych, których nazywam typami pośrednimi.

Unni kiwnęła głową, lecz na język cisnęło jej się więcej pytań.

- Dlaczego tekst na tych zwojach, które dostajecie, jest hiszpański? Przecież rycerze wysyłają jedynie ten pierwszy, niemal całkowicie zatarty, a nie wmówicie mi, że to mnisi wysyłają następne!

- Możesz dopuścić w końcu kogoś innego do głosu? - przerwał jej Morten z dosyć kwaśną miną.

Jordi popatrzył na niego.

- Unni zadaje bardzo mądre pytania. I wszyscy będziecie mieć czas na to, żeby mnie wypytać. - A zwracając się do dziewczyny, powiedział: - Nie, to rzeczywiście nie mnisi. Późniejsze listy pisze Pedro i wysyła je za pośrednictwem Flavii albo moim.

- Pedro? - dość niechętnie zainteresował się Mor - ten. - A co jego łączy z tą sprawą?

Na twarzy Jordiego malowała się powaga.

- Pedro jest jednym z nas, Mortenie. Nie jest wprawdzie z nami spokrewniony, bo pochodzi z rodu innego z rycerzy, ale jest ostatni ze swej gałęzi. Jego starszy brat zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat, Pedro natomiast jest chory, nie może mieć dzieci. Ani więc rycerze, ani mnisi nie biorą go pod uwagę. Dla nas jednak jest bardzo cenny.

- Rozumiem - powiedziała Gudrun.

- Co oznacza: „Jedynie bezgraniczna miłość”? - chciał wiedzieć Antonio.

- Pytałem o to rycerzy, lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

- A te gile? I te wstrętne czarne gawrony? - tym razem spytał Morten.

- Na to również mi nie odpowiedzieli. To chyba część najgłębszej tajemnicy, tej, której rycerze ani nie mogą, ani nie są w stanie wyjawić - powiedział Jordi. - Dotyczy to również owego miejsca, o którym ów stary rycerz wspomniał, lecz inni mu przerwali. Ale ja również mam pytanie. Do ciebie, Gudrun. Co takiego twoja córka Sigrid usłyszała wówczas za kuchennym oknem? Wtedy, gdy ktoś ją wzywał? A potem rozległ się odgłos, jakby kogoś bito. Kogo?

Gudrun pokręciła głową.

- Moja Sigrid nigdy się tego nie dowiedziała, ale dzień później przy brzegu znaleziono jakiegoś utopionego mężczyznę. Nie pochodził stąd. Policja jednak mówiła, że nie żył już, zanim prawdopodobnie wrzucono go do wody.

- Stwierdzono w końcu, co to za jeden?

- Owszem, po długich poszukiwaniach. To był jakiś narkoman z Oslo. Nikt nie pojmował, czego mógł szukać w Selje.

- Jeden ze sługusów Leona - mruknął Antonio. - Prawdopodobnie przekupiony obietnicą dostarczenia narkotyków. Miał pewnie wywabić Sigrid z domu, a potem ją zabić.

- To brzmi bardzo wiarygodnie - przyznał Morten. - Ale kto go uśmiercił?

- Nikt - odparła Gudrun. - Po wyrazie jego twarzy sądzono, że czegoś się śmiertelnie przestraszył. Większość narkomanów ma bardzo słabe serca, niewiele więc trzeba, aby tak się stało. A potem zapewne ludzie Leona wrzucili go do wody.

- Przestraszony na śmierć - powtórzył Antonio zamyślony. - Przestraszony objawieniem się rycerzy.

- Z całą pewnością. Przybyli ratować Sigrid i wręczyć jej pergamin, ten pierwszy. Leżał przecież na podwórzu pod końskimi kopytami - powiedział Morten, który wreszcie się ożywił i wygłaszał naprawdę inteligentne uwagi. Niekiedy potrafił być nieznośnie arogancki i odnosić się do przyjaciół z pogardą, innym razem wprost oczarowywał. Unni i Vesla wiedziały, że taka huśtawka nastrojów, a zwłaszcza mniej sympatyczne stany, pojawiły się u niego po wypadku. Czekwały, aż chłopak wreszcie znów stanie się sobą, a mogły na to liczyć, ponieważ wracał do zdrowia.

- Nad jedną rzeczą wiele się zastanawiałam - powiedziała Unni. - Nad czymś, o czym Sigrid pisze w swoim pamiętniku, tuż przed śmiercią. Wspomniała, że zna już część odpowiedzi, że ją zrozumiała.

- Zaczekaj chwilę! - Vesla podniosła rękę do góry. - Ja również o tym myślałam, odkąd Antonio o tym opowiedział. I wydaje mi się, że wiem, o co chodziło Sigrid. Ale pozwólcie mi najpierw przeczytać jej pamiętnik, dopiero później to wyjaśnię.

- Mam wrażenie, że wszyscy czekamy na to wyjaśnienie - stwierdził Antonio, a pozostali pokiwali głowami.

Gudrun wstała.

- Uplętnęło już zapowiedziane dziesięć minut, a ja okropnie zgłodniałam.

- Pomożemy ci w kuchni - oświadczyli goście i wszyscy tam się przenieśli.

Gudrun wyszła jeszcze po pocztę, a oni zabrali się do przygotowania kolacji. Trochę tu było ciasno, Mor - ten więc usiadł, ustępując miejsca innym. Wyglądało natomiast na to, że

zarówno Unni, jak i Vesla doskonale się czują, będąc tak blisko Jordiego i Antonia. Vesla miała zaczerwienione policzki, a oczy Unni błyszczały. Czy tylko przypadkiem dłonie jej i Jordiego zetknęły się w szafce z talerzami? To wprawdzie dość idiotyczne miejsce, ale mimo wszystko!

Wróciła Gudrun. Na jej twarzy malował się wyraz najwyższego zdumienia. Wszyscy znieruchomieli, patrząc na nią pytająco.

Kobieta musiała mocno wziąć się w garść, by wreszcie móc przemówić:

- To leżało w skrzynce - szepnęła i położyła na stole stary, zniszczony zwój pergaminu.

Nikt nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

W końcu ciszę przerwał Antonio:

- Co, na miłość boską, ma to oznaczać?

- Czy to nie jest pierwszy pergamin? - spytała Gudrun.

- Owszem - odparli jednocześnie Jordi i Morten. Każdy z nich przecież swego czasu otrzymał podobną przesyłkę.

- Ojej! - jęknęła nagle Unni.

Popatrzyli na nią. Dziewczyna wyglądała na przerażoną nie na żarty.

- Jaka dzisiaj data? - spytała niewyraźnie, jakby zeszywniał jej język.

Gudrun odpowiedziała na jej pytanie.

- Ojej! - westchnęła znów Unni. - Całkiem się pogubiłam. Tyle się ostatnio działo!

- Z czym się pogubiłaś? - przyciskał Morten.

- Z czasem. Dzisiaj są moje urodziny. Moje... - Głos jej zamarł i słabym szeptem wydusiła z siebie: - Moje dwudzieste pierwsze urodziny.

Wybałuszyli oczy.

- No, nie! - zdenerwował się Morten. - Przecież ty nie jesteś...

- Przestań! - przerwał mu Antonio. - Unni już od dawna jest wmieszana w tę sprawę.

Wielu rzeczy nie rozumiemy, jeśli chodzi o jej osobę.

- I to jeszcze ilu! Ale ta jest chyba najważniejsza.

Morten tylko kręcił głową, Antonio jednak był surowy.

- Teraz, Unni, chyba najlepiej zrobisz, sprawdzając swoją tablicę genealogiczną.

- Ależ ja ją znam! - zaprotestowała dziewczyna. - Są tam jedynie robotnicy, wieśniacy, paru kupców, komornicy... Wiem o swojej rodzinie wszystko aż do siedemnastego wieku, bo ojciec interesował się historią rodu. Historia kończy się na komornikach z odległych dolin.

- A skąd u ciebie taka ciemna karnacja? - łagodnie spytał Jordi.

- Tego... nie wiem - odparła zmieszana. - Mama i ojciec są rzeczywiście stosunkowo jaśni.

- Kochana Unni - rzekła Gudrun, kładąc dziewczynie ręce na ramionach. - Chyba powinnaś zadzwonić do swojej mamy.

- Rozumiem - powiedziała Unni żalonym, ściszonego głosem. - Ale co będzie, jeśli ich zasmucę?

- Nie ma na to rady - stwierdził Jordi. - Twoje życie może być zagrożone, musisz poznać prawdę.

Popatrzyła na niego, kiwnęła głową i przełknęła ślinę.

- Możesz skorzystać z telefonu w salonie - poradziła Gudrun. - Tam będziesz mogła swobodnie rozmawiać.

Unni przeszła do salonu. Wszystko wydawało jej się jednym wielkim chaosem, było jej również bardzo przykro. Nie chciała tego, co miało nastąpić, nie wiedziała, co ma mówić.

Niech matka odbierze telefon, błagała w duchu, bo jeśli tylko mam innego ojca... Wtedy może być naprawdę trudno.

Dzięki Bogu, słuchawkę podniosła matka.

- Mamo, wyniknęło coś, co mnie zmusza do zadania ci bardzo osobistego pytania. I błagam, powiedz prawdę!. Ogromnie was kocham oboje i tak naprawdę dla mnie to nie ma większego znaczenia, po prostu muszę się dowiedzieć, najzupełniej teoretycznie...

Nie, to, co mówi, nie ma sensu. W końcu zdecydowała się i wypaliła:

- Czy ja jestem adoptowana?

To była długa rozmowa, popłynęło też wiele łez. Matka chciała wiedzieć, dlaczego. Unni wykręciła się białym kłamstwem.

W końcu wróciła do kuchni. Przyjaciele nie posunęli się nawet o milimetr dalej ani w nakrywaniu do stołu, ani w przygotowywaniu posiłku. Cały czas na nią czekali.

Unni załkała.

- Tak, zostałam adoptowana. Tylko oni mi o tym nie powiedzieli. To bardzo niemądre z ich strony, ale przecież chcieli dobrze.

- Świetnie to rozumiemy - uspokajała ją Gudrun.

- Wciąż jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, pod tym względem nic się nie zmieniło.

Oni są moimi rodzicami i basta.

- Skąd pochodzisz? - spytał Jordi.

- Z Chile.

Antonio zmarszczył brwi.

- Ale nie wyglądasz na Indiankę?

- Bo też i nią nie jestem, nie całkiem. Jestem Kreolką. Nie wiem, ile mam w sobie krwi południowoeuropejskiej, a ile indiańskiej. Matka również tego nie wiedziała. Moja biologiczna matka zmarła podobno w wieku dwudziestu pięciu lat, ojciec jest nieznany. Moja matka była rzeczywiście z pochodzenia Hiszpanką, mogę być nawet w pełni hiszpańską Kreolką.

Jordi pokiwał głową.

- Wielu ludzi z północnej Hiszpanii wyemigrowało do Chile.

Unni ożywiła się.

- Ale jak to możliwe, że zebraliśmy się tu wszyscy z wyjątkiem tego Hiszpana Pedra? Chodzi mi o to, że jakaś dramatyczna historia z dawnych czasów z Hiszpanii miałaby skupić wszystkich w to wciągniętych w tym samym niewielkim miasteczku w Norwegii? To przecież szaleństwo! Tak, tak, wiem, że jesteśmy teraz tu nad morzem, ale mam na myśli miasto, w którym zwykle mieszkamy. Wszyscy w tym samym miejscu?

- Nasze miasto wcale nie jest niewielkim miasteczkiem! - zaprotestował Morten.

- Ach, zamknij się! W każdym razie nie jest wcale duże! - prychnęła Unni. Była tak wstrząśnięta tym, czego się przed chwilą dowiedziała, że ledwie się opanowała, by nie uderzyć Mortena.

- To wszystko nie jest wcale tak przypadkowe, na jakie wygląda - odezwał się Jordi z powagą i nie bez poczucia winy. - Wcale nie tak znów łatwo było was zebrać.

- Czy to ty... ? - wybuchnął Morten.

- Mniej lub bardziej, owszem. Byłem zupełnie nieprzygotowany na to, czego teraz dowiedziałem się o Unni, ale poza tym trochę wami manipulowałem, do tego muszę się przyznać. Miałem jak najlepsze zamiary. Kiedy mieszkaliście tak daleko od siebie, nie byłem w stanie opiekować się wami. Rzeczywiście, namówiłem Antonia, żeby zaczął pracować w szpitalu w tym samym mieście, w którym mieszkał Morten. Mało brakowało, a Morten przeniósłby się do Oslo, pamiętasz? Zdołałem temu zapobiec rozmaitymi listami i działaniami, o których nie wiecie. I to właśnie ja... to ja wmówiłem sobie, że Unni będzie właściwą dziewczyną dla Mortena. No, ale o tym wspominałem już wcześniej.

Patrzyli na niego zaskoczeni. Jak on zdołał wszystko to zrobić?

Nad wyspą Selją zapadał zmrok. Panowała taka cisza, że zaczęli się zastanawiać, gdzie się podziały wszystkie krzyki mew. Ptaki najwidoczniej udały się już na nocny spoczynek.

Trudno sobie wyobrazić, że gdzieś istnieje jakieś normalne życie.

Jordi sprawiał nagle wrażenie straszliwie zmęczonego, jak gdyby na jego barkach spoczęły wszelkie cierpienia tego świata.

- Cóż, przyjaciele, po ostatnim wstrząsie chyba najwyższy czas przedstawić was tym pięciu rycerzom.

Guðrun pobladła.

- Nie, nie tutaj - uspokoił ją Jordi. - Jutro przecież wybieramy się na wyspę w poszukiwaniu pamiętnika młodej Anne. Tam będziemy mieli spokój, prawda?

- Owszem, w okolicach klasztoru jest bardzo spokojnie - odparła Gudrun. - O tej porze roku nie ma żadnych turystów.

- A ci, którzy boją się tego spotkania, mogą zostać w domku. Vesla?

- Nie, jadę z wami - odpowiedziała, przelotnie zerknąwszy na Antonia.

- A ty, Gudrun? I Morten?

- Co mogę stracić, wyruszając z wami? - wzruszyła ramionami Gudrun.

Morten odetchnął głęboko.

- Spróbujcie tylko jechać beze mnie!

- Wobec tego ustalone, wyruszamy jutro.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Mają zostać przedstawieni grupce rycerzy z piętnastego wieku?

Wyrazili już, może trochę zbyt prędko, zgodę. Ale, do diabła, z każdym dniem stawali się coraz bardziej zahartowani!

CZEŚĆ TRZECIA
RYCERZE

Vesla podobnie jak wiele innych kobiet miała problemy z podjęciem decyzji, co zapakować na podróż. Wyjazd do o wiele cieplejszego Vestlandet późną zimą czy też wczesną wiosną okazał się prawdziwą zagadką. Jak ludzie się tam ubierają? Gdzie będą mieszkać? U babci Mortena. To jednak nie wyjaśniało zbyt wiele. Jak długo? Kilka dni.

I jak większość podróżujących zabrała ze sobą za dużo bagażu. Przygotowała się na wszelkie możliwości. Pogoda? Zimno, ciepło, słońce, deszcz, burza, wiatr.

Gdy zeszła do samochodu tamtego dnia o wczesnym poranku, kiedy mieli wyruszać, od razu się zawstydziła swojej wielkiej walizki i pięknego śpiwora. Unni zabrała jedynie torbę na kółkach, Antonio i Morten dość spore sportowe torby. Wszyscy troje ubrali się, jakby przewidując trudne warunki, ona zaś włożyła najlepszy podróżny kostium. Vesla miała sporo eleganckiej garderoby, dość dużo pieniędzy wydawała na stroje, zwłaszcza odkąd pojawiła się strojnisia Emma.

Teraz Vesla poczuła się niepewnie. Antonio tylko wziął jej walizkę i wrzucił ją do samochodu. Morten, rzecz jasna, nie mógł powstrzymać się od niemądrej uwagi: „Wybierasz się do Paryża?”, i tylko Unni uratowała ją okrzykiem: „Ojej, masz fajną walizkę, zawsze chciałam taką mieć!”

Unni jest naprawdę miła.

Wszyscy w domu Gudrun już ułożyli się do snu. Tylko Vesla nie mogła zasnąć.

Nie miała już siły dłużej leżeć i gapić się w sufit. Była kompletnie trzeźwa, nie wiedziała, dlaczego. Owszem, zdrzemnęła się podczas przejazdu z Widmowego Dworu i w samym Dworze również spała kilka godzin rano, ale teraz, po takim pełnym emocji dniu, powinna być choć odrobinę senna.

A może właśnie dlatego nie mogła zasnąć? Nie pracowała ciężko tak jak w domu opieki. Głównie siedziała i słuchała niepojętych, wstrząsających opowieści. Ciało miała wypoczęte, lecz umysł wzburzony. Cóż, nie jest to najlepsza recepta na sen.

A następnego dnia mieli się spotkać z duchami? Tak jakby to miało podziałać uspokajająco.

Wreszcie postanowiła zejść na dół. Ubrana była w śliczny szlafroczek, narzucony na cieniutką koszulę nocną, a na nogach miała supereleganckie domowe pantofelki na obcasach.

Nagle drgnęła. W wykuszu, jedynie przy świetle zapalanej świeczki, siedział Antonio.

Serce Vesli zaczęło zachowywać się nienormalnie. Czyżby przewidziała to spotkanie? Czy jedynie go pragnęła?

Tego nie wiedziała, ale i nie chciała wiedzieć.

Przeklęte eleganckie pantofelki! Czy mogła je zrzucić i udawać, że nie istnieją?

Nie, nie mogła.

Antonio już ją dostrzegł.

- Cześć - powiedział cicho. - Oddałem Jordiemu swoje łóżko, przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić po tym wszystkim, co on uczynił dla mnie. Zeszłaś na dół w jakiejś bardzo prywatnej sprawie, czy po prostu nie mogłaś zasnąć?

- To ostatnie.

- Ja też nie mogę spać. Powinienem właściwie leżeć na kanapie w małym pokoju biurowym, ale jestem zbyt podniecony, żeby odzyskać spokój. Masz czas, żeby ze mną posiedzieć?

Czas całego świata, pomyślała Vesla, lecz usiadła bez słowa. Akurat w tym samym miejscu siedzieli już wcześniej tego dnia. Teraz wreszcie mogła zrzucić pantofelki na obcasie i wsunąć je dyskretnie pod ławę w wykuszu. Podciągnęła bose stopy i okryła je szlafrokiem.

Emma w takiej sytuacji skorzystałaby z okazji i odsłoniła to i owo, lecz Vesla nie chciała być taka jak Emma. Siedziała przyzwoicie w swoim kącie, chociaż miękko i bardzo po kobiecemu.

Szafkowy zegar wybił jedenaście kruchych, trochę jakby zardzewiałych uderzeń.

- Wydaje mi się, że Gudrun nie usłyszy naszej rozmowy - powiedział Antonio. - Rozdzielają nas dwie pary drzwi.

Vesla tylko kiwnęła głową. Światło świeczki stwarzało niezwykłą atmosferę, płomień odbijał się w szybie na tle czarnej nocy na zewnątrz. Tego wieczoru księżyc nie świecił. Vesla nie była pewna, dlaczego tak jest, czy to za sprawą chmur, czy mgły. A może jeszcze nie wzeszedł?

- Ładnie tutaj - zaczęła odrobinę banalnie.

- To prawda, nie przywykłem do tego, żeby mieć morze tak blisko. Ta niesamowita przestrzeń wprost oszałamia.

- Masz rację.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Vesla starała się znaleźć jakiś nowy temat, ale jej mózg najwidoczniej całkowicie absorbowwała obecność Antonia.

- Bardzo mnie dziwisz, Veslo - odezwał się nagle Antonio, ratując oboje przed chwilą kłopotliwego milczenia. - Wydajesz się osobą światową, doświadczoną, miałaś propozycję

pracy jako modelka. Z tego jednak, co opowiadałaś, wynika, że twój świat jest tak naprawdę bardzo ograniczony.

- Owszem, a te granice wyznaczyła moja matka. Ach, żeby ona kiedyś znalazła się w takim duchowym więzieniu jak moje!

- Przecież ona już je czuje. Nie pojmujesz, że jednocześnie wyznacza granice dla samej siebie? I to jeszcze surowsze niż twoje.

- Ja to rozumiem - odparła Vesla zdenerwowana. - Ale ona ich nie zauważa. Ciągłe użala się nad sobą, ponieważ inni są tacy źli, pozostawiają ją samą i opuszczają. Ale, och, nie chcę być tak negatywnie nastawiona! Matka zawsze wzbudza we mnie takie destrukcyjne myśli.

- Wobec tego porozmawiajmy o czymś innym - uśmiechnął się Antonio z czułością. - Powiedz prawdę, nie żałujesz, że z nami wyjechałaś?

- Ależ nie, skąd! - wykrzyknęła Vesla. - Niech sobie przychodzą upiory, jakie tylko chcą. Byleby tylko wolno mi było być razem z wami! Naprawdę doskonale się bawię, chociaż od opowieści twojego brata każdemu ciarki chodziłyby po plecach.

- Nic na ten temat nie powiem. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że trzeba mu wierzyć. Zresztą już sam jego wygląd, jakby z innego świata, sprawia, że Jordi jest wiarygodny.

- Oczywiście.

Vesla zawahała się.

- Posłuchaj, Antonio... Czy mogę cię spytać o coś bardzo osobistego?

- Oczywiście - odparł z zaciekawionym.

Jak to zrobić, żeby pytanie zabrzmiało naturalnie?

- Czy... czy ciebie i Unni coś łączy? Wiem, że to nie moja sprawa i nie musisz mi odpowiadać, ale...

Antonio uśmiechnął się uspokajająco.

- A na to wygląda?

Vesla na chwilę się pogubiła.

- Co takiego? E, nie... może nie. Ale rozmawiacie tak poufale, śmiejecie się z tych samych rzeczy, między wami panuje takie cudowne zrozumienie bez słów, które jest, doprawdy, godne pozazdroszczenia.

- Rzeczywiście, masz rację. Pod tym względem, duchowym, jesteśmy sobie bardzo bliscy. Unni to naprawdę cudowne stworzonko i ogromnie ją lubię, lecz nie wydaje mi się, żeby to mną była zainteresowana.

- A przykro ci z tego powodu?

Ach, nie, cóż za pytania ona zadaje, przecież zdradza się w ten sposób! Czy naprawdę nie może nad sobą zapanować? No, ale musi się przecież dowiedzieć. Nie może niszczyć już istniejącego, być może kruchego związku.

- Czy mi przykro? - odparł Antonio z namysłem. - Nie. Jeśli istnieje coś takiego, jak szczerza, serdeczna przyjaźń, to właśnie ona łączy mnie i Unni. Jeśli jest mi ogromnie przykro, to z jej powodu.

Milczenie Vesli musiało wystarczyć za całe pytanie.

Antonio wyjaśnił:

- Przecież to zupełnie jasne, o kim ona myśli. I prędzej czy później będzie z tego powodu bardzo cierpieć. Nadejdzie dzień, kiedy Unni zrozumie, że musi się poddać.

Vesla bez trudu śledziła tok jego myśli.

- No a on? Jak on się do tego odnosi?

Antonio nabrał głęboko powietrza.

- Dobrze znam swego brata, jemu jest naprawdę trudno. Rozumie, z czego musi zrezygnować, wie, ile utracił.

- No tak, bo chyba nie ma żadnych szans...

- Nie ma. Oni należą do dwóch różnych światów. Nie da się ich połączyć. Rycerze również by na to nigdy nie pozwolili.

Zatonęli w melancholijnych rozważaniach. Płomień zamigotał, świeczka niemal całkiem już się wypaliła. Vesla jak gdyby na znak, że nie chce jeszcze kończyć tego spotkania, zapaliła nową świecę i zgasiła pierwszą.

- Dziś wieczorem naprawdę mi było żal Unni - powiedziała cicho.

- No tak, dziewczyna przeżyła ogromny szok. Jak się teraz czuje?

- Zasnęła, ale płakała przez sen. Wcześniej jednak dość długo rozmawialiśmy o tym, jakie to uczucie, kiedy człowiek nagle się dowiaduje, że jest adoptowany. Unni mówi, że cały świat staje wtedy na głowie. W mózgu wirowały jej tysiące myśli. Jej ojciec zajmował się trochę genealogią i ona także zaraziła się tym hobby. Uważała, że to zabawne dokopywać się do prostych wieśniaków w Norwegii. A tymczasem nic z tego nie jest prawdą.

- Czy ona zamierza zacząć od początku? Odnaleźć swoich biologicznych rodziców?

- Zastanawiała się nad tym. W każdym razie chciałaby znaleźć rodzinę matki, bo nikt nie wie, kim był jej ojciec, ta sprawa wygląda więc na beznadziejną. No, ale jest też przecież to straszne dziedzictwo. Unni się boi, Antonio. A ja nie mam zamiaru tego lekceważyć. Człowiek przecież pragnie żyć, dożyć przynajmniej trzydziestki.

Antonio uśmiechnął się, słysząc o tak bliskiej granicy, ale zaraz powiedział:

- Unni ma jeszcze cztery lata w zapasie. Gorzej jest z Mortenem i z Jordim. Lecz jeśli oni dwaj umrą za kilka miesięcy, to Unni zostanie na świecie sama z tym dziedzictwem.

- Tak, wspominała o tym. Przydałby się jej dzisiaj wieczorem ktoś, kto umiałby ją pocieszyć i dodać jej odwagi. Na szczęście teraz już śpi.

- Jutro się nią zajmujemy - obiecał Antonio.

- O, tak, koniecznie - powiedziała Vesla.

- Czy ty wiesz, że Unni jest dziewicą? - spytał Antonio nieoczekiwanie. - Ma dwadzieścia jeden lat i jest nietknięta!

- Nie, prawdę mówiąc, nie wiedziałam o tym. Doprawdy, nieźle! - odrzekła Vesla zaskoczona, że Antonio porusza tak delikatny temat.

No tak, a przy okazji zdradziła się sama!

- Chodzi mi o to, że na pewno miała dość propozycji, przecież jest bardzo interesująca - dodała niezgrabnie, starając się wybrnąć z sytuacji.

Antonio nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Morten uważa ją za bardzo zwyczajną, potrafi ją nazwać zerem, a nawet brzydką.

- Ach, Morten! - prychnęła Vesla. - On ma tak banalny gust, że nieraz się za niego wstydziłam, kiedy wychodziliśmy całą grupą. Strzela oczami za najbardziej wymalowanymi i wystrojonymi lalkami. Jørn i Marius niezliczoną ilość razy tłumaczyli mu, że nawet jeśli ma zamiar dokończyć flirt z tą czy tamtą dziewczyną, to nie będzie go stać na spędzenie z wybranką nawet jednej nocy. Zauważyłeś chyba jego szalone uwielbienie dla Emmy. Morten tak dalece nie zna się na dziewczynach, że Unni powinna potraktować jego opinię na swój temat jako komplement.

Antonio uśmiechnął się tym swoim łagodnym uśmiechem, któremu nie można było się oprzeć.

Czy tylko ja płonę? zastanawiała się Vesla. Mam wrażenie, jakbym się gotowała od środka. Pragnę tego chłopca, nie mogę zaprzeczyć, lecz to, co teraz się dzieje, nie jest chyba cudownym, delikatnym i nieśmiałym początkiem romansu. Jestem pewna, że koszula nocna i szlafrok przylepiły mi się już do oparcia tej skórzanej sofie, a on tymczasem siedzi sobie spokojnie w samej tylko koszuli i luźnych spodniach i wygląda na kompletnie opanowanego.

Kto zresztą może tu mówić o miłości? Bardzo pragnę jego ciała, niczego więcej w tym nie ma. Ale on mnie onieśmiela tą swoją wrażliwością, nigdy jeszcze nie spotkałam faceta w jego typie. A może on wcale nie interesuje się dziewczętami? Byłaby wielka szkoda. Żałuję,

że nie jestem na miejscu Unni i nie przyjaźnię się z nim całym sercem. No cóż, on na mnie działa jak magnes.

Czy wolno mi zadać więcej pytań o jego życie prywatne?

Nie, nie powinnam. Inicjatywa należy teraz do niego.

Antonio zrobił gest, jakby chciał wstać.

- No, późno już.

Bardzo dziękuję, a więc taki jest koniec moich marzeń o bliskości?

Tak naprawdę jednak Vesla nie miała ochoty na żaden romans tutaj, w małym domku Gudrun. To by było nie na miejscu i zapewne pozostawiłoby niesmak.

Może Antonio uważał tak samo?

Nie, on najwidoczniej w ogóle nie zastanawiał się nad taką ewentualnością.

To deprymujące.

Vesla wyłowiła spod ławy swoje domowe pantofelki, ale trzymała je w ręku. Uważała, że kiedy jest bosa, sytuacja wydaje się bardziej intymna.

Antonio zdmuchnął świeczkę i życzył Vesli dobrej nocy.

Poczuła, że to tak mało. Odwróć się, Antonio, popatrz mi w oczy tym swoim cudownym, ciepłym spojrzeniem i uściskaj mnie na dobranoc! Mógłbyś mnie też po przyjacielsku pocałować w policzek.

A może jeszcze lepiej w usta?

Nie mocno, nie tak, by dech zaparło mi w piersiach, bo to by oznaczało, że posuwamy się za prędko. Bo i tak bym w to nie uwierzyła.

- Dobranoc - odparła nieśmiało.

A potem, kiedy ona już zbliżała się do schodów, on zaś stał przy drzwiach do niedużego gabinetu, powiedział cicho:

- Przyjemnie mi się z tobą rozmawiało, Veslo.

Dzięki Bogu!

- Nawzajem - mruknęła i ledwie się powstrzymała, żeby nie dodać: „Musimy to kiedyś powtórzyć”.

Poszła na górę nieco pocieszona.

„Przyjemnie mi się z tobą rozmawiało, Veslo”. Takie proste słowa, ale ogrzały jej ciało niczym promienie słońca.

Spali długo, dłużej niż planowali, wyruszyli więc dopiero po południu. Ale zjedli dobry lunch przy wtórze rozmów i śmiechów, a towarzyszyło temu uczucie, że tworzą sześćoosobową grupę złożoną z ludzi, którzy do siebie pasują.

Kiedy zeszli na przystań, morze pokazało im się od najlepszej strony. Chociaż wiosna nie nadeszła jeszcze na dobre i ledwie dało się wypatrzeć zieloną poświatę roślinności, nad morzem było olśniewająco pięknie.

Mewy żeglowały spokojnie w powietrzu ponad nieruchomą taflą wody fiordu, w pobliżu cumujących łodzi. Ponad zatoką Sildagapet unosiła się lekka mgiełka, sprawiając, że najbardziej wysunięte w głąb morza cyple przybierały bladą niebieskoszarą barwę. Ale nad Selją, wyspą, na której znajdowały się nieliczne zagrody i domy, położone od strony osady Selje, świeciło słońce. Na najdalszym krańcu wyspy, wychodzącym w morze, miały znajdować się ruiny klasztoru. Unni również ich była ogromnie ciekawa, uczyła się o nich w szkole, a Gudrun dzisiaj jeszcze to wszystko powtórzyła.

Sunniva, córka irlandzkiego króla, dziewczyna o czystym sercu, musiała uciekać ze swej ojczyzny, nie chciała bowiem poślubić człowieka, którego dla niej wybrano. Trafiła na wyspę Selję u zachodnich wybrzeży Norwegii. Było to około roku 960. Wysoko w skale znajdowała się jaskinia, gdzie schroniła się Sunniva wraz z mieszkańcami Selje, wśród których były również kobiety i dzieci. Sądziła, że w tej części wyspy będą bezpieczni, nikomu wszak nie wyrządzili żadnej krzywdy.

Ale jak Håkon dowiedział się o obcych przybyszach i wysłał przeciw nim statek ze swoimi ludźmi. Sunniva żarliwie modliła się do Boga o to, aby zabrał ich dusze do siebie. I oto nagle kamienie i wielki blok skalny spadły do środka groty, całkowicie ją zasypując. Wszyscy, którzy schronili się w jaskini, zginęli pod kamienną lawiną, wikingowie zaś powrócili do domu, nie mogąc się pochwalić kolejnym wyczynem.

Mniej więcej trzydzieści lat później, w czasach Olafa Tryggvasona, gdy w pobliżu wyspy przepływał statek kupiecki, żeglarze ujrzeli kolumnę światła unoszącą się z wyspy wprost do nieba. Zeszli na ląd i znaleźli jaśniejącą czaszkę, od której nie czuć było zapachu zgnilizny. Zbadano wówczas groty i odnaleziono szczątki wielu ludzi, a od wszystkich unosił się ten sam przyjemny zapach. Najdalej, w głębi groty, znaleźli Sunnive, wyglądała tak, jakby spała, jej ciało nie odniosło żadnych obrażeń. W grocie tryskało też cudowne źródło.

Wtedy to zbudowano na wyspie kilka kościołów, a także klasztor benedyktynów. Córka irlandzkiego króla - która zresztą przed opuszczeniem Irlandii zdążyła zostać królową - została przez papieża wyniesiona na ołtarze. Święta Sunniva. Wyspa Selja stała się pierwszym miejscem pielgrzymek w Norwegii, a także siedzibą biskupstwa. Wyspę odwiedził nawet jeden z papieży, uznał jednak, że niewiele znajdzie tu wiernych. Nieliczni wieśniacy nie byli katolikami. Papież przyjął to jednak spokojnie.

Opowieść o świętej Sunnivie wydawała się Unni taka piękna, taka romantyczna, że aż musiała odwrócić głowę, żeby nikt nie dostrzegł jej łez.

Odbili od brzegu w łodzi Gudrun. Była to motorówka z kabiną najmniejszych możliwych rozmiarów, chociaż w środku było więcej miejsca, niż mogło się wydawać z pozoru, podobnie zresztą jak bywa z wieloma małymi domkami. Ponieważ w powietrzu dało się wyczuć chłód, dziewczęta zeszły na dół do Gudrun. Morten przyłączył się do nich, dwaj bracia natomiast zostali na zewnątrz.

Tego przedpołudnia Vesla i Antonio nie mieli okazji zajmować się Unni. Przebywała w towarzystwie całej grupy, wydawała się zresztą spokojna, wesoła i dość rozmowna. Spostreegli poza tym, że Jordi właściwie przez cały czas nie spuszcza z dziewczyny wzroku i stara się jej służyć troskliwym wsparciem zarówno przez samą swoją obecność, jak i przez życzliwe słowo.

I Antonia, i Veslę podniosło to na duchu.

Popłynęli spory kawałek wzdłuż lądu, oddalając się od Selje. Próbowali udawać, że nawet przez chwilę nie mają zamiaru wybrać się na wyspę, na wypadek, gdyby ktoś śledził ich poczynania. Ale od opuszczenia Widmowego Dworu nie zetknęli się z żadnymi podejrzanymi typami.

Trochę ich to dziwiło.

Czyżby te łotry naprawdę nie wiedziały, gdzie mieszka babcia Mortena? To byłoby wspaniałe, ale nikt nie miał odwagi snuć takich nadziei. Przecież zarówno matka Mortena, jak i jego dziadek zmarli w tym właśnie domu.

Ale być może wówczas na scenę nie wkroczył jeszcze Leon.

Gdy oddalili się już dostatecznie od osady, Gudrun skierowała łódź ku wyspie. Popłynęli szybciej, aż wreszcie Selja ich zasłoniła i nie byli już widoczni z brzegu.

Zrobiło się zimno, Jordi i Antonio również zeszli do kabiny.

- No tak, a właściwie w którym miejscu Leon pojawia się w tej historii? - spytał Morten. - Czego on może chcieć od kilku starych, od dawna już martwych rycerzy? No i skąd o nich wie?

- Nie mam pojęcia - odparł Jordi. - Mogę spytać rycerzy.

Te słowa przypomniały im cel wyprawy. Wszyscy w kabinie spowaźnieli.

Okrażyli cypel.

Ruiny klasztoru z wysoką czworokątną wieżą i kamiennymi schodami, prowadzącymi do jaskini w skalnej ścianie, w popołudniowym słońcu przedstawiały iście zachwycający widok.

Wszystko zachowało się tu znacznie lepiej, niż wyobrażała sobie Unni. Jaskinia położona była o wiele wyżej i sprawiała wrażenie głębszej, niż się spodziewali. Uroczyście zeszli na ląd, nie odrywając wzroku od ruin. Stary klasztor był niezmiernie fascynujący.

Słoneczne światło padało niemal poziomo na ową smutną pamiątkę niezwykłego stylu życia sprzed wielu setek lat i przydawało temu miejscu niezwykłego nastroju i szczególnej atmosfery. Trudno było powiedzieć, dlaczego klasztor zbudowano w miejscu tak bardzo nie osłoniętym od wiatru; najwidoczniej chciano trzymać się blisko świętego miejsca.

Nietrudno było sobie wyobrazić obce statki dobijające do wyspy, zaskoczenie mieszkańców Selje ich przybyciem, jak również strach przed nieznanym.

Unni ze wzruszeniem kroczyła długą, wykładaną kamieniami ścieżką prowadzącą do murów klasztoru. Przeszli przez duży, ogrodzony cmentarz i znaleźli się w obrębie wewnętrznych murów. Minęli kościół świętego Albanusa z wysoką wieżą, a potem wkroczyli do przyklasztornego ogrodu. Zachowały się jeszcze szczątki zakrystii z zaokrąglonym sklepieniem. Gudrun podjęła się roli przewodnika i szczegółowo opowiadała o poszczególnych częściach zespołu klasztornego. Pokazała młodym przyjaciołom wyraźne ruiny kuchni i refektarza, pokoju pracy i nie istniejącej już klasztornej wieży, piekarni, kuźni i sali zgromadzeń. Wysoko na zboczu znajdowało się magiczne miejsce, w którym wypływało źródło ze świętej grotty Sunnivy. Również źródło uznane było za święte. Zarówno Unni, jak i Vesla postanowiły tam iść, potem uklękły i napiły się cudownej wody, posiadającej ponoć moc spełniania życzeń. Vesla zaraz skorzystała z okazji, Unni również, a nawet nie poprzestała na jednym życzeniu, lecz pomyślała aż trzy naraz, niepewna, czy wolno jej tak robić. Obie dziewczyny swoje życzenia zachowały w tajemnicy.

Nad zatoką Sildagapet lekka dotąd mgielka zaczęła szybko gęstnieć, ale to nie powinno im przeszkadzać.

Był już najwyższy czas, by rozpocząć poszukiwania pamiętnika Anne. Nie zaglądali jeszcze do jaskini, nikt jednak nie podejrzewał, że pamiętnik może tam leżeć. Ukrycie dziennika w grocie wydawało się jakby za proste, zwłaszcza w grocie odwiedzanej często przez turystów i innych ludzi zainteresowanych tym miejscem.

- Ona nie mogła ot, tak po prostu włożyć gdzieś pamiątnika - stwierdziła Gudrun. - Musiała go w coś owinać albo schować do jakiejś kasetki. Mam też pewne podejrzenia, że mogła go zakopać. Tak więc... od czego zaczynamy?

- Od wieży - oświadczył Morten. - Wspomina o niej przecież w tym hiszpańskim liście.

Rozdzielili się. Morten nie mógł wdrapać się na wieżę, przypadła mu więc do przeszukania zakrystia. Okazało się jednak, że tyle w niej kamieni, odłamków kolumn i rzeźb, że nawet tu miał pewne problemy z poruszaniem się i Gudrun musiała mu pomóc. Morten starał się jak tylko mógł, wkrótce jednak poddał się i usiadł.

Antonio wspiął się po wysokich, stromych schodkach do grotty. W połowie drogi zatrzymał się, by chwilę odetchnąć, i zawołał do przyjaciół na dole:

- Wspaniały widok!

Gudrun odkrzyknęła:

- Szkoda, że nie możesz go oglądać, kiedy pierwiosnki pokrywają całe połacie ziemi, to naprawdę widok godny bogów!

- Ani trochę w to nie wątpię. - Głos Antonia odbijał się od skał. - Co to za mur, tak wysoko w górze?

- To szczątki klasztoru Sunnivy. W samej grocie znajdziesz ruiny jeszcze jednej kaplicy, to kaplica świętego Michała, wzniesiona ku czci anioła, który według legendy stanął na szczycie góry i wrzucał skały do grotty.

Antonio pomachał, dając znać, że wszystko zrozumiał, i podjął mozolną wspinaczkę.

Unni przydzielono klasztorny ogród, Vesla natomiast zajęła się piekarnią, położoną nieco na uboczu. Jordi przeszukiwał mniejsze pomieszczenia i wieżę. Gdy mijał Unni, kierując się w tamtą stronę, pogłodził przelotnie policzek dziewczyny wierzchnią stroną palców. To było jak pozdrowienie. Nie bój się, jestem tutaj, mówiło. Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Ten drobny gest tak bardzo ją ucieszył, że na kilka chwil zapomniała, co tu właściwie robi.

Poszukiwania trwały już dobre trzy kwadranse, wreszcie zebrali się wszyscy i przysiedli na ławkach przeznaczonych dla ludzi uczestniczących w nabożeństwach lub dla zmęczonych turystów.

Nikt nie osiągnął żadnego rezultatu. Przygnębiające!

- Siedziałem i myślałem - zaczął Morten.

- Gratuluję! - docięła mu Unni. Sam się o to prosił.

Morten zachichotał, ale zaraz podjął:

- Wiecie, moja matka Sigrid była tutaj i ujrzała tu mnicha.

- Ależ nie, nie! - przerwał mu Antonio. - Musiała widzieć kogoś z rycerzy. Mnisi nigdy nie podchodzą tak blisko i zawsze pojawiają się gromadą.

- Czy Sigrid nie pisała, że on wyglądał na bardzo surowego? - spytała Unni. - Tacy właśnie są rycerze. Mnisi wyglądają na złych, wstrętnych i ohydnych.

Jordi potwierdził jej słowa skinieniem głowy. On najlepiej z nich potrafił odróżnić te dobre i złe siły.

- Rzeczywiście, opis bardziej pasuje do rycerza - zgodził się Morten. - Ale dlaczego go tu zobaczyła? Co on tu robił?

Jordi kiwnął głową.

- To bardzo rozsądne pytanie, Mortenie. Co ten rycerz tu robił?

- Prawdopodobnie to samo co ci, których Antonio i ja mieliśmy okazję kilkakrotnie spotkać - stwierdziła Unni. - Chciał jej coś przekazać. Chociaż oni nie mogą mówić. Może chciał ją pospieszyć, tak jak nas poganiają?

- Owszem, to możliwe - przyznał Jordi. - Ale dlaczego właśnie tutaj? Przecież w pobliżu było kilkoro innych dzieci, a on, nie zważając na to, po prostu się pojawił.

Unni próbowała śledzić tok rozumowania Mortena.

- Gdzie Sigrid się schowała?

- Tego nie wiemy - odparła Vesla.

- Owszem, wiemy - oznajmił Antonio. - Ukryła się za murem.

- Bardzo dziękuję - cierpko powiedziała Unni. - Te ruiny składają się w głównej mierze z murów. Masz coś inteligentniejszego do dodania, Antonio?

Ale i Jordi podchwycił ten pomysł.

- Kiedy ktoś przychodzi się tutaj bawić w chowanego, to gdzie staje ten, co kryje?

Zastanowili się.

- Na cmentarzu - orzekła wreszcie Gudrun. - Wtedy wszyscy pozostali mogą się schować gdziekolwiek wśród ruin.

Przeszli tam i stwierdzili, że ściana wieży musiała być najlepszym miejscem do krycia.

- Niewiele nam to daje - stwierdził Morten. - Do przeszukania pozostaje cały klasztor.

Unni rozglądała się wkoło.

- Chyba że... Czy twoja córka była inteligentna, Gudrun?

- Oczywiście - wtrącił się Morten. - Przecież to moja matka!

- Jasne - uśmiechnęła się Gudrun. - Sigrid miała dość oleju w głowie. A o czym myślałaś, Unni?

- O tym, czy Sigrid nie postąpiła wprost przeciwnie. Każdy by się spodziewał, że wszyscy schowają się w ruinach, prawda? Więc ona... może pobiegła w przeciwną stronę?

- Poza mury cmentarza? - zamyślił się Antonio. - No cóż, tam w każdym razie nie szukaliśmy. Trzeba by się kierować w stronę tych skałek. Damy temu pomysłowi jakąś szansę?

- Zaczekajcie chwilę - poprosiła Vesla. - Uważacie więc, że rycerz pokazał się tam, ponieważ Sigrid przypadkiem znalazła się w pobliżu dziennika Anne?

- Właśnie tak. Nie wiemy, czy rycerz wykonał jakiś ruch, czy dał znak. O tym Sigrid nie wspomina. Ale chodźcie, poszukamy! Każde z nas przyjrzy się fragmentowi muru. Sprawdźcie, czy nie ma w nim luźnych kamieni po zewnętrznej stronie.

Był to zaiste szalony pomysł. Ale co innego mogli zrobić?

Pamiętnik znalazła Vesla. Tkwił wetknięty w mur, schowany za kamieniem.

Wszyscy zebrali się dookoła dziewczyny.

Anne Hansen zmarła w roku 1933, w owym czasie nie było jeszcze plastiku. Kasetka z pamiętnikiem spoczywała owinięta w nasączone olejem płótno. Zaszczyt jej otwarcia przypadł Gudrun.

- Pismo da się odczytać - oznajmiła wzruszona. - Jeśli tylko zna się hiszpański.

- A tu się zna - oświadczył sucho Antonio.

Światło słońca zniknęło.

- Nadciąga mgła - powiedziała Gudrun z cieniem niepokoju w głosie. - Powinniśmy wrócić do domu, nim zanadto się zbliży. Czy możemy przejrzeć ten pamiętnik w domu? Bo... mamy chyba.... jeszcze jedną sprawę tu do załatwienia, czyż nie tak?

- Owszem - odparł Jordi. - Ale w tym wypadku, jak mi się wydaje, mgła będzie przyjacielem. Staniemy się jeszcze bardziej niewidzialni dla otaczającego nas świata.

Pozostałym przeszły ciarki po plecach, jak gdyby mgła wdarła się pod ubrania i chłodną, wilgotną ręką dotknęła ich ciał.

- Może wrócimy w obręb ruin - podsunęła zatroskana Gudrun.

Ale Jordi rozejrzał się dokoła.

- Nie, wydaje mi się, że ten duży, otwarty cmentarz to dobre miejsce. Co robimy? Morten, Unni, Antonio i ja powinniśmy się z nimi spotkać, ponieważ jesteśmy ich potomkami. Przypuszczam, że oni również bardzo chętnie poznają Gudrun i Vesłę, które tak wiele nam pomogły, ale jeśli ktokolwiek z was nie ma ochoty na to spotkanie, to od razu o tym mówcie.

To przecież szaleństwo, pomyślała Vesła gorączkowo. Kompletny obłąd! Zejdę do łodzi, nie chcę w tym uczestniczyć! Czy Jordi naprawdę sobie wyobraża, że ci rycerze zechcą tu przyjść? Czy on naprawdę wierzy w ich istnienie i próbuje nam to wmówić?

On twierdzi, że już widzieliśmy mnichów. To kłamstwo, ja żadnych mnichów nie widziałam. A ta zjawa w Widmowym Dworze? Ten szary upiór? Ja w każdym razie z nikim takim się nie zetknęłam. Trzymają się ich primaaprilisowe żarty. Do pierwszego kwietnia już niedaleko, tak więc...

No dobrze, ale czego właściwie się boję? Jeżeli nie widziałam żadnych szarych zjaw ani mnichów, to nie ujrzę również żadnych rycerzy, to przecież oczywiste. Jeśli sądzą, że pozwolę sobie wmówić obecność rycerzy, są w błędzie. Mogą sobie tutaj stać i udawać, ile tylko chcą, a ja i tak niczego nie zobaczę.

A to znaczy, że nie ma w tym absolutnie nic groźnego.

- Chętnie wezmę udział w spotkaniu z rycerzami - oznajmiła Gudrun. - Tyle jest pytań bez odpowiedzi, dotyczących losu moich najbliższych, i jeśli tylko mogę jakąś uzyskać, to będę zadowolona. Chcę dowiedzieć się czegoś o mojej teściowej, moim mężu, córce i wnuku.

- Spytam w twoim imieniu - obiecał Jordi. - Wy prawdopodobnie nie będziecie w stanie się z nimi komunikować, ale zadawajcie pytania, a ja „przetłumaczę” je na myśli.

Do diaska, pomyślała Vesla. Gudrun zostaje. W takim razie ja byłabym jedyną dezercerką. O, nie, to niemożliwe!

- Czy wolno mi będzie trzymać Antonia za rękę? - spytała cierpko.

Antonio z uśmiechem natychmiast ujął jej dłoń.

- Brakuje nam dwóch osób - zauważyła Unni.

Popatrzyli na nią pytająco.

- Flavii i Pedra - wyjaśniła. - Frekwencja byłaby stuprocentowa.

- Owszem - odparł Jordi. - Niestety, mało jest nas, osób, którym rycerze mogą zaufać. Ale oni znają Flavię i Pedra, zostali sobie przedstawieni już jakiś czas temu w Hiszpanii.

- I wszystko poszło dobrze? - spytała wciąż nieprzekonana Vesla.

- Bardzo dobrze. Możesz więc być całkiem spokojna. Tych pięciu rycerzy rozpaczliwie nas potrzebuje, choć oczywiście żaden z nich się do tego nie przyzna. Są dumni nawet po śmierci.

- To prawda - rzekł cierpko Antonio. - I to jeszcze długo, długo po śmierci.

Jordi ich opuścił. Mgła rzeczywiście nadciągała nad wyspę. Z początku pojawiły się delikatne białe obłoczki, które następnie zbiły się w lekką masę. Nie wiedzieli, co Jordi zrobił, aby przyzwać rycerzy, nagle jednak Vesla mocno szarpnęła ręką Antonia. Mortenowi, który usiadł oparty o mur, ktoś pomógł wstać. Zarówno Vesla, jak i on szepnęli: „Nie”.

Spośród mgły wyłoniły się wielkie cienie. Jordi prędko podszedł do przyjaciół, a Unni przysunęła się do niego o krok. Na wszelki wypadek. Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi.

Poruszając się bezszelestnie, pojawiły się czarne wierzchowce. Jeźdźcy również byli cali w czerni. Kaptury opończy mieli zarzucone na głowy. Unni nie śmiała odetchnąć.

Wśluchiwała się w drżący oddech Vesli, patrzyła, jak dłonie Gudrun zaciskają się nerwowo. W jednej chwili Unni zrobiło się okropnie żal Mortena. Ona mogła snuć marzenia o Jordim, Vesla i Antonio wydawali się bardzo bliskimi przyjaciółmi, Morten natomiast nie miał nikogo. Owszem, babcię, lecz to przecież nie to samo. A Morten był osobą, której naprawdę przydałby się w tej chwili przyjaciel. Unni złapała go więc za rękę, żeby pokazać, że jest przy nim. On jednak niezbyt dobrze ją zrozumiał, bo szepnął:

- Nie ma się czego bać, przecież wszyscy jesteśmy przy tobie!

Dziękuję, pomyślała z goryczą. Nie było czasu na to, by wyprowadzać chłopaka z błędu, ale prędko puściła jego dłoń.

Rycerze zatrzymali się przed nimi. Zsiadli z koni i podeszli bliżej. Stanęli jednak w pewnej odległości, jak gdyby nie chcieli bratać się zanadto z ludźmi stojącymi niżej od nich w hierarchii.

Z tego akurat Unni bardzo się cieszyła, bo bezpośredni kontakt z upiorami nie zaliczał się do najprzyjemniejszych. Rycerze zresztą wyglądali dość strasznie, na ich ciałach wyraźnie znać było ślady, pozostawione przez narzędzia tortur.

Jordi, jak należało, przedstawił najpierw tych niższego stanu. Mówił po hiszpańsku, Antonio zaś ściszym głosem tłumaczył wszystko bardzo szybko.

- Szlachetni rycerze, pozwólcie, że przedstawię wam najpierw mego brata Antonia.

Antonio wystąpił naprzód i powitał ich uprzejmie.

Najwyraźniej pomiędzy rycerzami trwała jakaś rozmowa w myślach, bo Jordi tym razem odezwał się po norwesku.

- Mówią, że znają Antonia i że on się nadaje.

Następnie Jordi wyjaśnił, kim jest Morten. Okazało się, że rycerze jego również znali. Nie tracąc nic ze swego dostojństwa, użalali się nad jego wypadkiem.

Nadeszła kolej Unni. Dziewczyna wystąpiła w przód o kilka kroków i ukloniła się najładniej jak umiała.

Rycerze pokiwali głowami, lecz nic nie powiedzieli.

Następnie przedstawione zostały Vesla i Gudrun, a rycerze mieli kilka pytań na ich temat. Gudrun jako osoba wplątana w tragedię rodu wzbudziła widać ich zaufanie, co do Vesli natomiast okazywali większą niepewność. Jordi musiał ją bardzo chwalić, opowiadał o doskonałej opiece, jaką roztoczyła nad Mortenem, i o tym, jak bardzo pożyteczna jest dla nich osoba znająca się na pielęgnacji chorych.

„Czarownica?” - przesłali ostrą myśl prosto do mózgu Jordiego.

- Nie, nie - odparł. - W dzisiejszych czasach zajmowanie się chorymi i rannymi to wysoce poważane zajęcie.

Chociaż kiepsko płatne, dodał w duchu, lecz akurat tej myśli nie posłał dalej.

Rycerze sprawiali wrażenie nieco sceptycznych, zgodzili się jednak na obecność Vesli, przynajmniej na razie.

Miękkie kłębki mgły zbierały się wokół wieży, od czasu do czasu ją odsłaniając. Gudrun była niespokojna. Nie lubiła pływać motorówką, nie mając pewności, czy przypadkiem inne łodzie nie podążają tą samą drogą.

Teraz nadeszła kolej rycerzy na prezentację.

Tym razem wszystko odbyło się o wiele uroczyściej. Wyraźnie było widać, że ci panowie traktują siebie samych z wielką powagą.

Najpierw najstarszy.

Ten był naprawdę stary. Gdyby nie fakt, iż już nie żył, Unni gotowa byłaby przysiąc, że jego dni są policzone, a życie wisi na włosku, i to cienkim jak nitka pajęczyny. Rycerz ten miał najbardziej przerażającą twarz z nich wszystkich, gdyż poza śladami męczeństwa - przesłoniętymi bielmem oczami, przezroczystą szarobiałą skórą i ranami zadanymi podczas tortur - dodatkowe bezlitosne ślady pozostawiła na jego obliczu starość.

- Nie jestem do końca pewien ich tytułów szlacheckich - poinformował Jordi. - Niektórzy są wyżsi stanem od innych, lecz ustaliliśmy, że będę się do nich zwracał „don”, co z mojej strony będzie oznaką szacunku. Tyle wystarczy, w każdym razie na to się zgodzili. Drodzy przyjaciele, pozwólcie, że przedstawię wam pierwszego z rycerzy. Oto don Federico de Galicia.

Hiszpański arystokrata niezwykle wysokiego stanu był tak dostoyny, że niemal padli przed nim na kolana. No, może nie dosłownie, lecz nigdy jeszcze nikogo nie witali z większym szacunkiem.

Jordi wyjaśnił:

- Jego potomkiem jest Pedro, który mieszka w Hiszpanii.

Teraz wystąpił jeden z rycerzy w średnim wieku, a Jordi oznajmił:

- Don Galindo de Asturias.

Przed nim również wykonali głęboki ukłon. Popatrzył na nich z ponurą miną, lecz w końcu zaakceptował niezgrabne i dość nowoczesne powitanie.

Następny:

- Don Garcias de Cantabria.

Każdy z rycerzy witany był z takim samym szacunkiem, co najwyraźniej sobie cenili, choć bardzo się starali, by tego nie okazać.

- Don Sebastian de Vasconia!

- Ach, my już się kiedyś spotkaliśmy! - wykrzyknęła Unni z zachwytem.

Rycerz uśmiechnął się pod nosem i zaraz Jordi znów musiał służyć za tłumacza.

- On mówi, że jesteś jego potomkinią, Unni.

- Naprawdę? To dla mnie wielki zaszczyt, *senor*.

Ojej! Może nie odezwała się do niego z dostatecznym szacunkiem? Gdy jednak Jordi przetłumaczył jej słowa, don Sebastian wyglądał na zadowolonego.

Jordi odwrócił się do Unni.

- On mówi, że pragnęli oszczędzić cię tak długo, jak się dało, i dlatego nie bardzo im się podobało, kiedy wciągnąłem cię w tę historię jako dziewczynę Mortena. Teraz są zdania, że dobrze się stało. Od dawna już są bardzo zadowoleni z twoich osiągnięć.

- Ojej! - westchnęła Unni, osłabła ze wzruszenia. - Dziękuję.

A potem znów się ukloniła swemu przodkowi i wszystkim pozostałym.

- Vasconia? - zamyślił się Antonio. - To znaczy obecny Kraj Basków. Zgadza się. Właśnie Baskowie na dużą skalę emigrowali do Chile.

I znów chwilę potrwało tłumaczenie. Rycerz pokiwał głową, wyglądał na nieco zasmuconego losem swego ludu.

Jordi uśmiechnął się półgębkiem.

- Wiem, że jeszcze bardziej namieszam wam w głowach, ale muszę wam powiedzieć, że Unni pochodzi ze stolicy Chile, Santiago de Chile. Z ubogich dzielnic tego miasta.

- Ach, nie! - jęknął Morten. - Dość już tych Santiago!

Rycerze nie mówili nic podczas całego spotkania. Ich kroków na zeschniętej trawie nie było słychać. Konie niespokojnie rzucały łbami i uderzały kopytami o ziemię, ale robiły to w sposób bezgłośny. Tę niezwykłą, przerażającą ciszę ludzie zapamiętali na długo.

A więc jestem Baskijką, pomyślała Unni. Muszę się do tego przyzwyczaić.

Podoba mi się ta myśl. Przynajmniej dopóki nie będę się mieszać w politykę.

Nadeszła kolej na ostatniego rycerza. Najmłodszego.

- Don Ramiro de Navarra - obwieścił Jordi. - Jest to, moi przyjaciele, przodek Antonia, Mortena i mój.

- To znaczy, że Asturia i Kantabria nie mają już potomków?

- Niestety. A potomkowie Galicji wymrą wraz z Pedrem.

Nagle Unni się rozjaśniła.

- Zaczekajcie chwilę! Wydaje mi się, że mam rozwiązanie przynajmniej jednej z tych wielu zagadek! Te litery na herbie. G A C V N.

- Co z tymi literami? - spytał Morten.

- Galicia, Asturias, Cantabria, Vasconia i Navarra!

- Brawo, Unni! - pochwalił dziewczynę Antonio, w czasie gdy Jordi tłumaczył to rycerzom. - A teraz ja chciałbym coś dodać. To wszystko są stare hiszpańskie królestwa, obszary wokół Zatoki Biskajskiej. Zaraz narysuję wam to schematycznie. Przynajmniej tak, jak wyglądają dzisiaj. Asturia (dawniej Asturias) była w owych czasach o wiele większa.

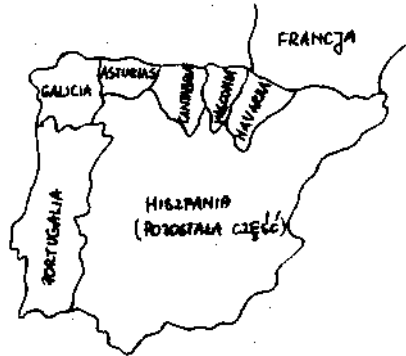
Znalazł pustą kartkę w swoim kalendarzu i zaczął szkicować.

- Czy to są królowie? - szepnęła Vesla.

- Nie, rycerze. Niektórzy z nich mają jednak zapewne królewskich przodków. A jaki tytuł ma don Federico z Galicji, boję się nawet zgadywać. Mógł być nawet pretendentem do tronu, ale o tym porozmawiamy później.

- No tak, bo te królestwa nie istniały już chyba nawet w piętnastym wieku? - pytała Gudrun.

- Przynajmniej niektóre z nich. Oto mój szkic.



Na razie przelotnie spojrzeli na mapkę. Jordi zakończył już rozmowę z rycerzami i teraz wszyscy przysłuchiwali się jego tłumaczeniom.

- Proszę o wybaczenie wszelkich cierpień, jakie ściągnęli na swych potomnych.

- Przecież wiemy, że to nie była ich wina - pocieszyła Unni. - To czarnoksiężnik Wamba i mnisi odpowiedzialni są za tę tragedię, która, jak się wydaje, nigdy nie będzie miała końca.

- Uczynimy wszystko, by wreszcie położyć jej kres.

Jordi sprawiał wrażenie, jakby chciał coś jeszcze dodać, lecz uznał, iż najlepiej będzie jednak milczeć. I tylko przetłumaczył rycerzom to, co mówili jego przyjaciele.

On jest taki przystojny, taki spokojny i opanowany, nawet podczas tej niezwyklej sceny, stwierdziła Unni. Z każdym dniem, jaki dane im było spędzić razem, darzyła Jordiego coraz większą sympatią. Miała wrażenie, że miłość wypełnia jej serce, jednocześnie zaś piersi rozsadzał smutek i żal, bo jakże inaczej mogło się dziać w tej niezwykle trudnej, beznadziejnej wręcz sytuacji.

Jordi znów zwrócił się do przyjaciół:

- Rycerze dziękują za waszą wolę współdziałania. Szczególnie wdzięczni są dwóm osobom stojącym z boku, Vesli i Gudrun, za to, iż nie brak im odwagi, by się zaangażować w tę sprawę.

Vesla poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Wiedziała, że teraz, usłyszawszy takie słowa, już całkiem przepadła. Gotowa była uczynić dla nich wszystko, dla nich, a przede wszystkim dla Antonia.

- Zaraz, zaraz, czy rycerze się wycofują? - wykrzyknęła nagle Unni.

- Tak mi się wydaje - odpowiedział Jordi.

- Ale ja mam jeszcze kilka pytań!

- Słucham.

- Po pierwsze: gdzie się podziewali rycerze tej zimy, kiedy wyglądało na to, że zapadli się pod ziemię?

Niezbyt trafne wyrażenie, przecież właśnie tam, w ziemi, było ich miejsce.

Jordi przekazał pytanie, chociaż zdawało się, że sam byłby w stanie na nie odpowiedzieć.

Przez chwilę musieli czekać w milczeniu.

Wreszcie Jordi rzekł:

- Przebywali w Hiszpanii, gdzie, jak sądzili, są bardziej potrzebni, lecz tam, jak się okazało, nie było aż tak źle.

- A dlaczego mieli się przydać właśnie tam?

- Leon ma w Hiszpanii swoich pomocników, Pedro zaś przesłał rycerzom za moim pośrednictwem wiadomość o tym, że jego sprzymierzeńcy zanedbali się zbliżyli do zapalnego punktu. Okazało się jednak, że znaleźli się w pobliżu jedynie za sprawą przypadku.

Mieli świadomość, że muszą się teraz spieszyć. Unni prawie zachłysnęła się słowami:

- Dlaczego dziadek Mortena umarł w takim przerażeniu? I kto wyrzył znaki nad drzwiami pokoju zmarłych?

Jordi przekazał pytanie i wkrótce znów odwrócił się do Unni:

- Mnisi. Oni się pojawiają w momencie śmierci.

„A w jaki sposób tobie udało się od tego wywinąć?” - miała Unni na końcu języka, ale na to Jordi mógł przecież sam odpowiedzieć później.

- Ostatnie pytanie: Kilkakrotnie wspomniano o tym, że istnieje pewne miejsce... gdzie nikt nie chodzi.

Teraz jednak rycerze gwałtownie zawrócili i dosiedli koni. Wkrótce potem zniknęli we mgle.

Zapadła cisza.

- Chyba nie zadałaś zbyt mądrego pytania, Unni - powiedział Jordi cicho.

- Wiem, żałuję, że mi się wyrwało. Przepraszam. Ty też masz prawo czuć się dotknięty, ponieważ to ty zdradziłeś, że jeden z rycerzy omal się nie wygadał. Ale oni sami o tym wspomnieli, prawda? Mówili o jakimś punkcie zapalnym. Tak czy owak, bardzo mi przykro, że do tego doszło. Myślisz, że się rozgniewali?

- Raczej postanowili być bardziej ostrożni. No, ale zabierajmy się stąd, zanim mgła całkiem nas nie obezwładni.

Skierowali się ku brzegowi. Podczas spotkania z rycerzami nerwy mieli tak napięte, że dopiero teraz zrozumieli, co naprawdę przeżyli.

Unni i Vesla szły razem szeroką, wykładaną kamieniami ścieżką. Z początku wędrowały w milczeniu, ale po dłuższej chwili Vesla odezwała się drżącym głosem:

- To bardzo dziwne. Na początku Jordi wydawał mi się brzydki i przerażający, teraz natomiast uważam go za bardzo pociągającego. Podoba mi się zwłaszcza ten jego łagodny uśmiech. Jest wtedy taki... Wygląd właściwie znaczy tak niewiele, to charakter człowieka przydaje mu piękna.

Witaj w klubie, pomyślała Unni z pewną goryczą. Pokiwała jednak tylko głową, przyznając Vesli rację.

- Wiesz co, Unni? Kilka razy miałam wrażenie, że serce mi stanie. To było takie nierzeczywiste, nie przypuszczałam, że takie rzeczy mogą się zdarzać. Czułam się trochę tak, jakby ta mgła zamykała nas w innym, tajemniczym i zakętym świecie, który tak naprawdę nie istnieje.

- Wyrażasz dokładnie to, co i ja odczuwałam, Veslo!

- Dzięki Bogu, że był z nami Jordi. On ma w sobie prawdziwą siłę. A jego brat jest taki... taki...

- Wiem, wiem, Veslo - uśmiechnęła się Unni. - Życzę ci powodzenia!

Vesla uśmiechnęła się nieco zażenowana.

- Z początku sądziłam, że coś cię z nim łączy, a potem nie mogłam pojąć, że wybrałaś Jordiego. Teraz rozumiem to znacznie lepiej i cieszę się, że i mnie dałaś szansę.

- Antonio to rzeczywiście nadzwyczajny chłopak.

- O, tak, to prawda - westchnęła Vesla. - Tylko dzięki obecności Antonia i Jordiego w ogóle zdołałam przeżyć. Wiesz, teraz mam takie wrażenie, jak gdyby to spotkanie nigdy się nie odbyło.

- Może rzeczywiście najlepiej tak myśleć - powiedziała Unni.

Sama natomiast wiedziała, że nigdy o tym nie zapomni.

Unni siedziała skulona na ławeczce nad silnikiem. Niewidzącymi oczyma wpatrywała się we mgłę, myślami błądziła gdzieś daleko. Łzy płynęły jej z oczu, a ona tego nie zauważała.

Gudrun bardzo powoli i ostrożnie sterowała motorówką. Łódka posuwała się z najmniejszą możliwą prędkością. Od czasu do czasu Gudrun włączała syrenę przeciwmgielną, choć może raczej należałoby powiedzieć: ochrypli gwizdek.

Poczuwszy nagły chłód, Unni zorientowała się, że Jordi usiadł koło niej. Zrobiła mu miejsce, ławeczka bowiem nie była przeznaczona dla dwóch osób.

Jordi patrzył na nią z boku.

- Nie było aż tak źle, droga Unni. Rycerze, zdaje się, bardzo cię lubią. Na pewno ci wybaczą.

- Ale czy wybaczą tobie? Muszą chyba zrozumieć, że wspomniałeś o tym tajemniczym miejscu.

- Jakoś się to ułoży. Popełniałem już gorsze błędy i popadałem w niełaskę, ale to prędko mija.

Unni pociągnęła nosem.

- Przykro mi nie tylko z powodu mojej gafy. Tyle smutnych rzeczy się wydarzyło. Z tobą, z nami wszystkimi. A ta kwestia adopcji i tego, że pochodzę z Chile, naprawdę zbiła mnie z nóg, Jordi. Przestałam być sobą.

Jordi delikatnie pogładził ją po włosach, a Unni wtuliła się w jego dłoń. Była tak zimna, że ten chłód aż zmroził jej skórę, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Jordi wyznał teraz, że właśnie rycerze doprowadzili do tego, by Unni z Chile trafiła w pobliże Mortena. A więc wszystko zostało ułożone.

- Świat wydaje mi się teraz taki obcy - poskarżyła się Unni. - U rodziców czułam się bezpieczna. Często zajmowaliśmy się badaniem naszego drzewa genealogicznego, mój ojciec i ja. I zawsze tak bardzo się cieszyliśmy, kiedy udawało nam się dotrzeć do kolejnego pokolenia wstecz. Dlaczego on mi nic nie powiedział, Jordi?

- Zapewne uważał cię za swoje rodzone dziecko.

- Owszem, to bardzo pięknie z jego strony, ale niesłuszne. Chcę wiedzieć, kim jestem. I spróbuję dotrzeć do jakichś informacji o rodzinie mojej matki.

- To możesz zrobić. Ale ty nie musisz postępować tak jak my trzej, to znaczy cofać się przez kolejne pokolenia. Odnalazłaś już swego przodka, to don Sebastian z Vasconii.

- Wy też znaleźliście swojego. Tego z Nawarry.

- Tak, don Ramiro. Ale musimy się dowiedzieć, dlaczego to wszystko się dzieje. A po naszym drzewie genealogicznym łatwiej się wspinać niż po twoim.

Rzeczywiście, z tym musiała się zgodzić. Dotarcie do slumsów Santiago de Chile, a następnie powrót do Hiszpanii i tak dalej - to potrwałoby całe wieki, zwłaszcza że mogło chodzić o bardzo wiele pokoleń, zważywszy na to, iż liczące się osoby umierały w wieku dwudziestu pięciu lat. To dawało cztery pokolenia na każde stulecie, licząc od piętnastego wieku.

- Głowa do góry, Unni! I pamiętaj, masz swoich norweskich rodziców, którzy cię ubóstwiają. Antonio i ja straciliśmy niestety rodziców dawno temu, a na dodatek nie mamy żadnych krewnych.

No tak, ale Antonio miał ciebie, pomyślała z czułością. Dawno już zrozumiała, dlaczego Antonio tak pielęgnował wspomnienie starszego brata. Ach, cudowny Jordi!

Gdyby tylko był trochę cieplejszy! Trzęsła się z zimna, kiedy siedzieli tak blisko siebie.

- Zdaje mi się, że myślę wyłącznie o sobie - powiedziała z żalem. - Wam było oczywiście o wiele ciężiej. Ale Morten ma przynajmniej Flavię, no i Gudrun, swoją babcię. Jordi... To pytanie miałam zamiar zadać rycerzom, ale się wycofałam...

- Tak?

- Powiedzieli, że to mnisi zbliżyli się w chwili śmierci do dziadka Mortena i śmiertelnie go przerazili. Z tego, co rozumiałam, podobnie rzecz się miała i z innymi. Poza tym mnisi zadawali swoim ofiarom tuż przed śmiercią ulubione tortury. Jak to możliwe, że ciebie puścili wolno?

Gwizdek zawył ochryple. Łódź wolno sunęła naprzód.

Ręka Jordiego kurczowo zacisnęła się na ramieniu dziewczyny.

- Nie wiemy dokładnie, co oni robią. I właśnie to najbardziej mnie przeraża, Unni. Mnisi puścili mnie wolno, oni... uznali, że już nie żyję.

Chłód zmroził serce Unni.

- To znaczy, że ty... im zniknęłaś?

- Chyba tak, tak właśnie musiało się stać.

- A więc oni tam byli? Przy twoim łóżu śmierci?

- Ja ich widziałem, z bliska są straszni, wręcz obrzydliwi. Ich nieskrywana nadzieja i radość, że mnie dopadną, była wprost odpychająca. Słyszałem już zgrzyt koła do łamania kości i ławy do rozciągania. Dochodziły mnie też krzyki z oddali. Ale mnie nie dosięgnęli. Od tej pory mnie szukają, no i teraz mnie odnaleźli.

Unni ujęła go za rękę i uściśniła w niemal desperackim geście. Rozumiała jego lęki. Mnisi nie mogli go dosięgnąć, bo on już nie żył.

Czy to znaczy, że trafił do świata zmarłych?

Unni miała wrażenie, że cała aż kurczy się z żalu. Robiła się coraz mniejsza i mniejsza, jak gdyby chciała pozbyć się tej strasznej myśli.

Wyprostowała się i wciągnęła głęboki oddech, pragnąc zdławić płacz rozsadzający pierś.

- Jeszcze jedno, Jordi. Kiedy powiedziałam, że to nie rycerze ponoszą winę za cierpienie swoich potomków, lecz Wamba i mnisi, chciałeś coś dodać, ale to przemilczałeś. Co ci wtedy przyszło do głowy?

- Ach, o to chodzi? Uznałem, że nie warto irytować rycerzy, lecz moim zdaniem wina w dużym stopniu leży po ich stronie. Oni, łagodnie mówiąc, starli się z wyższymi mocami, zarówno ziemskimi, jak i kościelnymi, i kara, jaka ich za to spotkała, była nieludzko ciężka.

- Ale co oni zrobili?

- O tym właśnie nie mogą nam powiedzieć.

- Tak samo jak o tym miejscu, gdzie nikt nie chodzi. I o wielu innych rzeczach. Czy mamy zakładać, że popełnili przestępstwo na tle politycznym?

- Pewnie bardziej politycznym niż religijnym. Ale w tamtych czasach kościół był tak mocno spleciony z państwem, że być może nie da się tego rozgraniczyć.

- No tak, tyle jest tych zagadek... Och, ale co to?

Gudrun coś wołała. Łódź wykonała nagły skręt w bok, lecz za późno.

Z mgły wyłonił się wielki jacht, pędzący wprost na nich. Nie podejmując nawet próby zatrzymania się lub wyminięcia, uderzył prosto w bok niedużej motorówki.

Unni usłyszała jeszcze swój własny krzyk, wylatując za burtę razem z Jordim i Antoniem, który również znajdował się na pokładzie.

Ale Gudrun i Morten byli w kabinie, a Vesla akurat tam zmierzała, żeby zrobić chłopakowi zastrzyk. Szła właśnie po schodach, gdy uderzyła w nich wielka łódź.

Unni z wielkim trudem zdołała przedrzeć się na powierzchnię wody. Akurat w porę, by zobaczyć, jak jacht znika we mgle.

Z rufy wykrzywiła się do niej triumfująca twarz.

- To Leon! - usłyszała przesycony goryczą głos Antonia.

Lodowata woda paraliżowała, chociaż Unni powinna już być zahartowana, długo wszak siedziała w pobliżu Jordiego. Woda wdzierła się do gardła, tamowała oddech. I ta głębia, która wciągała, ubranie bardzo ciążyło...

A gdzie reszta?

- Uderzyłaś się, Unni? - zawołał Jordi gdzieś w pobliżu.

- Nie, dałam sobie radę. A ty? - Zakrzuszyła się i zakaszła.

- Ze mną w porządku, z Antoniem także.

- To dobrze, a co z łodzią? I tamtymi trojgiem?

Odwróciła się.

Rufa motorówki zniknęła, została oderwana. Część dziobowa unosiła się na wodzie stępką do góry.

Ale jak długo zdoła utrzymać się na powierzchni?

- Myślisz, że oni ciągle tam są?

- Musimy to sprawdzić.

Trzeba usunąć wodę z płuc i nie wolno zeszywnieć.

Jakie to trudne! Unni oparła się intensywnej pokusie wczepienia się w Jordiego. Usiłowała zachować spokój.

Antonio już nurkował koło łodzi i Jordi zaraz poszedł w jego ślady. Unni została sama na powierzchni wśród oślepiającej mgły. Widziała jedynie wrak łodzi. Próbowwała wołać o pomoc, ale z gardła wydobyło jej się tylko charczenie.

Wszyscy najbardziej się bali o Mortena. Jak on sobie da radę?

Najważniejsze w tej chwili było odnalezienie przyjaciół.

Podczas zderzenia Vesła została rzucona z powrotem do kabiny. Poleciała na stół i mocno uderzyła się w bok. Łódź się obróciła i woda runęła do środka, jak wydawało się dziewczynie, ze wszystkich stron.

Tchu jej zabrakło, połknęła wodę, w końcu jednak zacisnęła wargi. Zdążyła jeszcze zobaczyć przerażone oblicze Gudrun, z którego woda obmywała krew, później zaś Vesła po omacku usiłowała odnaleźć Mortena.

Nie musiała wcale tego robić, bo on ciężko upadł na nią.

Boże, ratuj! Dopomóż nam, nie jestem w stanie dłużej wstrzymać oddechu, nie mogę się stąd wydostać, zresztą nie wolno mi zostawić Mortena i rannej Gudrun. Sama chyba też jestem ranna. Toniemy...

Nie, wcale nie. Leżymy stępką do góry, ale utworzyła się poduszka powietrzna, w której możemy oddychać.

- Ratunku! - zawołała, wyciągając jednocześnie Gudrun, tak by przynajmniej jej głowa znalazła się nad powierzchnią wody. Postarała się też obrócić Mortena we właściwą stronę, ale on był ciężki, a ją piekielnie zakłuło w boku.

Złamane żebro, postawiła diagnozę pielęgniarka Vesła akurat w chwili, gdy zjawił się Antonio. I całe szczęście, wiedziała bowiem, że trzeba się spieszyć. Dziób nie zdoła długo utrzymać się na powierzchni.

- Bierz najpierw Mortena! - zawołała Gudrun. - Pociągnij go w górę po schodach... to znaczy raczej w dół. Ach, Boże!

Antonio już zdążył podnieść nieprzytomnego chłopaka i wycisnąć wodę z jego płuc. Potem przekazał go Jordiemu, który wpłynął pod łódź razem z nim, a następnie oddał pod opiekę Unni. Pokazał jej, jak powinna go trzymać.

- Musimy się spieszyć. Leon zaraz powróci. Widział nas w wodzie, a na pewno nie życzy sobie, by ktokolwiek z nas przeżył. Chwyć się mocno łodzi, tylko uważaj, żeby cię nie wciągnęła pod wodę!

- Ale co my ze sobą zrobimy? Gdzie jest ląd? - zawołała Unni ogarnięta paniką.

- Nie wiem. Pilnuj go, dopóki nie wrócimy!

Jordi znów zniknął. Unni z ogromnym wysiłkiem starała się utrzymać Mortena ponad powierzchnią wody, jednocześnie starając się nie puścić burty łodzi. Woda była wprost paralizująco zimna. Organizm przeżywał wstrząs, Unni przez cały czas starała się poruszać nogami, lecz już była wycieńczona.

Jordi pojawił się zaraz znów razem z Gudrun, dość silnie zamroczoną po uderzeniu w skroń. Tym razem Jordi już został, by pomóc Gudrun, miał też ze sobą koło ratunkowe, którego Gudrun mogła się przytrzymywać, brakło jej bowiem sił na to, by przełożyć przez nie rękę i głowę. Zresztą czas nie pozwalał na zbędne próby, wszystko musiało odbywać się bardzo szybko.

Wkrótce potem na powierzchnię wypłynął Antonio razem z Veslą. Unni po twarzy przyjaciółki poznawała, że coś ją boli przy każdym ruchu.

Na szczęście jednak wszyscy znaleźli się na powierzchni.

- Gudrun, gdzie jest ląd? - powtórzyła Unni. Szczękała zębami tak mocno, że trudno jej było wymawiać słowa.

- Byliśmy już stosunkowo blisko brzegu - odparła Gudrun zdezorientowana. - Musi być...

Słuchali.

- Halo? Ratunku! - wołał Antonio.

- W pobliżu nie ma żadnych domów - powiedziała Gudrun. Pozostałym jednak wydało się, że usłyszeli jakby słabe echo, zaczęli więc płynąć w tamtym kierunku.

Było naprawdę ciężko. Jordi zastąpił Unni przy Mortenie i poprosił, by za niego zajęła się Vesła. Była to dla dziewczyny wielka ulga, gdyż Vesła przynajmniej nie straciła przytomności, choć odczuwała ból tak wielki, że nie dawała rady płynąć samodzielnie.

Antonio zajął się Gudrun, lecz starał się pomagać wszędzie tam, gdzie było to konieczne.

Jordi nie bez lęku patrzył na Unni, która oddychała z trudem. Była całkowicie wyczerpana, a na domiar złego miała na nogach ciężkie, sznurowane buty.

Nie zdążyli pokonać zbyt dużej odległości, kiedy usłyszeli głęboki ryk silnika.

- To jacht - stwierdził Antonio. - Nurkujcie!

Gudrun musiała puścić koło ratunkowe, Antonio pociągnął ją za sobą w głąb. Unni, która miała zanurkować wraz z Vesłą, dopiero teraz spostrzegła, że przyjaciółka ciągnie coś za sobą w jednym ręku. Jakiś koszyk z pokrywą? Lodówkę turystyczną? Nic dziwnego, że tak ciężko z nią się poruszać.

- Puść to! - zażądała Unni nerwowo.

- Nie - sprzeciwiła się Vesła. Ale dał się słyszeć jedynie bulgot, ponieważ w tym momencie Unni wciągnęła ją pod wodę.

No, przynajmniej uda nam się zejść dostatecznie głęboko, pomyślała Unni w desperacji. Ta torba pociągnie nas na samo dno.

Bardzo się jednak niepokoiła. Wszyscy byli wycieńczeni i wystraszeni na granicy paniki. W jaki sposób Jordi miał nie dopuścić do tego, aby nieprzytomny Morten nie nabierał do ust wody?

Jeśli oczywiście był tylko nieprzytomny. Może już...

Nie, nie chciała nawet o tym myśleć.

Poprzez wodę docierał do nich ryk silnika jachtu. Słysząc było, że przepływa w pobliżu i że najprawdopodobniej zniszczył resztki mniejszej łodzi.

Unni miała wielkie kłopoty z Veslą, która przed zanurkowaniem nie zdążyła złapać dostatecznej ilości powietrza i teraz rozpaczliwie próbowała wydostać się na powierzchnię.

Było na to jednak zbyt wcześnie, jacht wciąż krążył w pobliżu.

Ale torby Vesla nie chciała puścić.

Co ona, na miłość boską, może w niej mieć?

No, teraz niebezpieczeństwo powinno już minąć, przynajmniej na moment. Unni zebrała siły i obie przecięły powierzchnię, chłonąc wytęsknione powietrze.

Antonio i Gudrun też już się wynurzyli, nie było natomiast Jordiego i Mortena. Unni i Antonio współdziałali bez słów, dziewczyna wolną ręką chwyciła Gudrun za kołnierz, a Antonio zanurkował.

Nie pojawiał się niepokojąco długo, Unni zdążyła odmówić kilka modlitw, nim wreszcie ukazali się na powierzchni. Wszyscy trzej.

Jordi ledwie był w stanie mówić.

- On... ocknął się... pod wodą. Zaczął się wyrwać i w końcu mu się udało. Pewnie się przestraszył... poszedł na dno. Dziękuję ci, Antonio, nie byłem na to przygotowany.

- Widzę już łódź - oznajmiła Gudrun, która wyraźnie traciła resztki sił. - Chyba prąd nas przyniósł.

Unni nie usłyszała ostatnich słów. Jej ciało sparalizował chłód, poddała się.

Czyjaś dłoń złapała ją za ramię i podciągnęła do góry. Nic mnie to nie obchodzi, pomyślała. Chce mi się tylko spać. I to spać na zawsze.

Tego jednak zrobić nie mogła, Jordi na to nie pozwolił.

Przez kilka minut leżeli na brzegu, Unni zachłysnęła się wodą, podobnie Morten. Kiedy wszyscy już się wykaszleli i odzyskali w miarę normalny oddech, Antonio powiedział:

- Ogromnie mi przykro, że straciłaś łódź, Gudrun.

- To nie ma żadnego znaczenia. To była stara zdezelowana łódź, którą wożono kiedyś turystów pomiędzy Selje a klasztorem, a mnie udało się ją tanio kupić. Za to wysoko ją ubezpieczyłam. Kupię sobie nową, ładniejszą. Jeśli w ogóle będę miała jeszcze na to ochotę. Gorzej z torbą z dokumentami i w ogóle. Ale zupełnie nie pojmuję, jak oni mogli nas znaleźć?

- Dzięki syrenie przeciwmgielnej. Przecież ona nieustannie wołała: „Jesteśmy tutaj”. Nie wiemy przecież, od jak dawna nas śledzili.

- No a ten jacht? - spytał Jordi. - Skąd go wzięli?

- Widziałem, że cumował w Selje - odpowiedział mu brat. - A Leon jest mistrzem w pożyczaniu rozmaitych rzeczy bez wiedzy właściciela.

- Vesla - ledwie wydusiła z siebie Unni. - Co ty masz w tej lodówce? Kanapki?

Wycieńczona Vesla mogła wreszcie pozwolić sobie na uśmiech.

- Zdążyłam złapać torebki, Gudrun i moją. Ty nie miałaś torby, Unni.

- Hura! - wykrzyknęła Gudrun.

- Nie myślałaś chyba, że mogę sobie pozwolić na utratę mojej drogiej szminki z Paryża - powiedziała Vesla, trzęsąc się z zimna. - Ale jest jeszcze coś ważniejszego.

- Co takiego?

Vesla z dumą wyjęła ze swojej torebki owinięty w płótno pamiętnik, który znaleźli na Selji.

- Dziennik Anne Hansen, bardzo proszę.

- Veslo, jesteś genialna! - uradował się Antonio.

- Wiem o tym - odparła nieskromnie.

Nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem. Uczucie ulgi wyzwoliło gwałtowną reakcję, rozpaczliwy śmiech.

Przemoczeni, przemarznięci, wycieńczeni tak, że aż rwało w płucach, pokaleczeni leżeli albo siedzieli na ziemnej skalistej plaży i tylko się śmiali.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że wśród tego śmiechu momentami dało się też słyszeć płacz.

CZEŚĆ CZWARTA
CHIŃSKA SZKATUŁKA

- Co teraz zrobimy? - spytała Unni.

- Antonio i ja musimy przyjrzeć się obrażeniom - powiedziała Vesla.

- To prawda - przyznał Antonio. - Ale ty sama jesteś ranna.

- Jakoś sobie z tym poradzę.

- Gudrun, nie możemy zostać u ciebie w domu. Ty także nie możesz tam przebywać.

Tylko dokąd pójdziemy?

Gudrun wyglądała na straszliwie zmęczoną. Jordi przykładał jej do rany chusteczkę, oczywiście przemoczoną.

- Ale czy oni nie uważają, że my już nie żyjemy? - spytała.

- Miejmy nadzieję, że tak - odparł Antonio. - Mimo wszystko jednak musimy być ostrożni.

- Mam małą chatkę...

- Daleko stąd?

- Nie. Po drodze do promów pływających do Ørsta i Volda. W lesie, właściwie niedaleko od Selje, ale dawno już tam nie byłam i nie mam pojęcia, co się tam dzieje.

- Czy obcym trudno tam odnaleźć drogę?

- O, tak.

Antonio zastanawiał się.

- Musimy wykorzystać tę mgłę. Chodźmy do twojego domu, zabierzemy nasze rzeczy i wszystko to, co tobie, Gudrun, może być potrzebne, a potem pojedziemy do chatki. Ty możesz ruszyć dalej do Ørsta i na kilka dni zatrzymać się w hotelu. Nie musisz ukrywać się tak długo jak my.

- Chcę być razem z wami - odparła zdecydowanie.

Antonio pogłodził ją lekko po policzku.

- Doskonale, Gudrun! Potrzebujemy cię, wiesz o tym.

Wzruszyła się trochę i w jej głosie pojawił się ton lekkiej surowości.

- Dobrze mieć w grupie dwoje medyków, nie będziemy musieli niepotrzebnie tłumaczyć się lekarzowi. Ale co z policją?

- Skoro mamy udawać martwych, to powinniśmy siedzieć cicho. Spytaj Jordiego, on wie wszystko na ten temat.

Z czułością popatrzyli na Jordiego, jedyną pośród nich osobę, na której zimna woda zdawała się nie wywierać żadnego wrażenia. Odpowiedział im uśmiechem.

Rozpoczęła się powolna i bardzo męcząca wędrówka do domu Gudrun, którego położenia mogli się właściwie jedynie domyślać. Morten, rzecz jasna, stracił swoje kule, lecz podchodził do tego przynajmniej z pozoru ze spokojem. I tak wkrótce byłby już w stanie sam się przemieszczać. Utratę przytomności tłumaczył porządny guz z tyłu czaszki. Unni twierdziła, że Morten podczas uderzenia jednocześnie stracił mowę, a on, usłyszawszy to, popatrzył na nią z godnością i wypowiedział pierwsze od chwili wypadku zdanie: „Zachowuję swoje cenne uwagi, do czasu, aż inni się wygadają”.

Dzięki Bogu, wracał do formy. Podtrzymywali go wspólnie.

Właściwie orszak, który kulejąc, powoli, zbliżał się do domu, przedstawiał sobą pożałowania godny widok.

Antonio i Vesla natychmiast zajęli się opatrywaniem ran. Vesla starała się nie zwracać uwagi na to, jak bardzo dokucza jej złamane żebro. Dziwne, że człowiek po urazie prędko dopasowuje się do nowych okoliczności, unika ruchów, które wywołują ból, ciało samo znajduje odpowiedni sposób, by się temu opierać.

Od czasu do czasu musiała jednak coś mocniej chwycić i wtedy na ogół nie była już w stanie zapanować nad jękiem. Antonio patrzył na nią wówczas, lecz nic nie mówił, jedynie jego oczy wyrażały współczucie. Wreszcie Morten i Gudrun zostali już oklejeni plastrami i obandażowani, teraz więc przyszła kolej na Vesłę.

- Nie, to może poczekać - zaprotestowała nerwowo.

- Nie, to wcale nie może czekać. Prawdopodobnie potrzebujesz ciasnego obandażowania klatki piersiowej, ale pozwól, że najpierw to sprawdzę. No, ściągaj sweter!

- Ja... ja...

Zrozumiała, że zachowuje się niemądrze, i ściągnęła sweter tak gwałtownie, że omal nie urwała sobie uszu, a w piersiach zabolą ją tak, że aż nie mogła złapać tchu.

- No, teraz dobrze - stwierdził Antonio. - Doprawdy, nie masz się czego wstydzić. Zdejmij też biustonosz! Zresztą nawet gdybyś nie była idealnie zgrabna, to i tak nie miałabyś powodów do wstydu - prawiać jej komplementy, naciskał to tu, to tam klatkę piersiową. - Nikt nie powinien się wstydzić swego ciała. Każdy człowiek jest wyjątkowy i powinien być wręcz dumny ze swoich wyimaginowanych wad, uważać je raczej za swoje cechy charakterystyczne.

- Au! - zawyła nagle Vesla.

- No, to mamy! Wydaje mi się, że tylko jedno żebro jest złamane.

- Mam wrażenie, jakby co najmniej piętnaście.

- W to nie wątpię - uśmiechnął się ciepło.

Vesla drżała pod dotykiem jego delikatnych palców na skórze, lecz dreszcz, który ją przenikał, był przyjemny. Nie mogę teraz stracić głowy, myślała trzeźwo. On przecież nawet miną nie zdradził, że jest mną zainteresowany.

A może jednak jest?

Nie wiem. Wiem tylko, że można sobie tłumaczyć słowa, spojrzenia, gesty i uśmiechy tak jak się chce. To bardzo pociągający mężczyzna... A ja, do diabła, jestem tylko zwyczajną dziewczyną, z jak najnormalniejszymi uczuciami. Pragnę go! A jakie za tym kryją się motywy, nikogo nie powinno obchodzić. Sama nawet ich nie znam.

A zresztą, czy trzeba mieć jakiś motyw, żeby lubić człowieka?

Musiała przyznać, że pod wpływem bliskości Antonia jej mózg pracuje na jałowym biegu. Lepiej też milczeć, by się nie zdradzić, jak bardzo brakuje jej tchu.

W tym czasie Unni i Jordi przygotowali dla wszystkich prędko posiłek. Załadowali też niezbędne rzeczy do dwóch samochodów.

Cudownie było móc się przebrać w suche ubranie. Unni zebrała wszystkie przemoczone rzeczy i wrzuciła je do wielkiego, czarnego worka na śmieci. Wysuszą je po dojechaniu do letniego domku. Tu nie chcieli zostawać dłużej, niż było to absolutnie konieczne.

Jordi pomógł Unni zanieść worek do samochodu.

- Jak się czujesz, moja kochana? Mam wrażenie, że wciąż jesteś w kiepskim humorze.

- Nie, to... Owszem, rzeczywiście - odparła, zatrzymując się przy samochodzie. -

Jordi, ja za cztery lata umrę!

- Postaram się temu zapobiec - obiecał.

- A jeśli ci się nie uda? Jeśli ty umrzesz za rok? Co mi wtedy przyjdzie z całego życia?

Nim zdążył odpowiedzieć, Unni pobiegła z powrotem do domu.

Jordi spoglądał za nią zaskoczony. Unni użyła naprawdę mocnych słów, nie miał jednak wątpliwości, że myślała tak, jak mówiła.

Powoli poszedł za nią do środka. Stała w kuchni i piła wodę mineralną z butelki, wyraźnie było widać, że ma zamiar ją opróżnić.

- Zostaw mi trochę - poprosił cicho.

Unni chciała obetrzeć szyjkę, lecz on spokojnie wyjął butelkę z rąk dziewczyny i zaczął pić, nie wycierając. Gdy oddał butelkę, na dnie zostało tylko kilka kropeł, lecz Unni uczyniła to, co on - natychmiast je wypila, także nie wycierając szyjki.

Popatrzyli na siebie, zaraz jednak do kuchni weszła Gudrun i powrócili do swoich zajęć.

Dziecinne? Może, ale nie dla nich.

Unni uśmiechała się i serce wypełniła jej radość. Jordiego natomiast Gudrun wprost spytała, co go tak cieszy. On tylko pokręcił głową i zbył ją śmiechem.

Z głębokim westchnieniem opuścili ciepły, przytulny dom. Obawiali się, że na pewien czas muszą się pożegnać z wygodami.

Mgła wciąż spowijała Selje, gdy stamtąd wyruszali. Jacht z powrotem cumował przy kei. Właściciele zapewne zdziwią zadrapania na dziobie.

Nikommu z szóstki nawet przez myśl nie przeszło, że jacht należy do Leona. Ten łajdak, choćby nie wiadomo jakich przestępstw się dopuścił, nigdy nie zdołałby zgromadzić dostatecznie dużo pieniędzy, by móc sobie sprawić taką luksusową łódź.

Unni i jej przyjaciele nie mieli wątpliwości, że Leon miał przed sobą tylko jeden jedyny cel i zmierzał do niego z uporem. Cel ten zaś miał związek z rycerzami i mnichami.

Ale kim Leon tak naprawdę był i do czego dążył?

Nawet Gudrun wyglądała na zaskoczoną małymi rozmiarami chatki.

Nie odwiedzała tego miejsca od kilku lat, był to właściwie domek rybacki jej męża, a ponieważ mąż zmarł tak wcześnie, nie bardzo interesowała się chatynką. Zachowała jednak domek, od czasu do czasu, choć właściwie bardzo rzadko, przyjeżdżała tu z kimś znajomym, a kiedy na świat przyszedł Morten, postanowiła zachować chatkę dla niego, jedyne wnuka i jedyne zresztą członka rodziny.

- No, proszę, proszę - powiedziała Unni, gdy Gudrun już im to wszystko wyjaśniła. - Jesteś właścicielem ziemskim, człowieku. I właścicielem leśnym, spójrz tylko, na działce rosną aż dwa świerki!

- Od tej pory masz się do mnie odnosić z większym szacunkiem - odparł Morten z godnością, a Unni żartobliwie wykonała rewerans.

Wyraźnie było widać, że Gudrun od dawna nie przebywała w chacie. Zostawiły tu swoje ślady mrówki, myszy, małe ptaki i owady. Okna niemal całkiem zasłoniły pajęczyny.

Chatka stała jednak ukryta głęboko w lesie, nad niewielkim rybnym jeziorkiem. Prowadząca do niej droga była dostatecznie kręta na to, by sama Gudrun miała trudności z trafieniem na miejsce. Jakże więc mógł tego dokonać Leon i jego kompania?

Tu szóstka przyjaciół była najzupełniej bezpieczna.

Tu mogli liczyć na chwilę wytchnienia, a właśnie tego potrzebowali, by od nowa zebrać siły.

Tylko jak się tu wszyscy zmieszczą?

W chatce było tylko jedno pomieszczenie. Kuchnia, to znaczy piec, w którym paliło się drewnem, stał w jednym kącie, było też jedno szerokie łóżko, przymocowany do ściany stół pod oknem i dwa krzesła.

To wszystko. Sprzęt rybacki i rozmaite drobne przedmioty na półeczce pod sufitem właściwie się nie liczyły.

Kiedy wszyscy stanęli w izdebce, wyglądała na wypełnioną po sufit.

- Damy radę - orzekła Vesla. - No, bierzmy się do roboty, posprzątam tutaj! Chłopcy, wy pójdziecie po drewno, widziałam, stos na dworze pod ścianą, a ja nastawię wodę. Unni, masz tu szczotkę, zamieć! Morten, ty zetrzyj kurz ze stołu i z parapetu, możesz to robić na siedząco...

Optymizm dziewczyny zaraził wszystkich. Gudrun także się ożywiła. I znów pokazała, jak bardzo potrafi być skuteczna. Ale o tym już mieli okazję się przekonać. Przemoczone ubrania rozwieszono nad piecem, dostatecznie wysoko, aby nikt nie zaplątał się w nogawki spodni ani biustonosze. Buty również odstawiono do suszenia. A wkrótce w dużym kociołku do gotowania ryb zaczęła wrzeć woda. Na szczęście Gudrun zabrała ze sobą sporo środków czyszczących. Morten szorował krzesła i stół, Unni zajęła się myciem okien, a Antonio wcierał w podłogę całe mnóstwo naturalnego mydła, tak żeby przyjemnie pachniało. Uszczelnili mysie nory, a pająki troskliwie wynieśli na dwór. Vesla przygotowywała kiełbaski z purée ziemniaczanym i wszyscy wchodzili sobie nawzajem w drogę.

Samochody dla wszelkiej pewności ustawili za domem. Co prawda nie na wiele się to zdało, bo niewielki samochodzik Gudrun akurat się zmieścił, natomiast duży samochód do przewozu niepełnosprawnych wystawał zza węgła niczym ciekawski słoń bez względu na to, jak starali się go ukryć.

Gdyby tylko było lato i słońce, siedzieliby się na dworze! Niestety mgła, czy też może raczej chmury, zawisły nisko nad lasem i chatką, otaczając wszystko ponurą wilgocią.

Prądu elektrycznego w chacie nie było. Chyłkiem nadciągnął wieczór i w małej izdebce zrobiło się ciemno, chociaż zapalili wszystkie świece, jakie udało im się znaleźć. Nikt nie pomyślał o zabraniu oleju parafinowego do lampy wiszącej u sufitu.

Posiłek spożyli w takich miejscach, jakie kto sobie znalazł. Dwie osoby siedziały na stołkach, trzy na łóżku, Jordi zaś usadowił się na podłodze.

No a miejsca do spania...

Z tym było gorzej. Gdy jednak Antonio oznajmił, że w żadnej podłogowej desce nie ma mysiej dziury, zapadła decyzja, że będą spać na podłodze. Gudrun oddano łóżko, zasłużyła na to, tak bardzo im przecież pomogła (być może również wszyscy młodzi chcieli spać na podłodze, bo tak było o wiele ciekawiej). Vesla miała swój śpiwór, pozostali ułożyli ze wszystkich kołder, poduszek i kocy, jakie tylko znaleźli, duże wspólne posłanie. Unni gotowa była przysiąc, że Vesla jest rozczarowana. Na początku chciała zaproponować śpiwór Mortenowi, ten jednak okazał się dżentelmenem i odmówił. Unni niemalże słyszała, jak Vesla w duchu przeklina.

Potem ułożyli się rzędem: Jordi, Antonio, Morten, Vesla i Unni. Nie było to rozmieszczenie, jakiego wszyscy najbardziej by pragnęli, za to absolutnie najprzyzwoitsze. Unni dostała do własnego użytku cudowny, wełniany koc Mortena.

Wszyscy byli zmęczeni, a raczej wytrąceni z równowagi po ciężkich przeżyciach. Oczy wydawały się suche ze zmęczenia, umysł natomiast zupełnie trzeźwy.

Było już ciemno, wciąż jednak mogli się widzieć nawzajem, co prawda tylko jako cienie w mroku. Jasne włosy Mortena i Vesli wskazywały na to, gdzie leżą, Antonio okryty był białą owczą skórą, Jordi i Unni ułożyli się w cieniu, każde pod swoją ścianą.

Nikt nie mógł zasnąć.

Jordi wstał w końcu, by dołożyć kilka polan do pieca. Ostrożnie przeszedł między leżącymi, lecz nie uniknął kilku protestów, kiedy źle stąpił. Tu i ówdzie rozległ się zduszony śmiech.

Kiedy otworzył drzwiczki pieca, izdebkę zalało ciepłe światło.

- Gudrun, nie chcesz wiedzieć, jak wygląda twoje łóżko od dołu? - spytała Unni z udawaną naiwnością.

- O, nie, doprawdy nie chcę! - odparła Gudrun ze śmiechem w głosie.

Jordi wrócił na swoje miejsce, położył się, ale cisza nocna nie trwała zbyt długo.

- Jordi - odezwała się Unni cicho. - O jednej rzeczy nigdy nam nie opowiadałeś.

- A o czym to?

- O tym, jak zdołałeś wyeliminować dwunastego mnicha.

Zapadła cisza. Unni usłyszała, że Gudrun lekko się unosi i opiera na łokciu, pozostała trójka ułożyła się wygodniej, żeby lepiej słyszeć.

Jordi się wahał.

- Celowo unikałem mówienia o tym. To była dość nieprzyjemna historia.

- Trochę teraz się wymigujesz - stwierdziła Unni.

- Tak, chyba tak - westchnął Jordi. - Czy mogę nie mówić o tym dzisiaj? Mamy za sobą męczący dzień, poza tym są tu panie.

- Opowiadaj, opowiadaj! - wykrzyknęła zaciekawiona Vesla.

- Nie - uśmiechnął się Jordi. - Antonio być może kiedyś o tym usłyszy, nikt inny.

Teraz wtrącił się Morten.

- Jeśli nie chcesz, żebyśmy się o tym dowiedzieli, to nie powinieneś tak drażnić naszej ciekawości, jak to teraz robisz. Wiesz, że uczepimy się ciebie jak pijawki i będziemy cię dręczyć, dopóki nam nie powiesz. Równie dobrze możesz więc mówić o tym teraz, przyjacielu.

- Inaczej nikt z nas nie będzie mógł zasnąć - przyłączyła się Gudrun. - A chyba tego nie chcesz mieć na sumieniu?

- Ale to naprawdę paskudna historia, wręcz obrzydliwa, perwersyjna. Czy nie wystarczy wam, że go unicestwiłem? I w związku z tym nie musimy już dłużej o nim myśleć?

Towarzysze jednak nie okazali mu żadnej łaski. Unni nie śmiała nic powiedzieć, ale sercem zgadzała się ze wszystkimi. Jordi wzbudził w nich wielką ciekawość i doprawdy, skoro już powiedział „a”, to teraz musiał powiedzieć „b”.

W końcu Jordi westchnął i ustąpił.

- Tylko niczego nie upiększaj - uprzedziła go Vesla. - Chcemy poznać wszystkie pikantne szczegóły, przecież to właśnie one są najbardziej emocjonujące.

- Spragnione skandalu hieny - mruknął Jordi. - Ale sami się o to prosicie. Proszę mnie o nic później nie winić.

Wszyscy ułożyli się wygodniej. Twierdzili, że naprawdę powinni dowiedzieć się, w jaki sposób można wyeliminować mnicha. To dla nich bardzo ważne. Jordi zrezygnowany tylko kręcił głową.

W chatce zrobiło się ciepło i przytulnie. W piecu wesoło trzaskał ogień, przez szpary w drzwiczkach prześwitywała czerwień płomieni. Pierwszy dym, który snuł się pod sufitem, teraz już zniknął, powietrze było czyste i przyjemne.

Wszyscy mocno odczuwali łączące ich więzi, stanowili zespół, dobrze zestrojony i dobrze współpracujący. Nawet jeśli posłanie mieli twarde i niewygodne, a za poduszki służyły im kurtki i swetry, to jakież to miało znaczenie? Byli razem i zajmowali się sobą nawzajem najlepiej jak umieli. Nawet jeśli niektórym marzył się jeszcze bliższy kontakt z wybranymi, to starali się o tym nie wspominać.

Nikt z nich nie chciał myśleć o dniu mającym nadejść nazajutrz i o bardzo trudnym pytaniu:

W jaki sposób zdołają się stąd wydostać i jak w przyszłości mogą się chronić przed bandą Leona?

Jordi nabrał powietrza w płuca i zaczął mówić, przełamując wielką niechęć i niesmak.

- Kiedy doszedłem już do siebie w domu Pedra w Madrycie, nie wróciłem bezpośrednio do Norwegii. Podczas pobytu w Santiago de Compostela przyszedł mi do głowy pomysł, gdzie mógł być ów kościół, w którym znajdowała się sala tortur. Nie był położony w samym mieście, lecz na przedmieściu, które z czasem się rozrosło i połączyło z Santiago. Na miejscu starego kościoła stał teraz rozpadający się dom z kamienia. Powiedziano mi wówczas, że w tym domu mieścił się kiedyś klasztor, który później został przekształcony w muzeum, podobnie jak Convento de Santa Ana w Junilla i wiele innych miejsc. Nikt jednak nie chciał nim zarządzać, gdyż był to naprawdę straszny dom, o którym plotki przekazywano sobie szeptem. Dlatego właśnie zmienił się w ruinę.

Ja, przekonany o tym, że rycerze roztoczyli nade mną opiekę, postanowiłem przyjrzeć się bliżej staremu klasztorowi. Wiedziałem przecież, że jestem w stanie się ukryć i że mnisi mają trudności ze zbliżeniem się do ludzi. Nad tym, jak się ta kwestia przedstawia w przypadku na poły umarłych, takich jak ja, wcale się nie zastanawiałem, mogło się to skończyć bardzo niedobrze.

Poleciałem więc samolotem z Madrytu do Santiago na jednodniową wycieczkę. Czym prędzej udałem się do klasztoru, chociaż wiedziałem, że my - wy i ja - nigdy nie powinniśmy odwiedzać Santiago de Compostela.

To był naprawdę budzący przygnębienie budynek. Większość eksponatów muzealnych naturalnie usunięto, ale pozostało jeszcze sporo rupieci. Gdy tylko wszedłem do środka, od razu poczułem, że to nie jest dobre miejsce, o, nie! Coś w moim wnętrzu nakazywało mi uciekać stamtąd tak szybko, jak nogi poniosą, ale ze mnie uparty typ...

- Dziękuję, to wiemy - powiedział Antonio. - Chociaż tak w ogóle to pozytywna cecha. Bez niej ani ty, ani ja nie przeżylibyśmy dzieciństwa.

Jordi ciągnął:

- Zacząłem krążyć po salach. Najpierw obejrzałem klasztor z czworokątnym dziedzińcem na środku, otoczonym podcieniami, wspartymi na kolumnach. Od strony północnej znajdował się kościół, na piętrze było dormitorium, czyli sypialnia. Zajrzałem też do jadalni, refektarza i tak dalej. Nie natrafiłem na nic godnego uwagi. Później jednak, gdy zszedłem do piwnicy z winem i minąłem karcer, coś zaczęło się dziać.

Poczułem bardzo nieprzyjemne zawroty głowy i odniosłem wrażenie, że przesuwam się w czasie. Na krótką chwilę musiałem zamknąć oczy i czym prędzej wszedłem na górę po schodach, do infirmerii, sali chorych.

Nie poznałem tego miejsca, chociaż przed chwilą w nim byłem. Ale teraz wszystko się odmieniło. Z pomieszczenia przylegającego do tego, w którym się znajdowałem, zaczęły dobiegać jakieś dziwne dźwięki. Zrozumiałem wtedy, że jestem w starym kościele, który kiedyś stał w tym samym miejscu. Znalazłem się w nawie głównej, a odgłosy na całe szczęście nie dochodziły stamtąd, ktoś widać miał na tyle rozumu, że nie Zadawał skazańcom tortur przed samym ołtarzem. Odbywało się to w bocznych korytarzach, w długich, oddzielonych nawach, pełnych grobów czy krypt możliwych ludzi. Nie wiem, jak to nazwać, mam na myśli takie pompatyczne aranżacje, ozdobione rzeźbami, żelaznymi kratami i płytami.

Oni tam byli i tam właśnie umieścili wszystkie te swoje przerażające narzędzia: ławę do zadawania cierpień, koło służące do łamania kości, garotę i całą resztę. Gdzieś z tyłu płonął ogień, wszystkich dwunastu mnichów znajdowało się w tej nawie bocznej, zajętych torturowaniem heretyków.

To był straszny widok. Nie przypuszczałem nawet, że to może być takie okropne. Ale cofnąłem się do piętnastego wieku, co umożliwiło mi oczywiście tak zwane ocalenie mnie przez rycerzy.

Stałem dobrze ukryty za niewielkim okienkiem w ścianie rozdzielającej obie nawy. Przed wzrokiem mnichów chroniła mnie przypominająca żaluzje drewniana krata. Oni mnie nie widzieli, ponieważ znajdowałem się w niedużym, ciemnym pomieszczeniu, ja natomiast mogłem wszystko obserwować.

Żałuję, że nie zostało mi to oszczędzone. Stałem jednak jak przygwożdżony wstrząsem, jakiego doznałem.

Na ścianie wisieli mężczyzna i kobieta, całkiem nady. Większego upokorzenia nie można chyba zaznać. Dwaj mnisi na zmianę smagali mężczyznę batem, podczas gdy trzej inni nożami nacinali skórę tej kobiety, zabawiając się rysowaniem na jej ciele wzorów. Miały one pokazywać, jak bardzo jest grzeszna, i że utrzymywała konszachty z diabłem. Po krwawych śladach widać było, że ze szczególnym upodobaniem pastwili się nad jej piersiami i łonem.

Najbliżej mnie stojący mnich przypatrywał się torturom oczami zamglonymi z podniecenia, ze zmysłową wręcz satysfakcją. Oglądanie cierpień tych dwojga najwyraźniej dostarczało mu cielesnej rozkoszy.

Ogarnęła mnie taka wściekłość, taka rozpacz i żal, że zapomniałem o ostrożności i zawołałem do niego *cerdo*, co znaczy „świnia”.

Oczywiście tego robić nie powinienem. Perwersyjny mnich błyskawicznie oprzytomniał i odwrócił się w moją stronę. Nie dbałem o to, by stać się niewidzialny, nie ruszyłem się z miejsca, gdy do mnie biegł. Był tuż, tuż, jego złe oczy usiłowały zajrzeć przez szpary w kracie, nigdy dotąd nie widziałem ohydniejszego wyrazu twarzy.

To już koniec, pomyślałem. Mnich zawołał coś do pozostałych ostrym głosem i ich uwaga skierowała się na niego. Ruszyli tu, gdzie stałem.

Skąd przyszedł mi do głowy ten pomysł, nie mam pojęcia. Podniosłem jednak rękę i przyłożyłem do kraty tak, by mnich mógł widzieć wyłącznie wypalone piętno.

Cofnął się, to dodało mi odwagi. Nienawidziłem ich za ból, którego przysparzali swoim ofiarom; to byli przecież zwyczajni, prości ludzie. Prawdopodobnie wyznawali tylko inną wiarę niż ci łajdacy, którzy zapewne uważali, że sprawują sąd w imię Boga, nie wiem. A najbardziej ze wszystkich nienawidziłem tego wieprza, którego miałem przed sobą, tego, który znajdował cielesne zaspokojenie, patrząc, jak upokarza się ludzi, każe się im cierpieć i odbiera im życie, tego perwersyjnego diabła o twardych, zimnych oczach. Nie miałem przy sobie prawdziwego, pełnego znaku, lecz pamiętałem słowa, jakie na nim widniały, a zrozumiałem, że ten uproszczony symbol widoczny na moim ręku z takiego czy innego powodu wywarł na owym zwyrodnialcu pewne wrażenie. Z jakiego, nie wiedziałem. Wykrzyczałem jednak słowa: *VENCED SANCTUM OFFICIUM*, nawołujące do zwalczania przyznanego przez kościół inkwizycji prawa osądzania i karania niewiernych. Spostrzegłem, że mnich zaczął się trząść, i zrozumiałem, że boi się tego, co może jeszcze nastąpić. Wypowiedziałem więc słowa widniejące u dołu znaku: *AMOR ILIMITADO SOLAMENTE*.

Skutek był natychmiastowy i niepojęty. Nie wiem, jaką moc posiadają te słowa, ale mnich zaczął się trząść na całym ciele, pozostałych jedenastu z przerażeniem uciekło do jakiegoś grobowca. Nie miałem czasu patrzeć na dwie ofiary ani choćby sprawdzić, czy wciąż jeszcze żyją, gdyż skupiłem się tylko na dwunastym mnichu. Trząść się tak gwałtownie, że rysy twarzy zaczęły mu się rozplýwać, nie był już w stanie zapanować nad rękami ani nogami. Głowa kiwała mu się na boki, a w końcu w dzikich spazmach z głośnym krzykiem osunął się na kamienną posadzkę i zniknął. Po prostu zniknął, rozplýnął się. Nie wiem, co się z nim stało, najzwyczajniej przestał istnieć. Od tamtej pory jest ich tylko jedenastu.

Jordi umilkł. Nikt się nie odzywał.

- Wybaczcie mi, że wam to opowiedziałem - poprosił cicho. - Ale sami chcieliście.

- No tak - odezwała się w końcu Gudrun z wymuszoną bez troską. - To w istocie obrzydliwa historia. Ale co się stało z tobą tam, w tym klasztorze?

- Zupełnie nagle powróciłem do współczesności. Byłem tym ogromnie zdziwiony, bo wydawało mi się, że naprawdę znalazłem się w epoce mnichów. Odczuwałem mdłości, byłem wściekły i zrozpaczony, a łzy ciekły mi z oczu już chyba od pewnego czasu. Możecie tylko zgadywać, jak cudownie się czułem, mogąc wyjść na otwarty plac, pełen gospodyń domowych i turystów, spieszących gdzieś biznesmenów we współczesnych ubraniach i najnowszych modeli samochodów. Potem wróciłem samolotem do Madrytu, a stamtąd do domu, do Norwegii. I wtedy na lotnisku spotkałem Unni, ale o tym już słyszeliście.

- To znaczy, że jeśli ktoś chce się pozbyć ohydnych mnichów, wystarczy jedynie wymówić zaklęcie rycerzy? Takie ich abrakadabra? - zdziwiła się Unni. - „Tylko bezgraniczna miłość”?

- To nie jest takie proste, Unni - odparł Jordi. - Próbowałem to robić. Ale chyba właśnie dlatego mnisi trzymają się na dystans aż do czasu, kiedy nabiorą całkowitej pewności, że dotknięci przekleństwem z naszych rodów są tak bliscy śmierci, iż nie są w stanie wypowiedzieć tych słów. Natomiast w gromadzie i z daleka są nietykalni. Trzeba się do nich zbliżyć i zostać sam na sam z jednym z nich, a tego oni bardzo się wystrzegają. Mnie nigdy nie widzieli, lecz czują przede mną wielki respekt, nazywają mnie „niewidzialnym diabłem”.

- Ciekawe, kto tu tak naprawdę ma układ z piekielnymi mocami? - mruknęła Gudrun, a pozostali jej przytaknęli.

Unni była milcząca. Bardzo jej się nie podobało, że Jordi jest w stanie przemieszczać się przez epoki ot, tak po prostu. To by wskazywało, że należy raczej do świata zmarłych niż żywych.

- Poza tym - rzekł w zamyśleniu w tej samej chwili. - Poza tym nie wydaje mi się, aby ta zagadka miała być taka prosta. Do rozwikłania tajemnicy na pewno trzeba czegoś więcej aniżeli unicestwienia kilku nic nie znaczących mnichów.

Chwilę się nad tym zastanawiali. Wczesnowiosenna noc, cicha i ciężka, legła na okolicy otaczającej malutką chatę. Gdzieś pod leżącymi rozległ się cichy chrobot i Unni przysunęła się bliżej śpiwora Vesli. Czy można zaufać Antoniowi, który zapewniał, że nie ma tu myszy? Może powinna poprosić, żeby Gudrun wpuściła ją do siebie do łóżka?

Nie. Ale dlaczego Jordi leży na samym końcu z drugiej strony? Przy nim z pewnością czułaby się bezpieczna.

- Mam inne pytanie - odezwał się nagle Morten. - Do naszego geniusza Antonia.

- Ach, przestań! - prychnął Antonio, choć wyraźnie mu to pochlebiło. - Nie jestem przecież żadnym geniuszem.

- No tak, oczywiście, że nie - odparł Morten, gasząc tym samym ewentualne zbyt wygórowane ambicje Antonia. - Ale ty masz z nas największą wiedzę, chociaż rzeczywiście jest bardzo wielka różnica pomiędzy osobą, która zna się na wielu rzeczach, a geniuszem. Rozmawialiśmy przedtem o pięciu pomniejszych królestwach w północnej Hiszpanii.

- Nie nazwałbym Asturii pomniejszym królestwem, no ale pytaj!

- Dobrze. Mam wrażenie, że to ty wspomniałeś, iż te królestwa przestały istnieć jeszcze przed piętnastym wiekiem.

- To ja - pisnęła Unni. Ale zaraz straciła pewność siebie. - W każdym razie to powinnam być ja.

- Nieważne - odparł Antonio. - Rzeczywiście było tak, że niektóre z nich już wtedy nie istniały, Asturia, jak już wspominaliśmy, była kiedyś, do dziesiątego wieku, wielkim królestwem. Obejmowała zarówno Galicję, jak i Leon, części północnej Portugalii i starej Kastylii. Później stanowiła część królestwa Leónu, a następnie Kastylii. Galicja, kraina najdalej wysunięta na zachód, stanowiła odrębne królestwo w latach tysiąc sześćdziesiąt pięć - siedemdziesiąt jeden. Wtedy została związana z królestwami Leónu i Kastylii. Jak nazywał się ówczesny król Galicji, tego nie wiem, lecz don Federico, ten stary, wiecie, był z całą pewnością pretendentem do tronu. Takie historie ciągną się wszak przez stulecia, również po tym, jak się ten tron straciło. Dzisiejsza Kantabria stanowiła kiedyś rzymską prowincję, to niewielka górська kraina. Pedro z Kantabrii, który rządził w ósmym wieku, wywodził się z plemienia Wizygotów, lecz czy Kantabria kiedykolwiek była królestwem... ? Tego nie wiem. Kantabria została włączona do Kastylii. Vasconia, czyli Kraj Basków, nigdy nie zrezygnowała ze szczególnych praw, jakie jej przyznano. W każdym razie w duszy i w sercu. Baskowie mają własny język i swoje własne prawa, są też zupełnie odrębnym narodem, żyjącym jedynie tam, po obu stronach Pirenejów. Nawarra była chyba tym królestwem, które przetrzymało najdłużej, została podzielona pomiędzy Hiszpanię i Francję i z całą pewnością wiecie, że sporą część jej mieszkańców stanowią Baskowie. Nawarra została później wchłonięta przez Kastylię - León.

- Boże, nie znam nikogo, kto by potrafił wygłaszać takie wykłady jak ty! Wypowiadasz tyle mądrych słów i nas, ignorantów, wpędzasz w kompleksy. Czy jesteś zadowolony z odpowiedzi Antonia, Mortenie?

Okazało się jednak, że Morten tymczasem zasnął.

- Wcale mnie to nie dziwi - zauważyła cierpko Unni. - Ale wielkie dzięki za wyczerpujący wykład, Antonio. Teraz jednak nie dowiemy się, dlaczego Mor - ten pytał.

- Możemy to odgadnąć - stwierdził Jordi. - Chciał się dowiedzieć, co może łączyć tych pięciu dostojnych rycerzy, pochodzących z pięciu dawno już minionych królestw.

- To chyba wzmacnia nasze przekonanie o tym, że sprawa jest polityczna - zauważyła Gudrun.

- Tego musimy się dowiedzieć - odparł Jordi. - Aby dotrzeć do samego jądra zagadki. Ale teraz chciałbym usłyszeć co innego. Veslo?

- Co? Co mówiłeś? - dopytywała się zaskoczona dziewczyna.

- Czy nie możesz wyjaśnić nam tego, o czym wspominałaś? Mówiłaś, że masz pewien pomysł, co też takiego mogła odkryć Sigrid. Pamiętacie chyba, ona napisała, że uważa, iż znalazła część odpowiedzi na zagadkę.

- No tak, zgadza się - przyznała Vesla, starając się obrócić w śpiworze. Osoba, która kiedyś próbowała dokonać tej sztuki, dobrze wie, jakie to trudne. Nagle okazuje się, że człowiek ma suwak na plecach, dolną zaś część śpiwora oplątaną wokół nóg, ale obrócić się nie może.

Kiedy wreszcie po kilku przekleństwach zdołała się jako tako ułożyć, zaczęła mówić:

- Tak, zaglądałam dzisiaj do jej dziennika, jeszcze zanim zrobiło się ciemno. Znalazłam tam to, o czym myślałam. Nie pamiętam wszystkiego dosłownie, ale było tam napisane mniej więcej tak: „Pierwszy i drugi krok został już zrobiony. Pospiesz się, jesteś na dobrej drodze. Jedynie bezgraniczna miłość”. Trochę później zaś: „Przepadasz! Zrób coś, prędko! Wszystko spoczywa teraz na tobie. Nie pozwól, aby twój syn cierpiał. Niech skończy się wszelkie cierpienie”.

- Ach, tak! - powiedziała Unni, kiedy Vesla umilkła. - Hm... I co to niby ma znaczyć?

- Przypuszczam, że Sigrid coś zrozumiała. Nie całą odpowiedź, lecz jej ułamek. Spory ułamek, ośmielę się twierdzić. Coś, co ma związek z *Amor ilimitado solamente*.

- Mów dalej - poprosił Antonio, któremu niemal dech zaparło w piersiach.

Veslę ogarnął zapal.

- Dlaczego przez tyle stuleci nikomu nie udało się rozwiązać zagadki? Dlaczego nie powiodło się Sigrid? Oni przecież mówili jej, że jest na dobrej drodze, o pierwszym i drugim kroku. Potem jednak stwierdzili, że przepada. Załóżmy, że pierwszym krokiem było jej małżeństwo z Knutem Andersenem. Drugi krok: mają dziecko. A potem ona przepada. Dlaczego? No bo przecież Knut ją zostawia, jego miłość nie była dostatecznie silna. Popatrzmy na waszego ojca, Antonio i Jordi. Jego żona, a wasza matka, miała chyba wielką

słabość do Leona. Wasza babcia, Teresa, przeżyła wręcz piekło, jeśli chodzi o miłość. To samo dotyczy prababki Mortena, Anne Hansen, a z kolei ojciec Teresy, Esteban Vargas, został zamordowany przez swą żonę Emilię. Dalej w przeszłość nie potrafimy zajrzeć, pozostaje więc jeszcze pytanie: jakie było twoje małżeństwo, Gudrun? Wybacz mi tę niedyskrecję, lecz ona jest konieczna.

- Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz - odparła Gudrun ze swego łóżka. - Dobrze, że Morten śpi. Rzeczywiście, nie jest to zbyt przyjemne, ale muszę się przyznać, że Jonasa Hansena poślubiłam wiedziona współczuciem i urażoną dumą. On był dobrym człowiekiem, nie myślcie sobie, że było inaczej, i ja także starałam się być dla niego dobrą żoną przez te lata, które spędziliśmy razem, ale on nie był wielką miłością mego życia. Był nią Bjørn, którego spotkaliście w Widmowym Dworze, on jednak ożenił się z inną, a Jonas mnie kochał, pomimo iż wiedział, jak bardzo przeżywam małżeństwo Bjørna. Jonasowi i mnie było ze sobą dobrze, lecz mówić o bezgranicznej miłości? Nie, nie mogę, skłamałabym.

- A więc tak - Antonio próbował podsumować. - Uważasz, Veslo, że osoba, która nie doświadcza bezgranicznej miłości, nigdy nie może rozwiązać zagadki?

- Takie jest moje zdanie. I dotyczy to również tej drugiej strony. Sigrid na przykład bardzo kochała Knuta, lecz jej miłość nie została odwzajemniona.

Vesla chciała się z powrotem położyć, bo mówiła na pół siedząc, i teraz niechęć wbiła łokieć w Mortena, który obudził się, nie rozumiejąc, o czym mówią inni.

- Ja posunęłabym się jeszcze dalej - powiedziała Un - ni w zamyśleniu. - Sądzę, że rycerze chcieli, by na świat przychodziły dzieci - jeśli komuś nie powiodło się w przezwyciężającej wszystko miłości - tak by dziedzictwo nie wymarło.

- To prawda - przyznał Jordi. - A oni nie mogli nam powiedzieć, dlaczego tak ważna jest owa bezgraniczna miłość.

- Ale dlaczego akurat to jest takie ważne? - zastanawiała się Gudrun.

Jordi po ciemku popatrzył w jej stronę.

- Dlatego, że kryje się za tym coś więcej. „Tylko bezgraniczna miłość” oznacza coś jeszcze, ale jestem bardzo wdzięczny Vesli i Sigrid, którym udało się wpaść na tę częściową odpowiedź. To może nam pomóc posunąć się o długi krok naprzód.

- To prawda - przyznał Antonio. - Dziękujemy ci, Veslo, świetnie się spisałaś!

Unni zauważyła, że Vesla westchnęła głęboko, uszczęśliwiona.

Sama Unni zaś powiedziała:

- Mnie się wydaje, że to wszystko przypomina taką chińską szkatułkę. Wiecie, otwiera się pudełko, a w środku jest nowe, a w nim znów kolejne, za każdym razem coraz mniejsze.

- Co masz na myśli? - spytał Morten.

- Zobaczcie. Jordi opowiedział nam swoją historię, o ludziach spotkanych w Hiszpanii, którzy opowiedzieli mu o miejscach, których szukał. W danym miejscu nawiązał kontakt z rycerzami, którzy z kolei opowiedzieli mu swoją historię, a on przekazał ją później nam. A w opowieści rycerzy skrywa się kolejna historia, ta, której poszukujemy.

- O jakimś innym miejscu - dodał Antonio. - O tym, gdzie nikt nie chodzi.

- Właśnie.

- Szkatułka w szkatułce, a w niej kolejna szkatułka - powiedziała Gudrun.

- Rzeczywiście - przyznał Antonio. - No jak, spróbujemy się z tym przespać, zanim noc w końcu minie?

- Jeszcze tylko jedno pytanie - wykrzyknęła niepoprawnie żądna wiedzy Unni. - Nie wyjaśniłeś nam tej sroki, Jordi. Sroki na bardzo dostojnym herbie. Co ona ma znaczyć?

- Hm - uśmiechnął się Jordi w ciemności. - Antonio, ty powinieneś to odgadnąć.

Brat zastanowił się.

- Sroka? Ja miałbym... Jak jest „sroka” po hiszpańsku? Ależ tak, oczywiście! *Urraca!*

- Właśnie. W dawnej Hiszpanii było to dość powszechne imię królowych i innych wielkich dam. Nasza czarownica Urraca pomogła rycerzom w zamian za to, że jej symbol został umieszczony na tarczy herbowej. I podejrzewam, że ona zaklęła ten znak i że właśnie to tak śmiertelnie przestraszyło dwunastego mnicha.

- Ale on chyba już nie żył? - zauważyła Vesla.

- No tak, oczywiście. Znak wyeliminował jego upiora. A teraz już śpimy.

Jordi dołożył jeszcze trochę drewna do pieca i wreszcie w chacie zapadła cisza.

Vesla była w całej grupie jedyną palaczką. Nietrudno o nałogi, gdy ktoś próbuje stanąć w opozycji do rodziców. Potem za późno już na odwrót.

Podczas tej wyprawy była bardzo ostrożna. Wiedziała, że Unni ma alergię na dym, pamiętała też, że Antonio zabronił Emmie zapalić papierosa. Vesla zmieniła się w ukradkową palaczkę, czuła się z tym niegodnie i głupio.

Nie należała wprawdzie do osób kopających jak komin, gdy jednak obudziła się o szarówce, czuła, że oszaleje, jeśli nie zapali papierosa. Wszyscy inni spali. Vesla wyslizgnęła się ze śpiwora i przemknęła za nie - solidarnie skrzypiące drzwi. Złamane żebro bolało ją przy każdym nieostrożnym ruchu.

Na zewnątrz panował chłód, a ona przecież wyszła wprost ze śpiwora. Wprawdzie ogień w piecu również zagasł i do chatki także wdarło się zimno, na dworze było jednak bardziej nieprzyjemnie.

Ledwie zaczęło się rozwidniać, nad jeziorem wciąż unosiła się mgła, a chmury zawisły tuż nad świerkowym lasem. Gdzieś w oddali dzieciół z zapalem stukał w drzewo, które musiało dzielnie cierpieć w milczeniu. Od strony jeziora dobiegały melancholijne, zaczarowane krzyki nura czarnoszyjowego, podkreślające jeszcze panującą dookoła ciszę.

Vesla była zauroczona. Dziecku miasta świat ukazał jeszcze jedno nieznane oblicze.

Zapaliwszy papierosa, przysiadła na progu. Był tak niski, że na kolanach mogła oprzeć brodę i wyraźnie czuła, że ma na nogach jedynie skarpetki. Odnosiła jednak wrażenie, że ta chwila jest dla niej święta. Sama na tym pustkowiu zapewne śmiertelnie by się bała, lecz świadomość obecności bliskich przyjaciół w chacie za jej plecami przydawała poczucia bezpieczeństwa.

Nagle zdrętwiała. Skrzypnęły drzwi. Czym prędzej rzuciła papierosa na ziemię i zdusiła go pod kamieniem, pełna poczucia winy. Musi uporać się z wyrzutami sumienia, ale doprawdy, bycie samotną w nałogu nie jest przyjemne. Najgorsze, że nie starczało jej odwagi, by się do niego przyznać.

Z chaty wyszedł Antonio. Vesla na jego widok drgnęła. Policzki jej pałały.

- Widziałem, że się wymykasz - powiedział cicho, siadając przy niej. - Nie było cię tak długo, że musiałem sprawdzić, czy nic się nie stało.

- Popatrz, czy tu nie pięknie? - szepnęła bez tchu.

Antonio nasłuchiwał. Kos rozpoczął swoją melancholijną serenadę.

- Owszem - odparł. - Wiosna nadeszła tu dużo wcześniej niż w głębi łądu. Zawsze uważałem, że kos śpiewa o wiele piękniej niż słowik. Słowik ma doprawdy czarujący głos, taki pełen treści i bardzo zróżnicowany, ale ja wolę kosa. Oba te ptaki jednak mają bardzo mocne głosy.

Unni mówiła, że Antonio lubi się mądrzyć. Rzeczywiście, coś w tym jest, ale Vesli się to podobało. Miał naprawdę wielką wiedzę, i to z wielu dziedzin, tyle rzeczy go interesowało.

- Jak się czujesz? - spytał. - Myślę o twoim wewnętrznym gniewie. Czy wciąż jest równie intensywny?

- Nie, w ciągu ostatnich trzech dni znacznie się zmniejszył. Ogromnie mi pomogła rozmowa z tobą. Od tamtej pory nie miałam też czasu się nad tym zastanawiać, ale on ciągle we mnie tkwi, Antonio. Nie tak łatwo się pozbyć gniewu tłumionego przez wiele lat.

- No tak, to oczywiste. Nad tym trzeba długo pracować. Często wymaga to bardzo wiele czasu.

- Wiem, wiem - odparła roztargniona.

Antonio objął ją ramieniem, by trochę ją ogrzać.

Tam, nad wodą, jest nieduża szopa na łodzie, pomyślała Vesla. Moglibyśmy tam zejść. Nie powinniśmy tak tu siedzieć na schodku, przecież w każdej chwili ktoś może się zjawić. Ale tam, za szopą...

Drgnęła przestraszona na dźwięk jego głosu.

- Tu, w tej chatce, jesteśmy bezpieczni.

- To prawda - odparła wyrwana ze swych mglistych marzeń. - Lecz gdyby Leon ze swoją bandą jakoś zdołał tutaj trafić, źle by z nami było. Schwytaliby nas w pułapkę.

- W jaki sposób mieliby trafić tu tą krętą drogą, którą jechaliśmy, ze wszystkimi tymi odchodzącymi od niej ścieżkami? Przecież do chatki prowadziły same boczne drogi. Chyba że pomogłyby im jakieś nadprzyrodzone siły.

Antonio powiedział to żartem, lecz zaraz umilkł. Oboje pomyśleli o tym samym. Mnisi.

Zdaniem Jordiego jednak mnichom obce były tego rodzaju sztuczki.

Ale co Jordi mógł o tym wiedzieć?

- W każdym razie - odezwał się Antonio wesołym tonem - w każdym razie masz mnie. Będę pilnował, żeby nic złego cię nie spotkało.

Przyciągnął ją mocniej do siebie w braterskim uścisku, ale Vesli sprawiło to ból.

Pragnę tego mężczyzny, pomyślała. Czuję, że zakochałam się w nim na zabój. Nieważne, że on ściska mnie tak, że aż kłuje mnie w boku.

Nie mogę jednak zejść nad jezioro w samych tylko skarpetkach. To niemożliwe. Zresztą on także nie ma butów na nogach.

Nie możemy też wemknąć się do chaty po buty, które się tam suszą. Narobiliśmy straszego hałasu.

Rozjaśnia się. Dnieje, cóż za piękne słowo. Mgła niemal całkiem już zniknęła nad jeziorem, nie zauważyłam, czy uniosła się w górę, czy opadła, a *to* przecież bardzo ważne. Kiedy mgła opada, zapowiada się piękny dzień, a gdy unosi się do góry, może być pochmurno. Chyba tak to jest. Antonio z całą pewnością to wie, on wie wszystko, ale akurat w tej chwili nie mam ochoty na żaden wykład o mgle. Pragnę tylko jego, i to tak bardzo, że w całym ciele czuję dreszcze.

Ależ oczywiście, że mogę tam iść bez butów. Ziemia jest wprawdzie mokra, ale druga para skarpet na pewno już wyschła, cóż więc by szkodziło, jeślibym zmoczyła te? Czy zaproponować, żebyśmy poszli popatrzeć na jezioro? Sprawdzić, jaką temperaturę ma woda? Taką mam na to ochotę!

- Posłuchaj, Veslo...

- Tak?

Odwróciła się do niego. Znalazł się teraz tak blisko. Co zamierzał powiedzieć? Zgodziłaby się na wszystko.

Vesla patrzyła na Antonia z półuchylonymi wargami. Wprost płonęła z tęsknoty za nim.

Nagle Antonio zmarszczył czoło i odrobinę się odsunął.

- Ty palisz? Nie wiedziałem.

Och, do diabła! Vesla odwróciła głowę.

- Bardzo rzadko, właściwie rzucam - skłamała.

W głosie Antonia znów pojawiło się ciepło.

- Mogę ci dać bardzo dobry środek. To zupełnie nowa rzecz dla tych, którzy chcą rzucić palenie.

Czy ona tego chciała? Papierosy często stanowiły dobrą pociechę, sprawiały też przyjemność.

- Dziękuję - powiedziała. - To by mi bardzo pomogło. Na ogół nie... ale wczorajszy dzień był taki wstrząsający.

- Rzeczywiście, to prawda.

- Musiałam więc spróbować uspokoić nerwy. Wiem, wiem, to był krok w tył. Trochę mnie też boli w piersiach...

Czy ona naprawdę musi tu siedzieć i przemawiać w swojej obronie? Słowa jednak płynęły z jej ust same, nie mogła ich powstrzymać.

- To w wielkim stopniu rozumiałe - stwierdził Antonio. - Nie oskarżam cię wcale o to, że palisz. Zważywszy jednak na tę alergię Unni...

- Właśnie dlatego wymknęłam się na dwór.

- Oczywiście. Ale od siedzenia tutaj zaczyna się robić chłodno. Wracamy do środka?

Antonio już wstał, Vesla też się podniosła. Prędko jeszcze spytała:

- Co chciałeś przed chwilą powiedzieć?

Antonio popatrzył na nią pytająco.

- Zacząłeś mówić: „Vesla”...

- Tak? Już nie pamiętam.

Do diabła, po raz kolejny! Vesla postanowiła naprawdę skończyć z paleniem. To się robiło zbyt uciążliwe w obecności wszystkich tych świętoszków (Nie, to niesprawiedliwe tak o nich mówić.) A teraz znów ten papieros wszystko jej popsuł.

Weszła za Antoniem do chaty. Przestań być dla mnie taki koleżeński, prosiła w myślach. Spróbuj dostrzec we mnie kobietę!

Ostatni raz rzuciła okiem na jeziorko. Teraz wiedziała już, że pomysł z zejściem na brzeg był idiotyczny.

Co ona sobie wyobrażała? Że będą się kochać za szopą na łodzie? Po tych kilku dniach znajomości? Przecież wtedy straciłby dla niej cały szacunek.

Do diabła, do diabła, do diabła!

Właściwie gotowi już byli do wyjazdu, lecz starali się odwlec ten moment najdalej, jak tylko się da. Zjedli nadzwyczaj skromne śniadanie i próbowali układać jakieś plany, lecz bez większych rezultatów. Gudrun wciąż nie mogła wrócić do siebie do domu, to było zbyt niebezpieczne, a dom żadnej z pozostałych osób również nie gwarantował bezpieczeństwa.

Nie chcieli się też rozstawać.

- Ach, wiecie, o czym zapomnieliśmy? - wykrzyknęła nagle Unni.

Popatrzyli na nią zdziwieni.

- O zapiskach Anne Hansen!

Wszyscy z wdzięcznością przyjęli odłożenie wyjazdu. Antonio wyciągnął zapomniany pamiętnik. Część z nich usiadła na łóżku, pozostali zsunęli krzesła, tworząc dzięki temu niewielki intymny krąg.

Zaszczyt czytania przypadł Jordiemu. Był zresztą tym z braci, który lepiej opanował hiszpański.

Usłyszeli krótką, lecz bardzo tragiczną historię, którą częściowo znali już z ust Gudrun.

Anne Navarro Hansen urodziła się w roku 1908 w Hiszpanii. Jej ojciec, Jon Hansen, marynarz, rzadko bywał w domu. W roku 1913 zmarła jej matka, Ana, i pięcioletnia dziewczynka pozostała pod opieką hiszpańskich krewnych. To wszystko jak na razie już wiedzieli.

Anne nie była zbyt pilną pamiętnikarką. Musiała jednak być niezłe wykształcona, nie robiła bowiem błędów i miała bardzo staranny charakter pisma. Tak przynajmniej twierdził Jordi.

Musiała też mieć temperament, sporadyczne zapiski wyrażały prawdziwą eksplozję uczuć. Na przykład taki jak ten:

„Tak mnie denerwuje Marieta! Chce być niby moją najlepszą przyjaciółką, tymczasem dzisiaj szeptała coś do tej nowej dziewczynki w klasie i zerknęła na mnie, chichocząc. Dostanie za swoje!”

Pierwsze strony opowiadały o takich właśnie sprawach. Drobne dziewczęce intrygi, konflikty z najbliższą przyjaciółką, zazdrość i smutek. A potem szczęśliwe zbratanie.

Kolejna uwaga:

„Ojciec był tu dzisiaj. Prawie go nie pamiętam. Przywiózł mi wielką lalkę, która potrafi zamykać oczy. Mógł ją przywieźć osiem lat temu, a nie teraz, kiedy mam dwanaście lat! On nie ma tu czego szukać, przecież ja go nie znam”.

- Nie wygląda na to, żeby dręczyły ją jakieś sny czy wizje w dzieciństwie - stwierdził Jordi. - Ale teraz się zaczyna. Anne ma już trzynaście lat.

„Dzisiejszej nocy wydarzyło się coś okropnego, jestem pewna, że ktoś mnie śledzi, ale kto? Jakieś tajemnicze postaci w długich płaszczach przypatrują mi się złośliwie, skradają się, nigdy nie stają na tyle blisko, żebym mogła je zobaczyć, ale jestem pewna, że chcą mnie dopaść”.

Kolejny fragment:

„Taka jestem zła, przecież nic nie mogę poradzić na to, że rozwinęłam się wcześniej niż inne dziewczęta, ale one mi zazdroszczą i mówią, że się uganiam za chłopakami. A wcale tak nie jest. Przedwczoraj jakiś stary wieprz, miał co najmniej trzydzieści lat, próbował mnie obmacywać, kiedy go mijałam w drodze do domu z nabożeństwa. Uderzyłam go w rękę, a wtedy tak się rozgniewał, że musiałam uciekać. Nie chcę być taka. Próbuję sznurować piersi, ale to nie pomaga. Chłopcy chcą ich dotykać przez cały czas. To takie upokarzające”.

„Tak mi smutno dzisiaj, przepłakałam cały ranek. Mój kochany dziadek, Enrico, się przeprowadza... „

Jordi poderwał głowę znad lektury.

- Ojej! Enrico? Ojciec Elia?

- Oczywiście. Przecież Anne była jego wnuczką! - wykrzyknął Antonio. - I mieszkała u krewnych! Że też nie pomyśleliśmy o tym, że to mógł być Enrico!

- Chyba musiało ich być więcej - zauważyła Unni. - On chyba nie wyniósł się i nie zostawił dziewczynki samej.

- No tak, masz rację - stwierdził Jordi. - Ale tu możemy wpaść na jakiś ślad Elia. On się przecież urodził w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym. Rok po śmierci Anne.

- Gdzie mieszkała Anne? - spytał Morten.

- Nic tu nie ma na ten temat - odparł Jordi. - Czytam dalej.

Wszystkich ogarnął zapal.

- Teraz następuje duży przeskok w czasie - oznajmił Jordi. - Nieoczekiwanie mamy rok tysiąc dziewięćset trzydziesty pierwszy.

- To znaczy, że ona ma dwadzieścia trzy lata. Szybko poszło - skomentowała Vesla.

- To prawda, nie dbała o notatki. Posłuchajcie, co pisze: „Nie mogę tu dłużej mieszkać. Teraz, kiedy moje ciotki już nie żyją, nie pozostał mi nikt bliski. Próbują zmusić

mnie do ślubu z Carlosem, którego nie chcę za żadne skarby. On prowadzi interesy takimi paskudnymi metodami. Dokąd mogę iść? Wrócić do domu mego ojca w Norwegii? Przecież to tak daleko! Ale nie mam innej rodziny i nie wiem, gdzie on sam może teraz być. Dziadek w swoim nowym domu nie ma dla mnie miejsca, ma też nową żonę”.

- Teraz ona przyjedzie tutaj - powiedziała Gudrun.

- Tak, chociaż najwyraźniej nie bezpośrednio - stwierdził Jordi, który ukradkiem przeczytał kawałek naprzód. - Popłynęła statkiem do Göteborga. Píše o tym tak:

„Jestem taka szczęśliwa. Poznałam najwspanialszego człowieka na świecie. Jest marynarzem, tak samo jak mój ojciec. To Szwed, jasnowłosy i niebieskooki. Kocha mnie, tak mi powiedział, i znalazł mi pokój tutaj w Göteborgu. Obiecał, że się ze mną ożeni, nic więc złego nie zrobiliśmy. Po prostu kochamy się tak mocno, że dłużej już nie mogliśmy czekać. Muszę napisać do mojego dziadka Enrica i powiedzieć mu o tym. Dobrze, że jeszcze w Hiszpanii dał mi swój adres. Cieszę się, że go nie zgubiłam”.

- Czy ten adres tu jest? - wykrzyknął Morten.

- Ależ skąd! - odparł Jordi z pochmurną miną. - Nie przypuszczasz chyba, że wszystko zostanie nam podane na srebrnej tacy. Jak na razie z niczym tak nie było, dlatego więc nagle mielibyśmy mieć takie szczęście? No, czytam dalej. To nie wygląda najlepiej.

„Maj, 1933. Nie mam siły dłużej żyć. On jest żonaty, nie chce mieć do czynienia ani ze mną, ani z dzieckiem. Nie mogę wrócić do Hiszpanii, bo takiego wstydu tam nie zniosą. A tu zostać też nie mogę, jutro przyjdą i mnie wyrzucą. Mam teraz tylko jedno wyjście, on mi dał pieniądze. Tak strasznie mnie to bolało, ale musiałam je przyjąć. Spróbuję pojechać do Selje w Norwegii. Tam się ukryję. Jak mnie obrzucą kamieniami, to będę chciała jedynie umrzeć. Nie mam już po co żyć. No, może dla dziecka, ale przecież go nie znam, nic o nim nie wiem. Nie mam odwagi odebrać sobie życia, nie tutaj”.

Jordi podniósł głowę.

- W tym miejscu pamiętnik się kończy. Anne niczego więcej już nie napisała.

- W każdym razie dotarła do domu - powiedziała Gudrun ściszym głosem. - Tylko po to, żeby umrzeć w połogu w wieku dwudziestu pięciu lat. Jej synowi, mojemu mężowi, jakoś się ułożyło.

- No, ale ona nie wspomina o żadnych zwojach pergaminu - zauważył Morten.

- To prawda - przyznał Jordi. - Przypuszczam, że nic z nich nie zrozumiała. W dodatku w tym pamiętniku są bardzo duże luki, a w pamiętnikach na ogół nie wraca się do tego, co wydarzyło się kilka miesięcy wcześniej.

- Nie jest też wcale pewne, że Anne dostała więcej niż jeden pergamin - stwierdził Antonio. - Przecież to Pedro wysyłał pozostałe, a jego w tamtych czasach nie było jeszcze na świecie.

- Pedro musi mieć bezpośredni kontakt z rycerzami - stwierdziła Unni.

- Ja również tak sądzę - odparł Jordi. - Nigdy nie mówił o tym otwarcie, lecz wiele na to wskazuje. Pedro jest jednym z ich bardzo nielicznych zaufanych.

- Ale on nie umarł tak jak ty - wyrwało się Mortenowi.

Jordi tylko się uśmiechnął.

Antonio zabrał mu pamiętnik Anne Hansen z ręki i teraz go przeglądał. Nagle wyraźnie się ożywił.

- Tu, pod sam koniec, jest cała strona z adresami!

Wszyscy koniecznie chcieli to zobaczyć. Pochylili się, zasłaniając jedno drugiemu.

- Tutaj - oznajmiła Vesla. - Czy to nie jest D? D jak dziadek?

- Hm - mruknął Antonio. - Pokażcie, to trochę niewyraźne. Czyżby to miała być Granada?

- Z całą pewnością - orzekła Gudrun. - Jest też nazwa ulicy. Calle Martino 26.

- Mamy zakładać, że to adres Enrica?

- Chyba na to postawimy - odparła Vesla. - Masz swoją srebrną tace, Jordi!

Unni była jednak bardziej sceptyczna.

- Na początku lat trzydziestych? Siedemdziesiąt lat temu? W dodatku Enrico zapewne dawno już nie żyje.

- Zmarł w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym - wyjaśnił Antonio. - Ale z całą pewnością miał więcej dzieci. Słyszałaś przecież o dwóch ciotkach, które zmarły.

- Dobrze, ale dlaczego w drzewie genealogicznym wymieniony jest tylko Elio? To przecież musi coś znaczyć!

- To bardzo proste - odparł Jordi. - Było to jedyne imię, jakie udało mi się odnaleźć.

- Ach, tak? - Unni położyła uszy po sobie. - Znów moja błyskotliwa inteligencja nie na wiele się przydała.

- Wówczas nie zastanawiałem się nad tym, jaki on może być ważny.

- Spróbujmy sprawdzić, czy ktoś ciągle tam jeszcze mieszka - zaproponował Antonio, wyjmując telefon komórkowy.

- Chcesz dzwonić do informacji telefonicznej?

- Jeszcze lepiej. Jordi, zadzwoń do Pedra.

Jordi usłuchał. Odbyli ożywioną rozmowę po hiszpańsku. Unni zafascynowana przyglądała się Jordiemu. Posługiwał się hiszpańskim z taką samą łatwością jak norweskim.

Ach, Boże, jakże ona go kocha. To chude ciało o długich członkach, tę niezwykłą twarz.

Po kilku serdecznych pozdrowieniach rozmowa była zakończona.

- Pedro ma to zaraz sprawdzić, oddzwoni. Uważa, że posunęliśmy się bardzo daleko.

- Ach, tak? - zauważyła Unni z ponurą miną. - Ja uważam, że drepczemy w miejscu, jakbyśmy ubijali kapustę.

- Powiedz raczej „winogrona”, to przynajmniej ładniej brzmi. I bardziej po hiszpańsku - stwierdził Mor - ten. Znów był w lepszej formie, wyraźnie ożywiony tym, że czynią postępy. - A więc nasz następny krok to wyjazd do Hiszpanii?

- Zaraz, zaraz - Antonio oblał go kubłem zimnej wody. - Przede wszystkim zaczekamy na odpowiedź Pedra... Co, Gudrun? Aha, szukasz torby, tutaj jest. Ale co ty, na miłość boską, w niej dźwigasz? Jest ciężka, jakby była z ołowiu.

- Nazywam ją młotem. To bardzo praktyczna rzecz, którą można wałnąć w głowę zbyt natrętnego faceta. Tyle tylko, że z upływem lat stają się coraz mniej natarczywi, niestety.

Vesla wybuchnęła śmiechem.

- Powinieneś zobaczyć moją, Antonio, jest jeszcze cięższa!

Antonio wziął jej torebkę i udał, że osuwa się na podłogę.

- Jesteście szalone, dziewczyny, jak możecie dźwigać takie ciężary? Czy masz przy sobie wszystko, co tylko posiadasz, Veslo?

- No, cóż, zostawiłam w domu kilka kwitów kasowych, żeby przypadkiem kręgosłup mi się nie skrzywił.

Jak cudownie było siedzieć i żartować z przyjaciółmi. Nie wyjeżdżajmy stąd nigdy, pomyślała Vesla.

Zadzwonił telefon, Jordi odebrał.

Kolejna rozmowa po hiszpańsku, prędko jednak zakończona.

Jordi popatrzył na przyjaciół.

- Pod tym adresem nie ma żadnego abonenta o nazwisku Garcia Navarro albo Navarro Garcia. Nie ma też żadnego Vargasa, o to również pytałem, chociaż to byłoby bardzo nieprawdopodobne.

Wtrącił się Antonio:

- Ale to wcale nie musi oznaczać, że oni tam nie mieszkają. Jeśli dobrze znam rodzinę mego ojca, to nie zaliczają się do bogaczy, którzy mają telefon. Choć może raczej należałoby

powiedzieć, że nie mają pojęcia, jak obchodzić się z pieniędzmi. To rodzina matki raczej się na tym znała. Trochę to wyglądało tak, jak w przypadku Tamilów i Syngalezów. Jeśli da się Ta - milowi koronę, za rok będzie miał milion, a jeśli da się milion Syngalezowi, za rok zostanie mu korona.

- Posłuchaj, co ma z tym wspólnego Sri Lanka?

- Nic - przyznał Antonio. - Ale spróbujmy teraz ułożyć jakiś konkretny plan, żebyśmy nie musieli posuwać się dalej po omacku.

- Dobrze! - wykrzyknęła Unni. - Mamy przecież cel. To Elio!

Ku wielkiemu rozgoryczeniu Mortena odmówiono mu udziału w wyjeździe do Hiszpanii.

- Jeszcze nie całkiem odzyskałeś formę, Mortenie - tłumaczył mu przepraszającym tonem Antonio. - Ale twój stan prędko się poprawia. I nie możemy tego popsuć kolejnymi niebezpiecznymi dla zdrowia eskapadami. Poza wszystkim po tym kolejnym uderzeniu w głowę powinieneś kilka dni spędzić w spokoju. Twojej babci, która również odniosła obrażenia podczas wypadku na łodzi, przyszli na myśl jacyś przyszywani krewni, których ma w Molde. Moglibyście pojechać do nich na kilka dni i zostać tam do czasu, aż będziecie mogli wrócić do Selje. Molde wydaje się bezpieczne, możecie tam pojechać prosto stąd.

- Ale my chcemy jechać z wami! - jęknął Morten. - I babcia, i ja chcemy jechać z wami!

- Weźmiecie udział w wielkiej ekspedycji - obiecał Antonio. - Wtedy naprawdę będziesz nam potrzebny, Mortenie. Teraz jedziemy tylko odszukać Elia. Zajmiemy się tym Jordi i ja. Mam dwa tygodnie urlopu.

Obie dziewczyny stały ze zwieszonymi głowami. Vesla myślała o upokarzającym powrocie. Znow w domu, bez pracy, zbyt śmiałe słowa wypowiedziane przy pożegnaniu. Żalodne tłumaczenia...

Jordi zadumany patrzył na Unni. Ich myśli krążyły podobnym torem:

Teraz byli wszyscy razem, potem Unni zostanie bez jakiegokolwiek ochrony. Jordi widział, jak bardzo dziewczyna się boi. I jak ogromnie jest smutna. Nie chciała jednak nic mówić, nie chciała przyklejać się na siłę.

Również Antonio rozumiał rozterki dziewcząt, szczególnie Vesli.

- Spaliłaś za sobą wszystkie mosty, prawda?

Vesla kiwnęła głową.

- Prawie. Mam jeszcze mieszkanie. Mogę się tam zakopać.

Bracia popatrzyli po sobie.

- Nie możemy zostawić ich samych...

- Mogę lecieć pod siedzeniem w samolocie - zapewniła natychmiast Unni. - Będziecie tylko musieli usunąć stamtąd kamizelkę ratunkową, ale przecież samolot i tak nie spadnie.

- Ach, bądźcie aniołami, zabierzcie nas ze sobą! - poprosiła Vesla. - Będziemy bardzo, ale to bardzo grzeczne.

- To one mają jechać, a ja nie? - zazdrośnie oburzył się Morten. - Czy któryś z was nie mógłby zostać w domu i ich przypilnować?

To jednak zdaniem braci Vargasów był bardzo kiepski pomysł. Ich wyjazd już był postanowiony.

- Wiesz, braciszku - powiedział Jordi. - W całym naszym planie jest tylko jeden drobny szczegół. Nie mamy za co jechać!

Unni bardzo by chciała im pomóc, lecz miała tylko odrobinę pieniędzy przeznaczonych na tę wyprawę. Tyle żeby starczyło na colę i inne niezbędne drobnostki.

W tym momencie jednak Gudrun okazała wielkoduszność. Wiedziała, że z czasem otrzyma całkiem niezłe odszkodowanie za łódź, mogła więc co nieco uszczknąć z oszczędności, spoczywających na koncie bankowym.

- Funduję tę podróż całej czwórce - obiecała szczerze. - Gdy tylko znajdziemy jakiś bank, dostaniecie pieniądze.

Uściskali ją wszyscy z wyjątkiem Mortena, który wciąż się złościł.

Gudrun trochę się zakłopotowała.

- Wiem, że nie powinnam o to prosić, ale...

- Proś o co chcesz, a na pewno to dostaniesz - obiecywał Antonio.

- Wiem, że będę wam tylko przeszkadzać, ale tak strasznie chciałabym wziąć udział w tym, co określasz wielką ekspedycją. Jeśli to oczywiście możliwe...

Zapadła dość kłopotliwa cisza.

- Cóż, nie wiemy, czy będą w ogóle jakieś kolejne wyjazdy - stwierdził Antonio trochę zaskoczony. - Nie wiemy przecież, czego szukamy. A jeśli w istocie dojdzie do jakiejś wyprawy, to może się ona okazać niebezpieczna, Gudrun.

- O niebezpieczeństwa nie dbam, czasami przecież nawet sama ich szukam. Ale jestem od was o wiele starsza i...

- Tej różnicy wieku jakoś szczególnie nie poczułam do tej pory - szybko zapewniła Unni.

Pozostali jej zawtórowali. Obiecali, że jeśli tylko znajdzie się miejsce, Gudrun będzie bardzo mile widziana w ich gronie. Na razie jednak niczego jeszcze nie byli pewni. Może wyjedzie jedynie trójka dotknięta przekleństwem, Jordi, Morten i Unni? Może tylko Jordi i Antonio, a może w ogóle Jordi sam? To zależało od tylu rzeczy.

Vesla nieco ucichła. O niej nikt w ogóle nie wspominał. Czyżby już ją skreślili? Może się nie sprawdziła?

Antonio postanowił działać.

- Powinniśmy zamówić bilety, żeby nic nie opóźniało naszej podróży. Teraz, kiedy już minął pierwszy szal radości, wywołanej wielkim podarkiem Gudrun, ktoś powinien chyba zacząć myśleć. Ale nie wiem, kto mógłby nam załatwić bilety. Nie znam żadnego adresu ani numeru telefonu do linii lot...

Unni mu przerwała.

- Mówiłeś kiedyś, że moglibyśmy wykorzystać do czegoś Jørna i tę jego znajomość komputerów. Mogę do niego zadzwonić i poprosić, żeby wszystko załatwił, tak abyśmy odebrali przygotowane bilety już na lotnisku.

- Wspaniale, Unni! - powiedział Jordi.

Otrzymała dokładne instrukcje, o co ma prosić, o czym ma pouczyć Jørna i czego absolutnie nie wolno jej mówić.

Nazbierało się tego tyle, że musiała wszystko zapisać.

Gdy Unni była zajęta rozmową z Jørnem, Antonio podszedł do drzwi.

- Veslo, pomożesz mi ustawić w samochodzie siedzenie dla Mortena? Nie wiem, jak ma stać.

Nikt chyba nie poderwałby się prędzej niż Vesla. Przeszli za dom. Po tej stronie nie było żadnego okna. Świetnie!

Antonio zatrzymał się przy aucie.

- Z tym siedzeniem wszystko jest w porządku - uśmiechnął się. - Chciałem tylko zamienić z tobą kilka słów.

- Tak? - spytała bez tchu.

Antonio zawahał się.

- Dzisiaj rano... Kiedy siedzieliśmy razem i rozmawialiśmy...

Vesla czekała. Przełknęła ślinę.

- To było takie cudowne - wyznał cicho Antonio. - Ja... Veslo, jesteś dziewczyną, którą mógłbym pokochać. A to nie powinno się zdarzyć.

Vesla znów przełknęła ślinę, tym razem z większym bólem.

- Znasz moje pochodzenie - powiedział. - Jeśli nie uporamy się z tym przekleństwem, to wiesz, że nie chcę mieć dzieci.

Na Boga, pomyślała Vesla. Przecież istnieje antykoncepcja!

Nagle zrozumiała jednak, że tu chodzi o coś znacznie delikatniejszego, znacznie bardziej wysublimowanego i że jej również to dotyczy. Poczwała w sobie cudowny prąd mocnych uczuć, oddania, czułości, tęsknoty i smutku, i pewną wzniosłą rezygnację z przyjemności. Poczwała, jak łzy napływają jej do oczu.

- Rozumiem - zapewniła, a jej głos zabrzmiał bezdźwięcznie.

- Żałuję, że wszystko nie może być inaczej - szepnął Antonio.

Vesla kiwnęła głową. On delikatnie ją objął i przyciągnął do siebie. Nie nastąpił pocałunek, nic innego poza policzkiem przytulonym do policzka przez kilka cudownych sekund, podczas których otaczający ich las w ciszy kapł pachnącymi żywicą łzami po nocnej mgle. Wreszcie Antonio ją puścił i popatrzyli na siebie, uśmiechając się ze smutkiem, przepojeni gorącym uczuciem.

Pospiesz się, Jordi, myślała Vesla. Rozwiąż tę zagadkę, nim będzie za późno.

A ja pomogę. Ze wszystkich sił, z całego serca!

Jørn nie krył ciekawości.

- Ty, Vesla i Antonio wyjeżdżacie do Granady? Razem z Jordim? Myślałem, że on nie żyje?

- Nie, to była pomyłka - odparła Unni lekko. - Tylko, Jørn, pamiętaj, nikomu ani słowa o tym, co ci mówię. Nie mów nic o Jordim ani o naszym wyjeździe, a przede wszystkim nie wspominaj o tym Emmie. Możemy ci zaufać?

- Nie widziałem Emmy od kilku dni. To znaczy pewnie będzie najlepiej, żebym się nie wygadał i przed Hege, prawda? Ona nie ma najbystrzejszego umysłu na świecie. Ale co wy wyprawiacie? Dlaczego nie mogę się do was przyłączyć?

- Jesteś już z nami, teraz - pocieszyła go Unni. - Ogromnie byś nam pomógł, gdybyś zdołał nam załatwić te bilety.

- Oczywiście. Ale czy wiesz, co się stało z Mortenem? On gdzieś zniknął.

- Morten jest tutaj, tak samo jak jego babcia. Oni nie jadą z nami.

- Gdzie jest to tutaj?

- Jeśli można powiedzieć *in the middle of nowhere*, to jest to właśnie tutaj. Gdzieś w samym środku pustkowie. Wydaje mi się, że nie odnalazłabym tego miejsca nawet na szczegółowej mapie.

Omówili wszystkie praktyczne sprawy. Po zakończonej rozmowie Unni oznajmiła przyjaciółom:

- Gdybyśmy włączyli w to Jørna, on na pewno bardzo by się nam przydał. Ale tym samym wyrzucilibyśmy poza nawias Mariusa i Hege, a to by było zbyt trudno wyjaśnić.

- Emmę także - przypominał Morten.

- Emma stoi poza nawiasem tak bardzo, że bardziej już nie można. I to był jej własny wybór.

Morten westchnął. Nigdy nie zapomniał tamtego zakazanego spotkania z piękną Emmą.

Dlaczego ona musi stać po złej stronie? Może gdyby spróbował, zdołałby ją nawrócić? Stracił jednak ochotę. Miał wrażenie, że taki pomysł nie spotkałby się z aprobatą grupy.

Rozstali się przy najbliższym banku i obiecali się skontaktować najszybciej jak tylko się da. Antonio nakazał Gudrun i Mortenowi nadzwyczajną ostrożność, dopóki on i Jordi będą w Hiszpanii. Przynękli uważać. Zgaszonemu Mortenowi Antonio natomiast powiedział:

- Rób, co tylko w twojej mocy, żeby wyzdrowieć i odzyskać formę, tak żebyś był w stanie uczestniczyć razem z nami w wielkiej ekspedycji, bo nie będziemy mogli się bez ciebie obyć, pamiętaj!

Morten rozpromienił się wtedy i wybaczył. Długo jednak i tęsknie za nimi spoglądał.

Czwórka przyjaciół jechała tak prędko w stronę rodzinnego miasta, jak tylko pozwalały na to ograniczenia prędkości. Unni bardzo cieszyła się na tę podróż samochodem, okazała się ona jednak inna, niż to sobie wyobrażała. Antonio poprosił, żeby Jordi usiadł z przodu, by mogli swobodnie rozmawiać o wszystkim, co się wydarzyło w czasie, kiedy się nie widzieli. W ostatnich dniach przecież nie starczało czasu na prywatne rozmowy.

Antonio nic nie rozumie, stwierdziła w duchu Unni. Obie z Veslą siedziały rozczarowane na tylnym siedzeniu. Nie poprawiał też sytuacji fakt, że bracia przez cały czas rozmawiali ze sobą po hiszpańsku. Dziewczęta jednak prędko stwierdziły, że i one mają sobie wiele do powiedzenia. Czas więc płynął szybko.

Tak było, dopóki nie dojechali na wyżyny.

- Ach, nie! - westchnęła Unni. - Nie chcę znów oglądać śniegu, kiedy już zakosztowałam wiosny. Zakończyłam już sprawy z zimą, dobranoc!

Skuliła się w swoim kącie, nie miała ochoty wyglądać przez okno. Po chwili obie z Veslą już spały. Trudno powiedzieć, aby przez ostatnie noce miały dostateczną ilość snu.

Jordi regularnie dzwonił do Mortena. Na tym froncie jednak wszystko wydawało się w porządku. Udało im się dotrzeć do Molde przed zmierzchem i nikt ich nie śledził.

To znaczy, że przynajmniej Morten i Gudrun są bezpieczni. Dobrze to wiedzieć!

JEDNOCZEŚNIE

Leon, jedyny ziemski człowiek, któremu wolno się było zbliżyć do świętych w jego opinii mnichów, stanął przed swymi panami.

- Oni zginęli. Wszyscy co do jednego! - wykrzyknął.

- Najsilniejszy również? - spytał miękki, syczący głos.

- No... - Leona pytanie zbiło trochę z tropu, ale prędko wziął się w garść. - Jeśli był z nimi, to on również zniknął, tyle mogę zagwarantować. Pokonaliśmy ich w końcu. Skoro są tacy głupi, żeby zebrać się w jednej łodzi...

Zimne, złe oczy baczenie mu się przyglądały.

- Sprawdź, ile oni wiedzieli - przerwał mu szept. - Szukaj wszędzie! A jeśli ich wiedza zatoneła wraz z łodzią, drogo cię to będzie kosztować!

Leon pobladł. Przecież on stara się jak może, a tymczasem te zjawy ośmielają się mu grozić! Wiedział jednak, że bez niego sobie nie poradzą, to dawało mu gwarancję życia. Wkrótce więc twarz mu się rozjaśniła.

- Znajdziemy wszystko, wierzcie mi. I nie zapominajcie o moim wynagrodzeniu, gdy już dotrzemy na miejsce!

Uśmiechnęli się kwaśno. O, tak, na pewno go wynagrodzą. Dobrze albo źle.

Niestety, przed wyjazdem musieli zajrzeć do swoich domów, zabrać paszporty i ubrania na zmianę. Vesla twierdziła, że dostała już dostateczną nauczkę i że spakuje wyłącznie najniezbędniejsze rzeczy. Ale co właściwie jest absolutnie niezbędne? Jak można z góry przewidzieć, że coś się nie przyda?

Odwieczny dylemat turysty.

Powrót do miasta był niczym uderzenie obuchem w głowę. Wszędzie dookoła sami zwykli ludzie, współczesność ze swoimi supermarketami, reklamą i innymi trywialnościami. Pocieszali się tym, że wkrótce znów wyjeżdżają, właściwie już zaraz. Było już ciemno, jechali cały dzień.

Pierwszą wysadzili Veslę, wszyscy bowiem ze śmiechem stwierdzili, że jej potrzeba będzie najwięcej czasu. Jordi natomiast nie miał czego zabierać. Wszystko, co posiadał, miał przy sobie.

Potem odwieźli Unni i obaj bracia pojechali do mieszkania Antonia.

Tam właśnie zatelefonowała Unni.

- Antonio, już się spakowałam, ale trzy sprawy bardzo mnie niepokoją, wręcz przerażają.

- Co takiego? Czyżbyś też miała uczucie, że ktoś całkiem niedawno był w twoim pokoju? Przeglądał twoje rzeczy?

- Właśnie. U ciebie to samo?

- Tak. Ale mówiłaś o trzech sprawach.

- Rzeczywiście. Wiesz, jeszcze z samochodu dzwoniłam do domu, by powiedzieć rodzicom, że dzisiaj znów wyjeżdżam i że nie będzie mnie jeszcze przez kilka dni. Nikogo nie zastałam i nagrałam się na sekretarkę. A jeśli ktoś wysłuchał mojej wiadomości?

Unni usłyszała jęk Antonia.

- To znaczy, że oni o tym wiedzą. A co gorsza, wiedzą, że żyjemy!

- No tak, ale to trzecie jest najgorsze. Dzwoniłam do Vesli przed chwilą, nikt nie odbierał.

Antonio natychmiast podjął decyzję.

- Czekać na nas gotowa przed domem. Zaraz po ciebie przyjeżdżamy!

Vesla otworzyła kluczem drzwi do swojego małego mieszkania. Bardzo je kochała, bo tu nie musiała znosić obecności wiecznie narzekającej matki. Wszystko wyglądało tak jak zwykle. Na sekretarce telefonicznej migotało światelko.

Szukając czystych ubrań, przebierając się i pakując, odsłuchiwała wiadomości. Marius pytał, gdzie się podzieli, Hege zastanawiała się nad tym samym, wszyscy bowiem zostali zaproszeni na sobotę i zapowiadała się przyjemna zabawa.

Potem - co było nieuniknione - rozległ się głos matki: „Veslo, gdzie ty jesteś? Dlaczego nie odpowiadasz? Jestem umierająca, miałam kolejny atak serca (nigdy żadnego nie miałam), lekarz mówi, że zostało mi zaledwie kilka dni życia. (Nigdy nie chodzisz do lekarza, mam. Wiesz, że powiedziałaby, że tylko udajesz). Jak ty możesz, moje jedyne dziecko, pozwolić, żeby matka leżała samotnie i umierała w takich cierpieniach? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! (Wymień choć jedną rzecz).

Gniew. Vesla myślała już, że zdołała go zwalczyć, że zniknął, rozpląnął się po tamtej rozmowie z Antoniem, tymczasem teraz znów się pojawił, zamieniał w złość. Vesla wręcz ciskała kolejne rzeczy do walizki.

Następne nagranie: „Jeśli nie zjawisz się natychmiast, może być za późno. Moje serce już dłużej nie da rady. Potrzebna mi bułka paryska i masło. Trzeba też zmienić żarówkę, ale widać będę musiała leżeć w ciemności. Dla matki to takie przykre, kiedy jej jedyne dziecko się o nią nie troszczy”. Zduszony szloch w chusteczkę.

Vesla zacisnęła zęby. Przez dwadzieścia lat byłam twoją dzielną pomocnicą, mam. Wiesz dobrze, na co mnie narażałaś, gdy jeszcze byłam dzieckiem, drwiłaś ze mnie, bo wyrosłam duża i niezgrabna, jak mówiłaś, ale potrafiłaś wykorzystać moją siłę dla swoich korzyści. Nie możesz wreszcie zostawić mnie w spokoju?

Jeszcze jedna przemowa:

„Wydziedziczę cię, Veslo! Zrobię to naprawdę, uprzedzam cię tylko, żebyś o tym wiedziała. (Nigdy nie obchodził mnie żaden spadek, jest poza wszystkim za mały, żebyś mogła mi grozić jego utratą). Tak mnie boli, Veslo, napiłabym się wody, ale nie ma mi kto pomóc. Przybędziesz za późno, Veslo. Przybędziesz za późno i będziesz tego żałować”.

Vesla wściekła wyłączyła sekretarkę. Ukryty gniew znów wychynał na powierzchnię. Ten szantaż uczuciowy, doprawdy, czy nie mogła jej teraz tego oszczędzić? Akurat teraz, kiedy zaczynał się ten dziwny, taki delikatny romans, który być może nawet jeszcze nie istniał, lecz o którym mogła marzyć? Czy matka musi nieustannie dręczyć ją swoim nieistniejącym cierpieniem?

Gniew i rozpacz Vesli znów osiągnęły punkt wrzenia. Gotowa była ciskać wokół siebie przedmiotami tak jak przedtem.

Nagle zdrętwiała. Ktoś był przy drzwiach.

Głosy dwóch mężczyzn.

- Ona tu mieszka, ta walkiria, wiesz. Szkoda, że nie ma jej w domu. Moglibyśmy się nieźle zabawić, jest nas przecież dwóch.

Śmiech.

Stanęli w drzwiach i znieruchomieli.

- O rany! - jęknął jeden, Vesla poznała w nim robotnika drogowego, choć teraz miał na sobie normalne ubranie. Drugim był młody osiłek z mięśniami jak piłki.

- Czego chcecie? - spytała zimno.

- Gównu cię to obchodzi - odparł starszy. - Bierz ją, Kenny, ja będę szukał.

Zadzwoił telefon, lecz Vesla nie mogła go odebrać. Kenny chciał ją zaatakować, ale wtedy rozwścieczona Vesla zamachnęła się swoją torebką z taką siłą, że aż sufitowa lampa zadzwoniła przerażona. Kenny otrzymał cios tuż nad uchem i upadł na ziemię.

- Co, u diabła? - spytał drugi.

Vesla nie miała dostatecznie długich rąk, by ponownie użyć torebki jako broni, mężczyzna spostrzegł to i ruszył w jej stronę.

- Pogadamy chwilę, panienko - oświadczył. - Gdzie masz te rzeczy?

- Jakie rzeczy? - spytała Vesla, cofając się za stół.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Przecież szukacie tego samego, co my. Chcę dostać wszystko.

- Przepraszam bardzo, ale nie rozumiem. Wynoś się z mojego domu, bo inaczej zadzwonię na policję.

Łobuz z pogardliwą miną wyrwał sznur telefoniczny.

- Zrobiłeś mi tym wielką przysługę - mruknęła Vesla. Tak naprawdę jednak nie była pewna, jak się bronić. Wielkich szans nie miała. Kenny został wyłączony z gry, lecz z tym drugim bandytą nie było żartów.

Stół nie stanowił dostatecznej ochrony. Vesla zastanawiała się, czym może rzucić w napastnika, ale niestety, w zasięgu ręki nie miała nic ciężkiego. Postanowiła postępować tak, by zyskać na czasie.

- Nie rozumiem, co chcecie ode mnie dostać - powiedziała w nadziei, że bandyta zdradzi się z czymś, co pomoże im zbliżyć się do rozwiązania zagadki.

- Wiesz to równie dobrze jak ja - warknął, nie spuszczać z dziewczyny oka. Stali naprzeciwko siebie rozdzieleni stołem. Gdyby Vesli udało się przejść na drugą stronę, może zdołałaby się jakoś wymknąć.

- Nie, szczerze powiedziawszy, nie wiem.

- To co robiliście na Selji?

- Na Selji? Ja tam nie byłam.

- A gdzie reszta?

- Nie wiem, nie widziałam ich, odkąd wyjechali. Ja wróciłam do domu.

- To znaczy, że nie wiesz, co się z nimi stało?

- Nie, i nie rozumiem, dlaczego nie dzwonią.

- Możesz zapomnieć o swoich przyjaciółach - powiedział z obrzydliwym uśmiechem.

- Oni z całą pewnością już nie wrócą.

- Co ty mówisz? Powiedz mi, czego szukacie, może będę mogła wam pomóc?

Odpowiedział jej teraz zimno:

- Chcemy wiedzieć wszystko. Wy trochę wiecie, my wiemy coś innego.

- Powiedz, co wiecie, może wymienimy wiadomości.

- Bierzesz mnie za głupca?

Szczerze powiedziawszy, owszem. Ta rozmowa do niczego nie prowadziła. Walczyli na słowa, chociaż żadne z nich nie chciało zdradzić się z informacjami. Sytuacja utknęła w martwym punkcie.

Wreszcie mężczyzna stracił panowanie nad sobą i próbował okrążyć stół. Vesla pobiegła przodem i w pędzie zdążyła jeszcze złapać rzeźbę konia wykonaną z brązu. Kiedy napastnik ją dogonił, uderzyła z całej siły, uchylił się jednak i cios spadł na prawe ramię, nad którym natychmiast stracił władzę.

Vesla nie wiedziała już, co robi. Rzeźba wypadła jej z ręki i dziewczyna rzuciła się na łotra z gołymi pięściami, sycząc przez zęby.

- Zostaw mnie w spokoju, przeklęta babo! Dostyc już tego! Przez całe życie musiałam znosić udręki, teraz koniec z tym. Au!

Napastnik zdołał ją uderzyć lewą ręką i Vesla już lądowała na podłodze, ale złapała ją Unni, która nie wiadomo skąd się wzięła - jak się później okazało, po prostu weszła przez drzwi - ale ponieważ z Unni nie była żadna atletka, obie dziewczyny upadły na dywan. Unni znalazła się na spodzie.

Mężczyzna nie zdążył się zorientować, co się dzieje, a już został obezwładniony. Jemu i Kenny'emu związano ręce z tyłu i pozostawiono do zabrania policji, po którą zadzwonił Antonio. Nazwisko Kenny'ego bardzo ich ucieszyło!

Teraz cała czwórka musiała czym prędzej jechać na lotnisko. Należało się spieszyć, bo przecież ich przeciwnicy wiedzieli o wyjeździe, nie znali tylko celu ich podróży.

W samochodzie Antonio powiedział ze spokojem:

- Tak, tak, wiadomo już, do czego może się przydać wypełniona po brzegi damska torebka. W końcu miałaś też okazję rozładować trochę agresji, prawda?

- I to jeszcze jak - westchnęła Vesla głęboko. - Chyba naprawdę tego potrzebowałam. Teraz jestem już wolna, naprawdę wolna.

- Doskonale - pochwalił ją Antonio. - Udało ci się wyciągnąć od niego coś interesującego?

- Nie, ale i ja nic mu nie powiedziałam. Jediną rzeczą, o jakiej on bredził, było jakieś miejsce. Chciał wiedzieć, gdzie ono się znajduje.

- My też chcielibyśmy to wiedzieć. „Tam, gdzie nikt nie chodzi”. Teraz cała nasza nadzieja w Eliu.

Jørn stawiał się na lotnisku, żeby osobiście wręczyć im bilety. Ciekawość wprost biła mu z twarzy. Przyglądał się Jordiemu z wielkim zdziwieniem.

- Jesteś prawdziwym aniołem, Jørn! - powiedział Antonio, oddając mu pieniądze, które Jørn z własnej inicjatywy wyłożył.

- Macie międzylądowanie w Kopenhadze i w Madrycie - wyjaśnił Jørn. - Ale tak chyba będzie w porządku?

- Doskonale, dziękujemy bardzo za pomoc.

Prędko zgłosili się do odprawy bagażowej.

- Uznałem, że tak będzie szybciej - wyjaśniał Jørn. - O ile dobrze rozumiem, bardzo się wam spieszy.

- Rzeczywiście, musimy jak najprędzej przedostać się do hali tranzytowej - odparł Antonio. - Daj mi numer swojego telefonu, zadzwonię do ciebie, jak tylko dotrzemy na miejsce. Dowiesz się wtedy więcej, zasłużyłeś na to. Ale zachowaj ostrożność w stu pięćdziesięciu procentach. Ani słowem nie wspominaj nikomu o naszej podróży! Gdybyś coś zdradził, mogłoby się to okazać niebezpieczne również dla ciebie.

Jørn ani trochę w to nie wierzył, ale przyrzekł, że będzie milczał. Dziewczeta ucałowały go w oba policzki, potem wszyscy pomachali mu na pożegnanie i zniknęli w strefie kontrolnej.

Jørn odwrócił się już, żeby odejść. I wtedy zobaczył, że przez halę biegnie Emma razem z dwoma starszymi od niej facetami, wyglądającymi na łajdaków.

- Jørn! - zawołała Emma, usiłując zajrzeć na halę tranzytową, w której zniknęli już bracia, Unni i Vesla. - Mam bardzo ważną wiadomość dla Unni. Dokąd oni pojechali?

Emma. Dziewczyna, w której tak się kiedyś kochał. „Nie mów nic, zwłaszcza Emmie”. Mężczyzna u jej boku wyglądał jakoś podejrzanie. Przyglądał mu się zbyt natrętnie.

Jørn wcześniej studiował tablicę odlotów i wiedział, jakie samoloty startują w tym samym czasie.

- Wydaje mi się, że polecili do Londynu - odparł spokojnie.

- Do Londynu? - prychnęła Emma, a Jørn zauważył, że również drugi z jej towarzyszy się zdenerwował.

- Czego oni mieliby szukać w Londynie?

- Chyba chcieli zobaczyć jakiś musical - wyjaśnił Jørn, wzruszając ramionami.

- A ty się dałeś na to nabrać? Leon, sprawdź, czy jest teraz jakiś samolot do Hiszpanii?

Było ich kilka, leciały w różne miejsca, nie zrobili się więc od tego mądrzejsi. Zresztą ani Leon, ani Emma nie przygotowali się na zagraniczną podróż. Byli bez bagażu, Leon miał przy sobie ciężki rewolwer, a paszport Emmy leżał w domu.

Musieli zawrócić.

Jørn odczuł ulgę, kiedy wsiadł już do samochodu. Cieszył się, że tak naprawdę nic nie wiedział o zamiarach przyjaciół. Chyba rzeczywiście prawdą było to, co mówił Antonio. To mogła być niebezpieczna gra.

W hali tranzytowej przyjaciele czekali przy wyjściu. Nie wiedzieli, że Leon i Emma zjawili się na lotnisku.

Dziewczęta były niespokojne i podniecone.

- Ach, nie, zapomniałam pasty do zębów! - zdenerwowała się Vesla.

- I ja nie jestem gorsza - westchnęła Unni. - Nie wzięłam żadnych letnich butów.

Jordi, słysząc to, roześmiał się.

- Dziewczęta, Hiszpania nie jest krajem trzeciego świata, będziecie tam mogły kupić to samo co w Norwegii. W sklepach pełno jest wszystkiego. Służba zdrowia doskonała. Tylko Norwegom wydaje się, że z ich krajem nic nie może się równać.

- Pamiętajcie tylko, że w Hiszpanii daleko nie zajedziecie z angielskim - przypomniał Antonio.

- Naprawdę? - przeraziła się Vesla. - No to jak...

- Dzieci w szkole nie uczą się angielskiego. Nie widzą w tym sensu, bo *przecież* hiszpański jest jednym ze światowych języków. Wszystkie filmy w kinie i w telewizji są dubbingowane.

- Ratunku! - powiedziała Vesla. - Tom Cruise wyznaje miłość po hiszpańsku?

- Owszem. John Wayne również.

- Chyba powinnam przejść jakiś błyskawiczny kurs - stwierdziła Unni. - Znam zaledwie kilka słów. „Ja kupić sztuczna szczeka, *si?*” Z tym się daleko nie zajdzie.

- Veslo, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to zamienię się z tobą na miejsca - powiedział Jordi. - Będę mógł pouczyć trochę Unni w samolocie.

- Miałabym się nie zgodzić? Ależ skąd, przeciwnie, bo wtedy... - Vesla urwała, ale zaraz dokończyła radośnie: - Wtedy Antonio będzie mógł uczyć mnie.

- Oczywiście - uśmiechnął się.

Unni była wniebowzięta. Cała długa podróż samolotem razem z Jordim!

A potem emocjonujące poszukiwania tajemniczego Elia, który być może będzie mógł powiedzieć im coś o miejscu, gdzie nikt nie chodzi.

JEDNOCZEŚNIE

Pięciu rycerzy z minionych czasów zebrało się, by rozważyć sytuację.

„Wyruszają na południe w brzuchu jednego z tych wielkich ptaków. Jedziemy za nimi?” - spytał młody don Ramiro z Nawarry.

„Nie, najsilniejszy jest z nimi. On jest ich najlepszą ochroną - odparł don Garcias z Kantabrii. - Mnisi śmiertelnie się go boją po tym, jak unicestwił jednego z nich, nie ośmielią się zbliżyć do naszych przyjaciół, dopóki on będzie w ich pobliżu. Musimy ich o tym poinformować, niech wiedzą, że nie wolno im się rozdzielać, bo to może być niebezpieczne”.

Stary don Federico z Galicji skinął głową.

„A te żywe ziemskie łotry, które służą mnichom, nie są w stanie iść śladem naszych przyjaciół”.

„Nasi znenawidzeni mnisi są teraz wściekli - uśmiechnął się z ponurą miną don Galindo z Asturii. - Wszyscy nasi sprzymierzeńcy przeżyli wszak ów nikczemny atak na łódź. Leon, posłuszne narzędzie mnichów, posmakował już ich rozgoryczenia. Przez cały czas mu się nie wiedzie”.

„Dlatego, że w końcu natknął się na silnych przeciwników - rzekł stary. - Muszę wam powiedzieć, że nasi przyjaciele doskonale sobie radzą i nie jest to wyłącznie zasługą najsilniejszego. Wszyscy mają swój wkład. Ale ta młoda dziewczyna jest ich najlepszą bronią”.

„Ta wysoka, przystojna dziewczyna również ma nieoczekiwanie dużo oleju w głowie - stwierdził z uznaniem don Ramiro. - Podobnie jak i ta starsza dama. Musimy mieć baczenie na nią i na jej wnuka, zostali teraz sami na północy”.

„To prawda - przyznał don Sebastian z Vasconii. - Ale muszę powiedzieć, że naprawdę jestem dumny z mojej potomkini, młodziutkiej Unni. Chociaż niepokoi mnie jej zainteresowanie naszym silnym wybrańcem. Ona nie może tracić swojej miłości na kogoś, kto nie ma prawa ani zdolności miłowania i kto prawdopodobnie nie może spłodzić dzieci. Potrzeba nam kolejnych potomków, jeśli ci się nie sprawdzą”.

Don Garcias uśmiechnął się.

„Ha! Spróbuj przestrzec młodą kobietę przed jej pierwszą prawdziwą miłością!”

Stary don Federico podniósł się w siodle.

„Jedno natomiast wiemy. Nikt inny przez pięćset pięćdziesiąt lat nie posunął się tak daleko jak oni. Nareszcie ktoś z naszych potomków wpadł na ślad”.

„Oni są również w pełni zdeterminowani, by rozwiązać dla nas tę tajemnicę - zauważył don Galindo. - Oby tylko Jordiemu i Mortenowi czas nie upłynął. Bo brat Jordiego, Antonio, za nic nie chce mieć dzieci”.

„Wobec tego pozostaje jedynie ta młoda dziewczyna, Unni - stwierdził don Federico. - Ostatnie ogniwo. To może być zbyt wielki ciężar na jej młode barki”.

Otucha ich opuściła. Pozostało wszak tak niewiele czasu. Tak mało czasu na odnalezienie drogi do miejsca, gdzie nikt nie chodzi.